

WOLNA
SOBOTA

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Bachmann: Ukraina w Unii
natychmiast? Zły pomysł ▶6
Wiesław Ochman o wnuku
i Eurowizji ▶32 **Wy zbrodniarze!**
słyszą w Polsce białoruskie dzieci ▶4



**RZECZY,
KTÓRE CHCESZ
ZROBIĆ
TEGO LATA**
w Polsce i Europie



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

ADAM
GLAPIŃSKI

Bankier Kaczyńskiego



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Olofsson. Gangster
słynniejszy niż klopsiki
Ślady rysich pazurów
Sprawdzamy wołyńskie fejki



WYSOKIE OBCASY

Agata Twardoch: Mieszkanie
prawem, nie towarem
Suknia ślubna
nie tylko na jedną noc

Sobota-niedziela, 11-12 czerwca 2022 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 8,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 135.10023, 1

Nakład 109 tys. + 290 tys. prenumerat cyfrowych

Mirostaw
Maciorowski



Podręcznik pisany po rosyjsku

Pod rządami PiS w wielu dziedzinach zbliżyliśmy się do Rosji. Tam wymiar sprawiedliwości jest w ręku władzy i u nas ona próbuje go przejąć. Tam media publiczne są tubą propagandową i w Polsce również. Teraz ścigamy ją także w programach szkolnych – dowodem przygotowany przez prof. Wojciecha Roszkowskiego podręcznik „Historia i teraźniejszość. Podręcznik dla liceów i techników 1945-1979”.

W wywiadzie na stronie wydawcy, oficyny Biały Kruk, prof. Roszkowski tak go zachwala: „Aktywuje on prawie wszystkie zmysły i wymaga dialogu między nauczycielem a uczniem”. Czytając udostępnione fragmenty, trudno jednak dostrzec miejsce na jakikolwiek dialog. To belferski wykład odzwierciedlający poglądy prof. Roszkowskiego i główne tezy polityki historycznej PiS. Najważniejszą rolę odgrywa w nim Kościół, a szwarczarakterem są komuniści oraz wszelkiej maści liberalowie i lewicowcy.

Na przykład rewoltę lat 60. na Zachodzie Roszkowski piętnuje jako zjawisko, za którym stali marksiści. Opisując je, nagle przenosi nas do współczesności: „Tego rodzaju ideologia jest niestety popularna i w dzisiejszym świecie. Może ona trafić do osób nie rozumiejących potrzeby pewnej dyscypliny społecznej i obowiązku. Warto przy tej okazji zauważyć, że pewność siebie ideologów lansujących tego rodzaju wizję świata jest odwrotnie proporcjonalna do ich wiedzy” – tłumaczy zagubionej dziatwie. Przy takim „dialogu” można dostać zawrotu „prawie wszystkich zmysłów”!

Omawiając uzależnienia Polski od ZSRR, Roszkowski znów zachęca do dialogu, przenosząc nas do współczesności: „Przypomina to dzisiejsze czasy, gdy niektórzy politycy głoszą konieczność niemieckiej hegemonii w Europie i są gotowi oddać suwerenność kraju na pastwę brukselskich biurokratów i technokratów”.

Nie wiadomo, jak Roszkowski opisał wydarzenia Marca '68 i antysemicką nagonkę, bo w udostępnionych fragmentach nic na ten temat nie ma. Nie spodziewałbym się jednak obiektywizmu, pamiętając, że kierował się przygotowaną przez resort Czarnka podstawą programową, a w niej np. Lech Wałęsa jako przywódca „Solidarności” nie istnieje, pojawia się dopiero, gdy zostaje prezydentem.

Prof. Roszkowski jest politykiem związanym z PiS, był europosem tej partii. Nie można go traktować jako bezstronnego historyka, o czym najlepiej świadczy książka z 2019 r. „Kierunek Targowica. Polska 2005-2015”, w której przyrównuje rządy poprzedników PiS właśnie do tytułowej Targowicy.

Nauka historii w Polsce powędrowała w ręce ideologów i polityków. Czyli tak jak w Rosji. ●

Nigeria

Już nie ma miejsc bez terroru



Protest mieszanek Owo po ataku na lokalny kościół. Zginęło kilkadziesiąt osób, w tym dzieci. Napastnicy odpalili ładunki wybuchowe i otworzyli ogień. Sposób działania wskazuje na islamską partyzantkę Boko Haram, ale że w regionie trwa konflikt między rolnikami a pasterzami, lokalni politycy oskarżają tych ostatnich. Stan Ondo, gdzie leży Owo, był dotąd najspokojniejszy w całej Nigerii. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

FOT. SUNDAY ALAMBA/AP

Kod dostępu do Wyborcza.pl



100. urodziny prof. Aleksandra Krawczuka Rzymianin nad Wisłą

Jest najwybitniejszym popularyzatorem kultury antycznej w dziejach Polski. Urodzony w kamienicy Wierzyńska przy krakowskim Rynku, w czasie II wojny żołnierz AK, przez dekady związany z Uniwersytetem Jagiellońskim i Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Krakowie, przedstawia się jako obywatel Rzymu Północy.

Jego program „Antyczny świat profesora Krawczuka” bil rekordy popularności. Przechadzał się po Krakowie, dyskutując z przechodniami niczym Sokrates na ateńskiej agorze. Twierdził, że zaczął pisać, by zarobić na życie, dostojnej profesurze UJ ponoć nie bardzo się to podobało.

Jest autorem blisko 40 książek o starożytnym Rzymie i Grecji wydanych w setkach tysięcy egzemplarzy. Jego „Poczet cesarzy rzymskich” był ulubionym książkowym prezentem na przełomie lat 80. i 90. Podczas wykładów opisywał smak greckiego wina faleryjskiego, jakby go sam próbował; tłumaczył, że Juliusz Cezar nie mógł płynąć



FOT. MATEUSZ SKWARCEK/WYBORCZA

przez basen portu aleksandryjskiego klasycznym kraulem, bo trzymał w ręku nad wodą cenne dokumenty.

Był ministrem kultury w ostatnich peerelowskich rządach Zbigniewa Messnera i Mieczysława Rakowskiego. Korzystając z popularności własnej, której brakowało komunistom, prowadził Fundusz Rozwoju Kultury – instytucję, którą dobrze wspominają artyści. W latach 1991-97 był posłem SLD.

Gdy generał Jaruzelski w Watykanie przedstawiał go Janowi Pawłowi II, powiedział: „A oto profesor Aleksander Krawczuk – Rzymianin”. ●

Paweł Wroński

Andrzej rysuje



wyborcza.pl

andrzejrysuje.pl

Duży Format



MOBBING W SZPITALACH

Przyzwyczałam się do krzyków i poniżania. Obrażano nas przy pacjentach, przy rodzinach pacjentów, przy odwiedzających. Co jest nie tak ze środowiskiem lekarskim?

Czytaj w poniedziałek



Oskarżono mnie o dyskredytowanie rosyjskich sił zbrojnych na Instagramie. Okoliczność obciążająca – zarzuciłem prezydentowi rozpętanie wojny z Ukrainą

DMITRIJ GLUCHOWSKI

autor kultowego cyklu „Metro”, o wydany z nim liście gończym

Konfiskują oszczędności, samochody, mieszkania – o prześladowaniach Rosjan krytykujących wojnę pisze Wiktoria Bieliaszyn ► Wyborcza.pl/swiat

Top 2
Wydarzenia najbliższego tygodnia

Środa

Nowi liderzy
w PiS

1 Jarosław Kaczyński wskaże osoby, które już od 1 lipca będą rządziły partią w terenie. Do 15 czerwca zostaną powołani pełnomocnicy w 94 okręgach (dotąd okręgów było 41). Wykluczo- no ministrów i wiceministrów, więc rządzić PiS lokalnie nie będą mogli szef MSWiA Mariusz Kamiński czy wicepremier Jacek Sasin. Nowa struktura ma rozruszać PiS przed wyborami w 2023 r., organizując w terenie spotkania z wyborcami.



FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

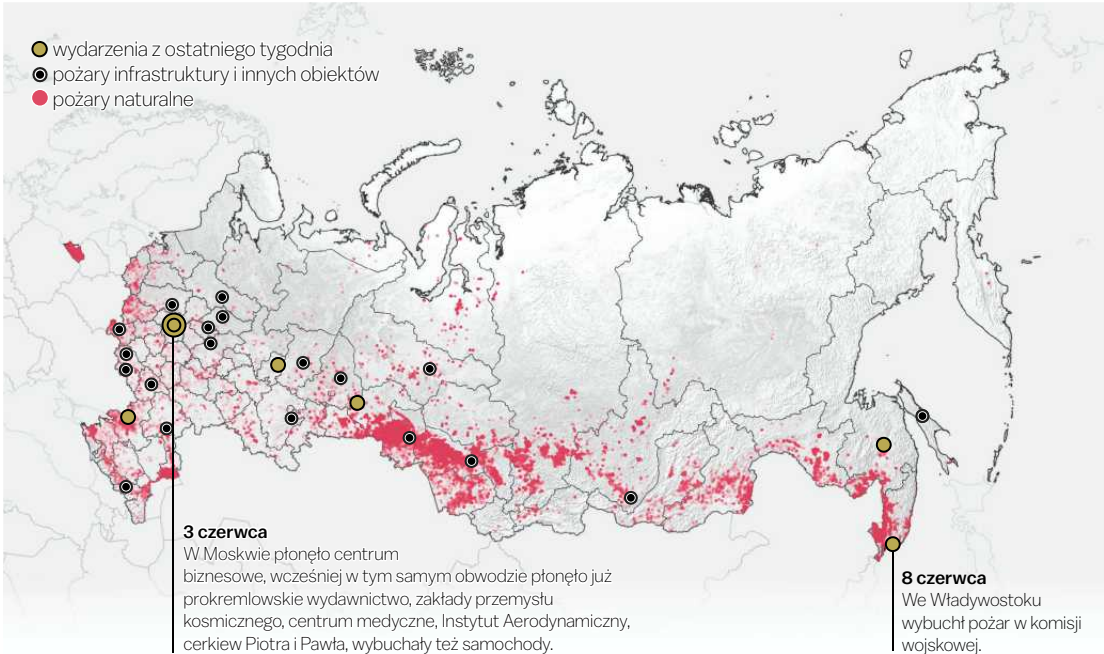
Piątek

Wraca
Co Jest Grane Festival

2 Kiedyś w Królikarni, potem przy Zamku Ujazdowskim, teraz – w Łazienkach Królewskich. Po pandemicznej przerwie wraca ulubiony festiwal warszawiaków. Na Co Jest Grane Festivalu – w tym roku pod szyldem Women’s Voices – w ciągu dwóch dni zagrają m.in.: Natalia Przybysz, Maria Peszek, Brodka, Daria Zawiałow, Krzysztof Zalewski, Igo i Karaś/Rogucki.



Wykres tygodnia
Rosjanom się pali



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁA: NASA FIRMS - MODIS, WITOLD SZABŁOWSKI - NOTATNIK REPORTERA, WYBORCZA.PL

Oprócz obrzucanych koktajlami Molotowa komisji poborowych płoną lasy na Syberii; ogień spustoszył już 300 tys. ha. A gasić nie ma komu – wojskowe samoloty, które zwykle wykrywały i gasiły pożary, wysłano nad Ukrainę. **Co jeszcze płonie w Rosji przypadkiem lub nie – sprawdź ► [Biqdata.wyborcza.pl](#)**

Nowy plan Kaczyńskiego

Ukraińcy, nie ufajcie Warszawie

PiS chce skłócić Ukrainę z Unią Europejską

Wielowieyska



Najpierw było Trójmorze, potem trochę zmodyfikowano tę ideę, nadając jej charakter infrastrukturalny. Dalej był pakt z Marine Le Pen, Matteo Salvinim oraz Orbánem, a więc agentami Putina w Europie. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że Andrzej Duda nie był entuzjastą tej drugiej koncepcji. Natomiast Kaczyński wierzył, że prawicowa populistyczna i antyunijna koalicja zmieni oblicze Europy i będzie tolerować łamanie zasad praworządności w Polsce. Plan nie wypalił. Le Pen przegrała wybory, a u Orbána górę wzięła wierność Putinowi. I z tą polityką – szczególnie teraz – PiS jest nie po drodze.

Teraz więc PiS testuje kolejny wariant, który ma rozbijać Unię od środka. Dzieje się to pod hasłem nowego porozumienia europejskiego: Wielka Brytania-Polska-Ukraina, któremu miałyby patronować USA. Promuje je szef „Gazety Polskiej”, człowiek Kaczyńskiego Tomasz Sakiewicz. Boris Johnson, który sam się wykluczył z głównego europejskiego nurtu przez brexit, chciałby teraz odgrywać większą rolę w Europie i uznał, że wojna w Ukrainie daje ku temu okazję. O ile z punktu widzenia Brytyjczyków może się to wydawać racjonalne, o tyle dla Polski jest szkodliwe, bo taka polityka spycha nas jeszcze bardziej na kurs kolizyjny z UE. A przecież i tak jako państwo PiS już wojujemy z Unią, przez co tracimy masę pieniędzy i szansę na odbudowę po pandemii.



• 1 czerwca, Wołodymyr Zełenski odznacza Kaczyńskiego i Morawieckiego Orderem Jarosława Mądrygo drugiej klasy FOT. UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS OFFICE

Teraz o krok dalej niż Sakiewicz poszedł szef kancelarii premiera Michał Dworczyk w ostatnim numerze „Sieci” i zdradził prawdziwe intencje. „Elity ukraińskie muszą dokonać wyboru. Albo zmienią reguły i postawią na trudniejszą i dłuższą drogę, albo za kilka lat czeka nas powtórka z tragedii. Myśl o osi Warszawa-Kijów towarzyszy nam od dawna, bo tylko taki układ wymusi partnerskie traktowanie naszych krajów głównie przez Moskwę, a także Berlin”.

Symptomatyczne, że Dworczyk na jednym oddechu wymienia Berlin i Moskwę. Berlin, bo jest częścią Unii krytycznej wobec łamania zasad praworządności i traktatów unijnych, a PiS nie lubi, jak ktoś mu zwraca uwagę, że w sposób niedemokratyczny poszerza władzę. Z kolei Moskwa morduje Ukraińców. Szokujące, że dla ministra to są dwa równorzędne problemy. Dworczyk mówi, że tłumaczył Ukraińcom, iż Unia potraktuje ich nie jako podmiotowego partnera, ale danie do skonsumowania.

Bracia Karnowscy pytają: „Polska oferta może być dla Ukrainy atrakcyjna bardziej niż niemiecka?”. Dworczyk odpowiada: „W krótkiej perspektywie oczywiście nie. Zachodnie banki mają większe możliwości kredytowania, ich firmy mogą więcej zainwestować, ich technologie są do wykorzystania od razu. Wspólny marsz z Polską byłby bez wątplenia dłuższy, trudniejszy. Ale za wszystko jest cena. Jeśli Ukraina oprze się na krajach Zachodu, to za kilka lat może czekać ją powtórka”. Trzeba oddać



Dworczyk: Myśl o osi Warszawa-Kijów towarzyszy nam od dawna, bo tylko taki układ wymusi partnerskie traktowanie naszych krajów głównie przez Moskwę, a także Berlin

sprawiedliwość ministrowi, że przynajmniej mówi otwarcie Ukraińcom, jak się rzeczy mają: otóż na realizacji projektu PiS dużo tracą. No a potem może zyskają, choć zyski te są dość mgliste.

Przesłanie jest takie: nie idźcie do tej Unii, my wam zaproponujemy swój układ. Czy Ukraińcy dadzą się nabrać? Czy mają świadomość, że to gra Kaczyńskiego przeciwko Unii, w której Ukraińcy są tylko narzędziem? PiS sprytnie wykorzystuje fakt, że kanclerz Scholz czy prezydent Macron usiłują zakończyć wojnę drogą dyplomatyczną, że nie składają jasnych deklaracji w sprawie drogi Ukrainy do UE. Oraz fakt, że szczególnie społeczeństwo francuskie jest prorosyjskie i pokazywała to pozycja Marine Le Pen. Tego nie da się ukryć. Ale też PiS udaje, że nie widzi, że cała Unia odcięła się od rosyjskiej ropy, tylko sojusznik Kaczyńskiego na Węgrzech nie. Blokował sankcje skutecznie, a ustąpił dopiero, gdy wynegocjował korzystne dla siebie wyjątki od reguły. To są fakty. Społeczeństwa europejskie zapłacą za tę decyzję całkiem sporo.

Ukraina popełniłaby historyczny błąd, ulegając fobii PiS-owskiemu, wybierając tzw. trzecią drogę. Tego błędu my nie popełniliśmy w latach 90., konsekwentnie dążąc do UE i NATO, choć lobby prorosyjskie starało się temu zapobiec. Wiedzieliśmy, że droga będzie wyboista i nie wszyscy się palą, aby nas tam przyjąć. W tym samym czasie Ukraina nie skorzystała z tego okienka. Ukraińskie elity polityczne stwierdziły, że będą lawirować, nie obierając zdecydowanego kursu na Zachód.

Dziś nasz sąsiad płaci za to bardzo wysoką cenę. Droga do Unii jest trudna i pewnie będzie bardzo długa, ale gwarantuje odbudowę zrujnowanego kraju. Oby pod wpływem PiS Ukraina nie popełniła znów tego samego błędu, co w latach 90. ●

Dominika Wielowieyska

WY MALI FASZYŚCI

Na Białorusi tajniacy próbowali odebrać je rodzicom.
W Polsce słyszą: „Wy zbrodniarze, suki, od teraz bawimy się z Ukraińcami”

Dziesięcioletnia Sasza usłyszała w szkole, że jest faszystką.

Siedmioletni Wania został wykluczony ze wspólnych zabaw. Na początku marca koledzy z klasy, z którymi przyjaźnił się od września, powiedzieli mu na przerwie, że nie chcą mieć nic wspólnego z Białorusinem i że teraz będą bawić się z ukraińskimi dziećmi.

Siedemnastoletnia Ania ma myśli samobójcze i prosi o pomoc w zmianie szkoły, bo od jednego z nauczycieli usłyszała, że jako Białorusinka jest współodpowiedzialna za wojnę.

To tylko kilka z wielu przykładów dyskryminacji dzieci Białorusinów w Polsce.

BIAŁORUSINOM NIE WYNAJMUJEMY

O wroście odczuwanej ze strony Polaków niechęci Białorusini mówili od początku wojny. Dla większości oczywiste było, że to reakcja na wspieranie wojny przez reżim Łukaszenki. W lokalnych grupach informowali się, że należy uzbroić się w cierpliwość przy poszukiwaniu mieszkania, bo najemcy zaczęli odmawiać wynajmu osobom z białoruskim paszportem, uważać na kierowców, którzy – widząc białoruskie tablice – potrafią zajeżdżać drogę. Alina Koushyk z Centrum Białoruskiej Solidarności zauważa, że po 24 lutego wielu Białorusinów spotyka się w Polsce z odmową świadczenia usług, np. bankowych.

Na wrogość Polaków i Ukraińców narażone są także dzieci. „Ataki na dzieci białoruskie stały się po wybuchu wojny powszechnym zjawiskiem. Bywają szykanowane przez dzieci polskie i ukraińskie, które widzą w nich wrogów, wyzywają od »suk«, »zbrodniarzy«, »faszystów«” – potwierdza Aleksandra Zielińska z fundacji Humanosh, współpracująca z warszawskimi szkołami przyjmującymi dzieci obcokrajowców z Europy Wschodniej.

Tymczasem znaczna część z nich, o czym wielu Polaków zdaje się nie pamiętać, również padła ofiarą bezwzględnego reżimu. Po sfałszowanych wyborach prezydenckich na Białorusi, które w sierpniu 2020 r. zapoczątkowały serię brutalnie pacyfikowanych protestów, zaostrenie represji, wprowadzenie terroru i największą w historii współczesnej Białorusi falę emigracji, tysiące ludzi, by uniknąć prześladowań, tortur i więzienia, wyjechało z kraju. A wraz z nimi ich dzieci. Dla wielu białoruskich emigrantów i uchodźców to strach o nie był główną motywacją.

ŁUKASZENKA PORYWA DZIECI

Daria Czurko, białoruska obrończyni praw człowieka, w raporcie dla Centrum Swobód Obywatelskich opublikowanym w 2021 r. pisała: „Od lat jednym z najbardziej bolesnych środków

nacisku, stosowanym przez państwo w celu ukarania aktywnych politycznie obywateli, jest prawne uznanie rodziny za »stwarzającą zagrożenie społeczne«. Może to prowadzić do pozbawienia rodziców praw obywatelskich i umieszczenia dzieci w domach dziecka”. Przekonał się o tym w 2010 r. rywal Łukaszenki Andriej Sannikow, kandydujący na urząd prezydenta. Jego trzyletniego syna Daniłę pracownicy opieki społecznej usiłovali wykraść z przedszkola.

O możliwości utraty dziecka wiedzą wszyscy Białorusini, nie tylko ci zaangażowani w wielką politykę.

Irinie, którą latem 2020 r. podczas jednego z protestów w Homlu aresztowała milicja, ledwo udało się uniknąć utraty praw rodzicielskich. Opieka społeczna dwukrotnie dobijała się do drzwi domu, w którym mieszkała z dziewięcioletnią córką Olą. Irina za każdym razem udawała, że jej nie ma. Za pierwszym razem Ola schowała się pod stół, pod którym cichutko jak myszka sie-

ba uciekać do Polski. Spakowała siebie i córkę, pojechała na lotnisko. „Mamusi, co za szczęście, teraz będziemy już bezpieczne” – powiedziała Ola tuż po starcie samolotu.

BO TWÓJ KRAJ TEŻ NAPADŁ NA UKRAINĘ

„Dzieci to dla nas najsłabsze ogniwo. Reżim zawsze próbuje zadać jak największy ból. Kiedy moją córkę TONIĘ i jej męża aresztowali i skazali na pięć i pół roku więzienia za współpracę z Cichanowską, wywiozłam wnuki do Ukrainy. Pieszko przekraczaliśmy granicę” – opowiada Anna, babcia pięcioletniej Nastii i siedmioletniego Wani.

Dzisiaj mieszka z dziećmi w Warszawie. Mimo że nie musi się martwić już białorską milicją czy prokuraturą, nie jest łatwo. Prócz oczywistej tęsknoty za rodzicami dzieci mierzą się z trudami życia na emigracji. „Wani jest trudniej. Uczy się języka, ale nie przychodzi mu to tak łatwo jak Nastii. W szkole wstydi się rozmawiać, bo zdarza się, że kiedy powie coś złe, dzieci się z niego śmieją. Uczy się dobrze, ale podobno dużo milczy, trzyma się na uboczu. Długo nie chciał mówić, gdzie są jego rodzice. Mówił, że nie umie wyjaśnić po polsku, dlaczego są w więzieniu. Bał się, że dzieci pomyślą, że to bandyci” – opowiada Anna.

Jej wnuki sprawiają wrażenie poważniejszych od rówieśników. Podczas rzadkich, kilkuminutowych rozmów na Skypie z mamą, na które zezwolił białoruski sąd, Nastia i Wania, widząc płaczącą TONIĘ, mówią: „Nie płacz, mamusi, zobacz, jesteśmy silni”.

Prócz tego interesują się polityką, dużo mówią o Białorusi, represjach, policji, a teraz także o wojnie. Kiedy koledzy z klasy powiedzieli Wani, że nie

Kostia, ojciec ośmioletniego Wadima: „Tłumaczy mi, że musi mieć zawsze włączony telefon, nawet na lekcji, bo boi się, że przegapi wiadomość o śmierci Putina albo Łukaszenki”

Z kolei w 2020 r. z groźbą odebrania dzieci spotkała się liderka opozycji Swiatłana Cichanouska, która z tego powodu zgodziła się na przymusową emigrację, i niedoszły kandydat na urząd prezydenta Waleryj Cepkała, który wyjechał z kraju z dziećmi kilka tygodni przed wyborami.

działa jeszcze kilka godzin po odejściu pracownic opieki. Za drugim – w bani w ogrodzie. Kiedy Irina przebywała w areszcie, dziewczynka, pod opieką starszej siostry, nieustannie pytała, czy „mama na pewno nie umarła”.

Irina zrozumiała wtedy, że nie ma sensu liczyć na poprawę sytuacji, trze-



FOT. ARCHIWUM CENTRUM BIAŁORUSKIEJ SOLIDARNOSCI

będą się z nim już bawić, bo jest z Białorusi, kraju, który „też napadł na Ukrainę”, chłopiec nie mógł zrozumieć: przecież on też cierpi przez Łukaszenkę i szczerze go nienawidzi. „Dzieci na drugi dzień zapomniały, a Wania zapytał mnie, dlaczego innym krajom udało się obalić dyktatorów, a nam naszego »karalucha« nie udało się pozbyć. Nie wiem, co mu odpowiedzieć” – mówi Anna.

Irina: „Pierwsze dni wojny były trudne, Ola tłumaczyła dzieciom, że nie jesteśmy tacy jak Łukaszenka, że pomagamy Ukrainie i jesteśmy przeciwni tej wojnie. Opowiadała, jak musialiśmy uciekać przez Łukaszenkę i Putina”. W wolnych chwilach dzieciolatka rysuje portrety białoruskich opozycjonistów. Jeden podarowała Ci-chanouskiej. „Chodźmy na akcje solidarności Białorusinów. Ola wykrzykuje na nich po rosyjsku samodzielnie wymyślone hasło: »Łukaszenka, obys̄ zdechł«”.

NA WSZYSTKICH RYSUNKACH TWARZ ŁUKASZENKI

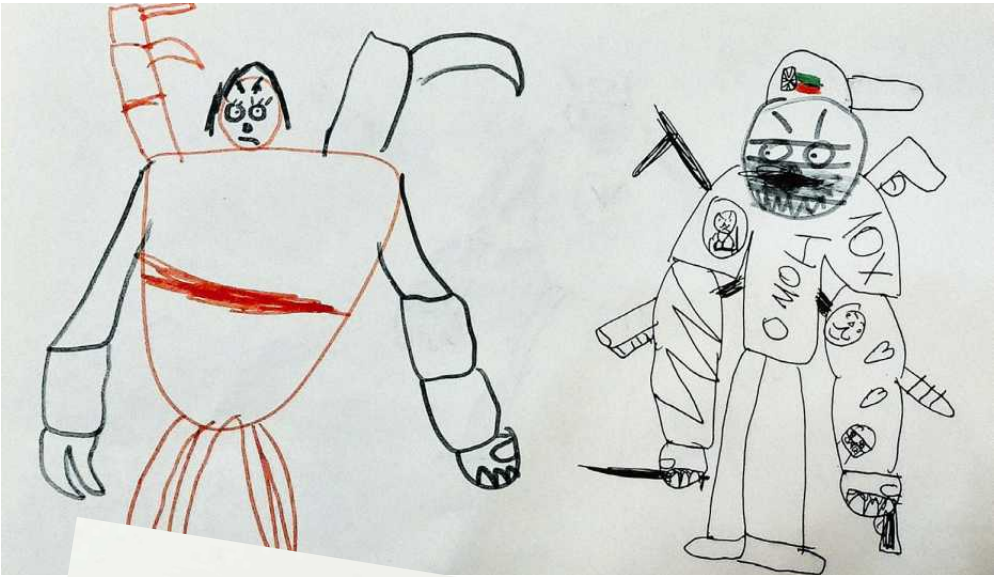
Tego samego życzą Łukaszence inne dzieci. Helena Rodzina, założycielka szkoły przy Centrum Białoruskiej Solidarności, do której uczęszcza ponad 60 uczniów, wspomina pierwsze tygodnie placówki: „Początkowo chodziło nie tyle o naukę, ile o to, by ułatwić dzieciom zadowolenie się w Polsce, umożliwić nawiązanie przyjaźni, bo wiele czuło się samotnymi. Dzieci dużo rysowały na dowolne tematy. Na wszystkich rysunkach jest wściekła, czerwona twarz Łukaszenki albo milicjanci i funkcjonariusze OMON-u w kałużach krwi, z poodrywanymi głowami i nogami”. Łukaszenka i Putin nie schodzili z ust dzieci przez wiele miesięcy. Niektóre, mimo że mieszkają w Polsce od roku, półtora, do dziś powtarzają, że „wrócą do domu, kiedy Łukaszenka umrze”.

„Mój syn tłumaczy mi, że musi mieć zawsze włączony telefon, nawet na lekcji, bo boi się, że przegapi wiadomość o śmierci Putina albo Łukaszenki” – śmieje się Kostia, ojciec ośmioletniego Wadima. Całą rodziną przyjechali do Warszawy zimą 2020 r. Na Białorusi przeciwko Kostii wszczęto postępowanie karne, grozi mu co najmniej dziesięć lat. „Dzieciom tu dobrze, tłumaczymy im, że muszą przestać wspominać, tęsknić, bo nie wiadomo, czy kiedykolwiek będziemy mogli wrócić, a trzeba żyć, myśleć o przyszłości”.

Natalia Presniakowa, psycholożka pracująca z dziećmi uchodźców z Białorusi i Ukrainy w Centrum Terapeutycznym „Kolory”, podkreśla, że większość dzieci z Białorusi jest przekonana, że w najbliższym czasie wróci do domu. Ich nieadekwatne do wieku zainteresowanie polityką wyjaśnia sytuacją w domach: „Jeśli rodzice żyją sytuacją w kraju, omawiają ją przy dzieciach, one przejmują ich nastroje, żyją w napięciu, a często też oczekiwaniu. Dzieci rodziców, którzy nie mówią przy dzieciach o polityce, nie zabierają ich na akcje polityczne, są spokojniejsze. Przyjmują emigrację jako szansę, a nie konieczność. Łatwiej godzą się ze zmianami, traktują je jako naturalny proces”.

CO ZROBICIE Z MOJĄ MAMĄ?

Niektóre dzieci z Białorusi są podwójnymi uchodźcami. Za pierwszym razem uciekały z rodzicami do Ukrainy, za drugim – przed rosyjską napaścią do Polski. „Moja wychowawczyni, pa-



dzili się zaczekać na jego przyjazd. Kiedy zabierali Żenię, biła z całej siły pięściami w szyby samochodu, patrząc na oddalającą się sylwetkę córki.

Po wyjściu z aresztu Żenia zostawiła córkę pod opieką dziadków oraz ojca i wyjechała, by przeczekać najgorsze. Od śledczych usłyszała bowiem wprost, że ze względu na swoją działalność i współpracę z Ci-chanowską „nie będzie miała życia”. „Mówiła, że wróci za miesiąc” – wspomina Sasza.

Nie wróciła, z córką spotkała się po ponad pół roku w Kijowie, do którego w czerwcu 2021 r., kilka dni po porwaniu przez reżim Łukaszenki samolotu z popularnym opozycyjnym dziennikarzem i blogerem Romanem Protasiewiczem, przywiózł ją autobusem tata. „Funkcjonariusze KGB, mężczyźni, przeprowadzili Saszy na granicy rewizję osobistą. Przejrzeli nie tylko torbę i plecak, ale kazali się jej rozebrać” – mówi Żenia.

Wcześniej, kiedy Żenia wyjechała do Ukrainy, wielokrotnie dzwoniła na komórkę Saszy, pytali, gdzie jej mama, czy wszystko z nią w porządku, kiedy wraca. Sasza odpowiadała, że przecież dobrze wie, gdzie jest Żenia: „Nie mogłam jej zabrać. Po pierwsze, cały czas myślałam, że wkrótce wrócę. Po drugie, pierwsze miesiące na emigracji były trudne, nie miałam warunków, by sprowadzić córkę. Sasza była u dziadków, chodziła do szkoły. Codziennie rozmawialiśmy, wydawało mi się, że jestem na bieżąco. Dopiero kiedy się zobaczyłyśmy, Sasza powiedziała mi, że ją porzuciłam, że kraj i pomaganie innym były dla mnie ważniejsze niż ona”.

NIE ZABIJAJCIE, JESTEM DOBRYM CZŁOWIEKIEM

W ukraińskiej szkole dziewczynka złapała oddech. Tęskniła za tatą, babcią, psem, domem i własnym pokojem z białymi ścianami. W chwilach nerwów płakała i życzyła Łukaszence oraz OMON-owcom śmierci. Ale przynajmniej coraz mniej bała się policjantów mijanych na ulicach Kijowa, coraz rzadziej śniły jej się koszmary. Do 24 lutego. Na prośbę Żeni, usiłującej zachować spokój, by spakowała swoje rzeczy, bo czas na wycieczkę do Warszawy, odpowiedziała: „Mamo, nie musisz udawać, wiem, że zaczęła się wojna. Wiedziałam na TikToku, rozmawialiśmy już o tym na czacie klasowym”. „Miałam wrażenie, że mam do czynienia z dorosłą osobą” – wspomina Żenia.

Nie wyjechały od razu. Początkowo ukrywały się w mieszkaniu, którego okna zabezpieczyły materacami, by uchronić się przed odłamkami szkła. Później zeszedły do schronu w budynku, potem do metra. „Cały czas słyszałam odgłosy wybuchów, syren alarmowych i warkot wojskowych pojazdów. Sasza kładła się na podłodze przy każdym głośniejszym huku, płakała, krzyczała, że prosi, by jej nie zabijać, bo jest dobrym człowiekiem. Zrozumiałam, że muszę ratować siebie i dziecko”.

Podróż do Polski zajęła im sześć dni. Ten czas Żenia wspomina jako jeden z najtrudniejszych w całym życiu. „Kiedy nie udało nam się wsiąść we Lwowie do pociągu, Sasza wpadła w histerię. Krzyczała, że ją okłamałam”. Podobnych chwil było znacznie więcej. A początki w Polsce również nie należały do łatwych. „Saszka pierwszego dnia wróciła ze szkoły z błyszczącymi oczami, drugiego – już smutna, bo chłopiec z Ukrainy, też nowy uczeń, nazwał ją faszystką. Pytałam, dlaczego mu nie wyjaśniła, że to nieprawda. Powiedziała, że to nie ma sensu”.

Po dłuższej chwili dodaje: „Sasza bardzo się zmieniła. Nie żartuje jak kiedyś, szuka samotności. W polskiej szkole czuje się dobrze. Poza tym jednym incydentem nie miała przykrości. Coraz lepiej mówi, nauczyciele ją lubią. Podobno na przerwach ładnie bawi się z dziećmi. Kiedyś po powrocie ze szkoły zapytała mnie: »Mamo, jak to możliwe, że te dzieci tak spokojnie żyją?«. Powiedziałam jej, że to dobrze, że tak trzeba”.

CHCEMY PÓJŚĆ DO KINA Z RODZICAMI

Wania i Nastia nie myślą o przyszłości. Nie planują. Gdy babcia pyta o marzenia, mówią o wyjeździe nad morze, uwolnieniu rodziców i wyprawie z nimi do kina z okularami 3D.

Ola twierdzi, że w najbliższym czasie wróci na Białoruś, by zobaczyć się z ukochanym dziadkiem i pozostawionym pod jego opieką kotem. Czeką na upadek reżimu.

Sasza uczy się myśleć o Polsce jako kraju, w którym będzie żyć. Mama tłumaczy jej, że niewykłuczone, że na Białoruś nie będą mogły wrócić nawet przez 10 lat. ●

*Niektóre imiona zostały zmienione

1. Materiał powstał przy wsparciu nagrody z konkursu realizowanego przez Centrum Edukacji Obywatelskiej, która finansowana jest ze środków Unii Europejskiej.
2. Tekst powstał we współpracy z organizacją pozarządową Mondo w ramach projektu „I am European”, współfinansowanego przez Komisję Europejską, ministerstwo kultury Republiki Estońskiej, Fundację Społeczeństwa Obywatelskiego i ministerstwo spraw zagranicznych Republiki Estońskiej, ze środków przeznaczonych na wspólne prace rozwojowe i pomoc humanitarną.



• 13 kwietnia, spotkanie prezydentów Litwy, Polski, Ukrainy, Łotwy i Estonii w Kijowie

FOT. EAST NEWS

Politycy krzyczący „Ukraina natychmiast w Unii” zastraszają pułapkę. I na Ukrainę, i na Unię

UKRAIŃCY, POHAMUJCIE ENTUZJAZM

Klaus Bachmann*

Od początku inwazji Rosji na Ukrainę toczy się na szeroko pojętym Zachodzie (co głównie oznacza w Europie i Ameryce Północnej) debata, która przykłada nieco przestarzałe kategorie wychowania dzieci do stosunków międzynarodowych: jest zła strona (Rosja), jest dobra strona (Ukraina) i aby zaprowadzić sprawiedliwość, trzeba tę złą stronę ukarać (sankcjami), a tę dobrą stronę popierać i nagrodzić. Najlepiej tak, aby to sprawca ponosił koszty wyrównania strat ofierze.

Trudno zaprzeczyć, że Rosja jest po złej stronie, bo trudno się nawet doliczyć konwencji międzynarodowych, umów dwustronnych i przepisów prawa międzynarodowego, które pogwałciła w ostatnich trzech miesiącach (i po części już wcześniej). Przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości Rosja nawet nie próbowała się bronić. Z pozostałymi wątkami tej edukacyjnej baśni jest większy problem: stosunki międzynarodowe nie funkcjonują jak staroświeckie wychowanie dzieci, głównie dlatego, że tam nie ma sprawiedliwego ojca, który wymierza sprawiedliwość.

Od kupowania więcej ropy w innych, równie despotycznych państwach świat nie stał się sprawiedliwszy, a Rosja nie stała się biedniejsza, bo ceny ropy dramatycznie wzrosły. Kwestia odcięcia gazu bardziej rozbija jedność UE, niż uszczupla budżet Federacji Rosyjskiej. Marzenia, aby Ukrainie wyrównać straty z reparacji – majątku Rosji i rosyjskich oligarchów za granicą – rozbijają się o to, że zniszczenia w Ukrainie idą w setki miliardów euro, a reparacje w setki milionów.

Państwa trudno jest ukarać, a stosunki międzynarodowe nie są sprawiedliwe. Żądania, aby Ukrainę teraz szybko przyjmować do Unii niejako w nagrodę za opór i cierpienie, są słuszne z owej perspektywy wychowawczej, ale nierealne z perspektywy polityki międzynarodowej.

Wciąż: one się rozbijają o interesy tych, którzy je obecnie głoszą. Na końcu to Unia (a więc my wszyscy) zapłaci za straty Ukrainy i Ukraina do Unii przyjęta nie zostanie. Świat ani nie będzie sprawiedliwszy, ani nie wróci do stanu sprzed rosyjskiej inwazji. Finlandia, Szwecja, a może nawet Austria i Szwajcaria wejdą do NATO, a Ukraina, która im to umożliwiła – nie. Próba szantażu Turcji wobec Finlandii, Szwecji i NATO najlepiej pokazuje, jak stosunki międzynarodowe funkcjonują naprawdę: bardziej jak turecki bazar niż paternalistyczne przedszkole.

Tak zwany szantaż Erdogana nie jest bowiem niczym szczególnym ani w stosunkach międzynarodowych, ani w polityce wewnętrznej i – wbrew temu, co twierdzą niektórzy komentatorzy – nie jest to tylko zwyczaj rządów autorytarnych. Również prezydent Chorwacji Zoran Milanović wyraził zastrzeżenia wobec rozszerzenia NATO na północ. Być może inne państwa pójść w jego ślady.

Dużo mówi się o szantażu, dodając, że nie powinien on być środkiem politycznym. Wręcz przeciwnie: szantaż jest obecny w polityce od zawsze, od kiedy istnieje polityka. Nikt nie wie tego lepiej niż obserwatorzy, lobbyści, politycy i dyplomaci w Unii Europejskiej: tam w każdych ważnych negocjacjach bierze udział jedna lub więcej stron, które – gdy wszystko wydaje się już załatwione – wyskakują jak filip z kopni, grożąc wetem, choćby po to, by zwrócić na siebie uwagę i móc po powrocie do własnej stolicy stroić się w pióra „twardych obrońców interesu narodowego”. I prawie zawsze w ostatniej chwili udaje im się uzyskać jakieś ustępstwo, dłuższy okres przejściowy, trochę więcej pieniędzy ze wspólnej puli, zawieszenie niewygodnych przepisów, które potem mogą przedstawić w domu jako gigantyczne osiągnięcie.

Rząd turecki nie robi nic innego. Wykorzystuje okazję do uzyskania ustępstw, których mu wcześniej odmawiano. Jeśli pozostałe państwa się zgodzą, wszyscy osiągną to, czego chcieli: Turcja dostaje swoje, Finlandia i Szwecja wejdą do NATO i NATO zyska dwóch dodatkowych sojuszników, co

podwyższa koszty i wysiłek, jaki Rosja musi ponieść, aby chronić się przed „okrążeniem” ze strony NATO, w które wierzą jej liderzy. Jeśli pozostałe kraje NATO (a także Finlandia i Szwecja) pozostaną nieugięte wobec „szantażu Erdogana”, wszyscy pójść z torbami: NATO, Szwecja, Finlandia i Turcja.

Właśnie dlatego dojdzie do porozumienia. Zwłaszcza że inne kraje NATO mają łatwą alternatywę: mogą zawrzeć dwustronne sojusze z dwoma państwami nordyckimi, rozmieścić tam wojska i zaprosić fińskie i szwedzkie oddziały na wschodnią flankę. Korzyści polityczne, dyplomatyczne i wojskowe byłyby takie same jak w przypadku zwykłego rozszerzenia, z tą różnicą, że nie dotyczyłoby to Turcji. Dla obronności Finlandii i Norwegii Turcja i tak ma ograniczone znaczenie, ale dzięki porozumieniu z USA, Francją i Wielką Brytanią oba kraje zostałyby objęte parasolem odstraszania jądrowego. Dla Rosji byłaby to tak samo gruba czerwona linia jak przystąpienie Finlandii i Szwecji do NATO.

„Szantaż Erdogana” niczego nie uczy o zachowaniu państw autorytarnych, choć Turcja takim państwem niewątpliwie jest. Zachowanie Erdogana pokazuje coś innego – i to jego krytykom w Europie nie będzie się podobać. To zapowiedź, co się stanie, jeśli Komisja Europejska rzeczywiście zacznie poważnie myśleć o jak najszybszym przyjęciu Ukrainy do UE. Będzie to uczta intelektualna dla wszystkich, którzy zajmują się teorią gier, lekcją „gry weta”, czyli tego, jak uzyskać jak najwięcej dla siebie, blokując innych.

Aby uniknąć nieporozumień: istnieje wiele powodów, dla których Ukraina powinna szybko przystąpić do UE. Niektóre są czysto moralne i dlatego tu mało istotne. Inne są oczywiste: jeśli po wojnie Ukraina nie ma stać się czarną dziurą w Europie, która z powodu wyjątkowo słabej waluty i załamania gospodarki stale wysyła miliony migrantów na Zachód, to Europa Zachodnia i Środkowa muszą zapłacić rachunek za to, co zrobiła Rosja. Gdyż Rosji zmusić do reparacji się nie da, dopóki Ukraina nie zajmie części Rosji.

A jeśli Ukraina naprawdę chce być neutralna i jednocześnie bezpieczna od Rosji, będzie musiała mieć budżet obronny w podobnych proporcjach do swojego produktu narodowego brutto jak Izrael, również otoczony przez większe, autorytarne i rewizjonistyczne państwa chcące go zniszczyć. Wydatki na infrastrukturę, edukację, opiekę społeczną i kulturę będą więc musiały pochodzić skądinąd – co może być bardziej oczywiste niż Unia Europejska?

Tu jest pies pogrzebany. Jeśli bowiem odbudowa Ukrainy zostanie sfinansowana z budżetu UE, to dotychczasowi płatnicy netto będą musieli zapłacić nieproporcjonalnie dużo. A jeśli, jak to się obecnie dyskutuje, Parlament Europejski otrzyma kontrolę nad budżetem, mogą nawet stracić wpływ na to, jak wydawane są wpłacone przez nich pieniądze.

Jeśli Ukraina będzie odbudowywana ze środków spoza UE, proces ten będzie pod kontrolą państw członkowskich – wtedy pieniądze są zbierane przez organizacje międzynarodowe i na konferencjach darczyńców, gdzie każdy może sam zdecydować, ile chce zapłacić. Tak jak do tej pory.

Dlatego to nie tylko obawa, że Putin uzna wejście Ukrainy do Unii za eskalację, studzi entuzjazm w Paryżu, Berlinie i Hadze wobec ferworu Ursuli von der Leyen, ale też chłodne kalkulacje.

Zaskakujący jest natomiast entuzjazm w Europie Środkowo-Wschodniej dla ekspresowego przyjmowania Ukrainy do UE. Być może zwolennicy szybkiej akcesji wychodzą z założenia, że zapal ich nie będzie kosztował, ponieważ obciążą głównie płatników netto do budżetu UE. Ale to, że Berlin, Paryż i Haga będą płacić więcej, nie znaczy, że Litwa, Polska i Słowacja przyszczędzą i będą sobie mogły coś kupić. Przeciwnie: czeka na nie słony rachunek.

Ze względu na ogromne potrzeby Ukrainy budżet UE będzie musiał bardzo się powiększyć, jeśli odbudowa ma być finansowana z jego środków. Jednocześnie przystąpienie Ukrainy do UE znacznie obniży średnie wartości statystyczne, na podstawie któ-

rych obliczana jest wysokość transferów unijnych dla każdego kraju.

Innymi słowy, dotychczasowi najwięksi beneficjenci netto otrzymają znacznie mniej środków lub nawet staną się płatnikami netto. Będzie to oznaczało zniknięcie najważniejszego bodźca, dzięki któremu Unii udało się do tej pory spowołnić, a nawet zatrzymać demontaż państwa prawa w Polsce, na Węgrzech, w Bułgarii i Rumunii. I dla tamtejszych społeczeństw, ale przede wszystkim dla ich rządów, znika jeden z najważniejszych powodów członkostwa w UE: wysokie transfery.

Ale jaki sens ma przyjęcie Ukrainy do UE, jeśli następnie UE pożegna się z Polską, Węgrami, Bułgarią i Rumunią? Wystarczy rzut oka na mapę: nie ma to najmniejszego sensu – dla wspólnego rynku, swobodnego przepływu towarów i usług, dla swobody przemieszczania się, transportu, ale także dla ochrony środowiska i unijnej polityki klimatycznej. W tym świetle nie ma to nawet większego sensu dla Ukrainy, ponieważ znalazłaby się ona w Unii, z którą w najlepszym wypadku miałyby jedynie bardzo krótką i górzystą wspólną granicę przez Słowację.

Nie jest to jedyny aspekt, który pominieli szefowie rządów, którzy w ostatnich tygodniach tak jednoznacznie opowiedzieli się za szybkim przyjęciem Ukrainy.

Konferencja na temat przyszłości Europy dobiegła końca, a w najbliższych miesiącach i latach najprawdopodobniej odbędą się negocjacje w sprawie reformy traktatowej UE. Dojdzie więc do tego, o czym Jarosław Kaczyński marzy od lat, tyle że wynik będzie odwrotny do tego, czego pragnie: zamiast ograniczenia władzy instytucji ponadnarodowych będzie więcej kompetencji dla nich, więcej decyzji podejmowanych większością głosów, więcej obszarów, w których zniesione zostanie weto narodowe. Tak zawsze było, żadna reforma dotąd nie cofnęła UE z tej drogi.

Wzmocniona zostanie także strefa euro i jej instytucje, które na wniosek Francji dysponują już własnym budżetem (choć niewielkim). Im większa będzie Unia, tym trudniej będzie podejmować decyzje, zwłaszcza jeśli mają być one jednomyślne – i tym bardziej będzie integrować się i wzmacniać strefa euro. Trzy z ośmiu krajów, których rządy już pod koniec lutego wezwały do szybkiego przyjęcia Ukrainy, nie należą do strefy euro: Czechy, Polska i Bułgaria. Proponując ekspresowe przyjęcie Ukrainy, osłabiają własną pozycję w UE. Chyba uszło to ich uwadze.

Może się okazać, że Ukraina przystępuje do UE zredukowanej do strefy wolnego handlu, w której o praworządności myśli się jak PiS i Fidesz

Po akcesji Ukrainy zniknie najważniejszy powód, który trzyma Polskę i Węgry w UE

Im mniejsza odpowiedzialność jakiegoś polityka za ostateczny wynik procesu, w którym uczestniczy, tym głośniej i z tym większą determinacją się wypowiada. To stała reguła, którą można było też obserwować w ostatnich miesiącach: Niemcy dyskutują o dostawie kilku haubic, jakby od tego zależał wynik wojny, gdy USA, Wielka Brytania, Słowacja i Polska już dawno dostarczyły ciężką broń. Boris Johnson opowiada się za wycofaniem się Rosji z międzynarodowego systemu płatności SWIFT, na który jego rząd po brexicie nie ma już żadnego wpływu. USA opowiadają się za wstrzymaniem importu gazu z Rosji, ponieważ same nie importują gazu, a Europejczycy muszą wtedy kupować gaz amerykański. Polska naciska na utworzenie korytarza humanitarnego, który inni musieliby militarnie przeforsować. Być może za głośnym żądaniem szybkiego przyjęcia Ukrainy kryje się świadomość, że nie da się go w ogóle zrealizować – ale jeśli się tego stanowczo żąda jako pierwszy, to można zyskać poklask mas, gdy inni będą sprawiać wrażenie hamulcowych.

Zgodnie z obecnym stanem prawa UE, aby Ukraina mogła szybko zostać przyjęta, Komisja Europejska musiałaby błyskawicznie rekomendować rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych. Nie ma w tym zakresie ścisłych reguł, ale jeśli Ursula von der Leyen zdoła przeforsować swoje stanowisko, a wystarczająca liczba komisarzy pójdzie w jej ślady, będzie to kwestia tygodni.

Potem zaczynają się schody: państwa członkowskie muszą jednogłośnie wyrazić zgodę na negocjacje. Muszą jednogłośnie zatwierdzić scenariusz negocjacji Komisji i zaaprobować ich wyniki. Wszystko wymaga jednomyślności, a więc umożliwia zablokowanie całego procesu przez jedno państwo na zasadzie owego „weta narodowego”, na którego utrzymaniu PiS tak zależy. W końcu w każdym parlamencie krajowym i w Parlamencie Europejskim musi znaleźć się większość niezbędna do ratyfikacji traktatu o przystąpieniu.

Zasady te można zmienić, ale wymagałoby to zmiany traktatów. Ostatnia zmiana

trwała około 12 lat. I ona też musiałaby być jednomyślna i ratyfikowana przez wszystkie parlamenty krajowe.

Istnieją co najmniej cztery etapy procesu, w których gracz z wetem, taki jak Erdogan, może zablokować proces, aby wymusić ustępstwa. Różnica polega na tym, że w ramach NATO inni członkowie mogą obejść jego weto, gdy w UE zakazują to traktaty. W NATO nie ma Komisji, która stałaby na straży traktatów, ani Trybunału Sprawiedliwości UE, który karałby zachowania niezgodne z prawem. Kto wzywa do szybkiego przystąpienia Ukrainy do UE, daje wszystkim, którzy w ostatnich latach podważali podstawowe, demokratyczne reguły gry, łatwą możliwość obrony przed konsekwencjami.

Żeby było jasne: nie spodziewam się, aby obóz rządowy w Polsce nagle wycofał się z poparcia członkostwa Ukrainy, by w ten sposób wymusić wypłatę z Funduszu Odbudowy, unieważnienie rozporządzenia o praworządności albo zgodę Komisji (i TSUE) na prześladowanie sędziów w Polsce. Ale w momencie, kiedy w Brukseli dochodzi do pierwszego wymagającego jednomyślności głosowania nad negocjacjami z Ukrainą, polski rząd może rozwodnienie unijnych przepisów o praworządności i korupcji spokojnie zostawić Orbánowi i potem korzystać z tego, co on wynegocjuje, w zmianach za zgodą na otwarcie negocjacji akcesyjnych z Ukrainą. Pod tym względem Unia funkcjonuje też jak stosunki międzynarodowe: można stracić bez winy i zyskać bez zasług.

Wtedy może się okazać, że Ukraina przystępuje do UE, w której o praworządności myśli się jak PiS i Fidesz, w której państwa członkowskie mogą bezkarnie defraudować środki finansowe, a wybory nie muszą być powszechne, wolne, równe i tajne.

Wielu sceptyków obawia się, że skorumpowana Ukraina, rozdarta wewnętrznymi konfliktami, stanowi zagrożenie dla demokratycznej Unii opartej na rządach prawa. Skonfliktowana wewnętrznie i kierująca się

zupełnie innymi interesami niż pozostałe państwa członkowskie stale blokowałaby podejmowanie decyzji w instytucjach UE.

Ale to obawy na wyrost. Wcześniejsze doświadczenia z nowymi członkami pokazały, że w pierwszych latach nowicjusze rzadziej niż starsi członkowie blokowali decyzje i oponowali. Tak było nawet w przypadku pierwszych rządów PiS w latach 2005-07. Nie, zagrożenie nie pochodzi od Ukrainy, lecz od obecnych członków UE, którzy dobrze znają procedury i przepisy i mogą wykorzystać proces akcesyjny dla swoich interesów. Z tego punktu widzenia nagle nabiera sensu fakt, że Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, eurosceptyczny sojusz w Parlamencie Europejskim, do którego należy PiS, z zapalem obklejają Warszawę plakatami za szybkim przyjęciem Ukrainy, mimo że jego przywódcy do niedawna nazywali Unię okupantem, który „pozbawia Polskę suwerenności”, uzurpując sobie kompetencje prawne i ingerując w wewnętrzne sprawy kraju.

Tu powstaje pytanie: dlaczego ktoś, kto źle myśli o UE, lecz dobrze życzy Ukrainie, miałby jej sztykować taki los?

Obecnie mamy w Europie bardzo dziwny podział ról: z jednej strony są politycy, którzy mają wyraźnie pozytywny stosunek do UE, ale dość chwiejny i dwuznaczny do Ukrainy. Naprzeciwko nich stoją politycy, którzy mają jasne stanowisko w sprawie Ukrainy, ale bardzo ambiwalentny lub wręcz otwarcie negatywny stosunek do UE.

Już samo to powinno dać do myślenia ukraińskim politykom: że ci sami politycy, którzy chcą zredukować UE do strefy wolnego handlu i przy każdej okazji porównują ją do upadłego Związku Radzieckiego, teraz opowiadają się za przyjęciem Ukrainy do takiego tworu. ●



FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Klaus Bachmann

• politolog, historyk, publicysta, profesor nauk społecznych Uniwersytetu SWPS

Spotkanie w Klubie „Wyborczej”

Wtorek, 16 czerwca, godz. 20.00

Kryzys psychiczny dzieci i młodzieży. Jak im pomóc

Spotkanie poprowadzi Aleksandra Sobczak

Dołącz do Klubu „Wyborczej” na [Wyborcza.pl/prenumerata](https://wyborcza.pl/prenumerata)

Obejrzyj na:  wyborcza.pl



Aleksandra Lewandowska

Lucyna Kicińska



Kim jest bankier Kaczyńskiego?

ZAWSZE WIEDZIAŁ, CO KOMU TRZEBA POWIEDZIEĆ

Zaczynał w partii Tuska. Dbal o pieniądze dla Porozumienia Centrum Jarosława Kaczyńskiego. Jako minister pomógł ojcu Rydzykowi. Dziś finansuje pomysły rządu PiS. I nigdy nie słyszał o łapówkach

Iwona Szpala, Dominika Wielowieyska

Jak tak patrzę na niego i słucham, to myślę: ten sam Adam, dalej lubi dużo gadać – mówi Stanisław Rojek, były partyjny kolega Adama Glapińskiego z lat 90. i czasów Porozumienia Centrum. – Nie mogę jednak uwierzyć w to, co teraz mówi. Doskonale pamiętam, że jego poglądy na temat gospodarki, monetaryzmu były bardzo liberalne. Cóż, widać punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

To właśnie w Porozumieniu Centrum Glapiński zawarł najważniejszą politycznie przyjaźń – z Jarosławem Kaczyńskim. Po latach, w wydanej w 2006 r. książce „O dwóch takich... Alfabet braci Kaczyńskich”, Piotr Zaremba i Michał Karnowski zapytali prezesa PiS, kto go zawiódł z dawnej ekipy PC.

– Adam Glapiński? Łasy na pieniądze, także na kobiety... – zauważyli dziennikarze.

– Bardzo zdolny i sympatyczny, ale trochę singiel. Do polityki, jaką uprawiało PC, nie bardzo się nadawał. Do dziś jesteśmy w dobrych stosunkach. Co do kobiet, nie mnie oceniać – stwierdził Kaczyński.

Po wygranych w 2015 r. wyborach prezes PiS posła Glapińskiego do Narodowego Banku Polskiego. Ten sam Kaczyński, który na jednym ze spotkań z partyjnymi kolegami w latach 90. stwierdził: – Gdybyśmy przyjęli założenia czysto moralne, tobyśmy niczego nie mieli.



• **4 czerwca 1993, manifestacja Porozumienia Centrum, Ruchu dla RP i Ruchu III RP w rocznicę upadku rządu Olszewskiego. Obok Jarosława Kaczyńskiego po lewej Antoni Macierewicz i Adam Glapiński, po prawej minister obrony u Olszewskiego Jan Parys i jeden z liderów „Solidarności” Zygmunt Wrzodak**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

nego przebiegu. Ale tak to już jest, że dobrobyt i demokracja nie przychodzą same. Trzeba o nie walczyć.

Nic z prognoz Glapińskiego się nie sprawdzi. Jesienią 1993 r. rozdrobniona prawica poniesie wyborczą klęskę, historia zmyje też z parlamentarnej sceny Porozumienie Centrum, które dostanie zaledwie 4,4 proc. głosów. Niedługo po przegranej drogi Kaczyńskiego i Glapińskiego rozjeżdżą się na lata.

– To kim pan właściwie jest? – takie pytanie w 2005 r. zadaje Glapińskiemu jeden z posłów komisji śledczej badającej sprawę niewłaściwego nadzoru skarbu państwa nad Orlenem.

– Politykiem gospodarczym – odpowiada dzisiejszy prezes NBP. Po chwili dodaje, że ekonomistą i ekspertem. – No, takim organizatorem ekspertów Porozumienia Centrum – mówi o czasach, gdy był przy Kaczyńskim.

Zanim wszedł do polityki, w CV miał Szkołę Główną Planowania i Statystyki (dziś SGH), na której wykłada od pierwszej połowy lat 70. Nie ma legitymacji PZPR, nie wciąga go też karnawał „Solidarności”, choć do związku należy.

– Moja działalność polityczna była sprostowana do tego, że byłem współprzewodniczącym podziemnej „Solidarności” w ówczesnym SGPiS. Gdy został wprowadzony stan wojenny, uaktywniłem się. Tak mam charakter, że te trudne czasy bardziej mi jakoś odpowiadają, do mojego temperamentu lepiej przylegają. Organizowałem podziemne nauczanie itd., itd., jakieś tam publikacje w prasie podziemnej. Nic wielkiego. Później nie byłem w ogóle w polityce – mówi podczas orlenowskiej komisji.

W tamtych czasach Glapińskiego poznaje Andrzej Halicki. Dzisiejszy europoseł KO jest zaangażowanym politycznie studentem, liderem NSZ na uczelni, na której wykłada Glapiński.

– Przed 1989 r. należeliśmy do grupy, której mentorem był prof. Janusz Beksiak. To było środowisko wywodzące się z podziemnej „Solidarności”, wolnościowcy, gospodarczy liberalowie. Profesor stworzył świetną grupę myślących niezależnie ludzi, którzy potem poszli w różne strony. Część stała się uczniami Balcerowicza, część została przy Beksiaku – opowiada Halicki.

– Adam Glapiński, wtedy jeszcze adiunkt, był bardzo lubiany: fajny, dowcipny, z dystansem, do tego barwnie mówiący. Pamiętam, że na jednym z naszych obozów brał udział w studenckim festiwalu piosenki, w którym obrażało się komunę. To były dzieła autorstwa własnego, na gitarze, przy ognisku, często bardzo dosadne.

Wedle opowieści samego Glapińskiego do poważnej polityki wszedł dzięki kawiarni Niespodzianka. Przed czerwcowymi wyborami 1989 r. urządził się tam warszawski Komitet Obywatelski. Kawiarnia przy pl. Konstytucji to był najgorętszy adres stolicy, oblegany przez tłumy, z masą chętnych do pomocy przy kampanii kandydatów „Solidarności”.

Przyszli też Glapiński, który z okna mieszkania teściów miał akurat widok na kawiarnię. – Ja na plac Konstytucji często przychodziłem, no to tam wszedłem i włączyłem się w te prace. Początkowo byłem szefem sekcji porządkowej. No i tak to się stało. Zaangażowałem się coraz silniej, co

raz mocniej – opowiada przed sejmową komisją.

Wedle Halickiego to uproszczona wersja biografii dawnego kolegi. Mówi, że grupa, którą skrzyknął prof. Beksiak, dużo wcześniej miała ambicje polityczne. Zaś Glapiński wyrobił sobie znajomości w środowisku solidarnościowym, które potem pozwoliły mu wyjść poza rolę akademickiego nauczyciela. Sam prof. Beksiak mocno angażuje się publicznie, jest m.in. w Komitecie Obywatelskim Lecha Wałęsy, reprezentuje stronę solidarnościową przy Okrągłym Stole.

Co robi Glapiński po czerwcu 1989 r.? – Trzymamy się razem. Adam Glapiński jest przy powstającym Kongresie Liberalno-Demokratycznym, do którego dołączyłem po czasach NZS – podkreśla Halicki.

Mocno się angażuje? – Bardzo. Przecież razem zakładaliśmy KLD w Warszawie – odpowiada Halicki.

KLD, której jednym z liderów jest Donald Tusk, to wówczas część Porozumienia Centrum – federacji budowanej jako zaplecze polityczne Lecha Wałęsy. Ścieżki liberalów i Kaczyńskiego rozchodzą się wiosną 1991 r., gdy PC z federacji staje się partią.

Glapiński nie zwykł wspominać czasów w Kongresie. Za to bardzo lubi podkreślać, jak zakładał PC wraz z Jarosławem Kaczyńskim. Obaj są wtedy zadeklarowany-

W 2021 r. jego pensja wzrosła o 17,8 proc. i wyniosła 1,115 mln zł, a reszty kadry kierowniczej – członków zarządu i dyrektorów departamentów – o odpowiednio 3,5 i 1,1 proc. Jak pisał „Fakt”, prezes NBP otrzymał bonusy w marcu, maju, sierpniu i listopadzie 2021 r.

„Wyniosły (prawdopodobnie) odpowiednio 152 tys. zł, 101 tys. zł, 165,6 tys. zł oraz 189 tys. zł”

mi zwolennikami Lecha Wałęsy, Glapiński w dużym pokoju swego mieszkania wiesz na macie wspólne zdjęcia z przyszłym prezydentem, kota nazywa Lech.

Halicki: – Glapiński był wciąż z KLD, kiedy premier Jan Krzysztof Bielecki [jeden z liderów Kongresu] proponował mu tekę ministra budownictwa. Dobrze to pamiętam, bo Glapiński przyszedł do mojego ojca, długo rozmawiali. Uznał, że wyzwanie może być inspirujące, ale tak naprawdę chciał więcej. Zależało mu na Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. W PC obiecali, że o to powalczą, więc się do nich przesiadł. Powiedział otwarcie, że u nas nie wyszło, a tamci się zadeklarowali, więc teraz chciałby z Kaczyńskim.

W tamtym czasie bardzo mocno wyrósł Leszek Balcerowicz jako profesor SGPiS, Adam Glapiński nie słynął z wybitności ekonomicznej na naszej uczelni – opowiada Tomasz Siemoniak, na początku lat 90. też polityk KLD, dziś poseł KO. – Kaczyński wybiera ludzi o specyficznych cechach, którzy nie odnieśli sukcesów. Zobaczył człowieka lojalnego, który ma papiery na to, by wyeksponować go w segmencie ekonomicznym.

W PC Jarosław Kaczyński uzna Glapińskiego za postać wybitną, równą Balcerowiczowi. Stanisław Rojek: – Glapiński był tym praktykującym ekonomistą, potrzebnym partii. Do tego towarzyskim, potra-

fiącym się poruszać wśród ludzi. Starał się jakby gawędziarskim tonem łagodzić sytuację. Nie antagonizował rozmówców, umiał przekonać do swoich racji, nigdy nie obrażał. Zawsze wiedział, co komu trzeba powiedzieć, nie szczędził komplementów. I zwykle dostawał to, czego chciał.

Glapiński nosi koszulę wyciągniętą na spodnie, włosy zbiera w kucyk, to nie jest styl środowiska, do którego się przyłączył. Nowi koledzy nie przywiązują wagi do modynych trendów.

– Taki luzak z niego był, niby wykładowca nauk ekonomicznych, a z zachowania i sposobu bycia ciągle student. Szybko złapał porozumienie z Jarkiem Kaczyńskim – opowiada Rojek. – Wpisał się w to, co czuliśmy. Że polityka to coś naprawdę, służba publiczna bez egoizmów. Spędziłem z nim mnóstwo czasu, chodziliśmy po knajpach, żeby gadać o polityce. Bywałem u niego w domu, poznałem żonę Katarzynę, mieszkali w dwóch pokojach jakiegoś wieżowca na Ochocie, nie mieli samochodu, żyli naprawdę skromnie.

W latach 90. w PC krąży taka anegdota. Na zebranie partyjne przychodzi Glapiński, Kaczyński mówi: – Podobno dostałeś (tu pada olbrzymia kwota) od (tu pada nazwisko biznesmena). Teraz musisz to oddać partii.

Bo Glapiński i Maciej Zalewski, który potem skończy z wyrokiem – politycy ze ścisłego otoczenia lidera PC – mają szukać funduszy potrzebnych do budowy partii. I trochę ze sobą rywalizują. Wtedy nie ma jeszcze finansowania ugrupowań politycznych z budżetu, trzeba sobie jakoś radzić, chodzić po przedsiębiorcach, biznesmenach.

We wrześniu 1990 r. Glapiński idzie na bankiet wydany z okazji przyjazdu słynnego ekonomisty Miltona Friedmana. Gospodarzem jest Janusz Korwin-Mikke, sponsorem Janusz Heathcliff Iwanowski Pineiro, który ma zasobny portfel, a biznesy robi z oficerami byłego wywiadu wojskowego PRL.

Rozmawiają. Glapiński pyta, czy Pineiro nie pomógłby w kontaktach z przedsiębiorcami, a już następnego dnia przychodzi bez zapowiedzi do jego firmy. Przekonuje, by kupić PC kilka faksów z zapasem papieru.

Pineiro na bankiecie zgadza się pomóc w poszukiwaniach sponsorów, ale idzie to opornie. – Biznes nie lubił PC, dla nich to była partia „nie wiadomo, o co chodzi”, jakaś dekomunizacja, lustracja. Niestety, na koniec nie było nawet na opłacenie lokalu partyjnego – tłumaczy Rojek, który odpowiadał za partyjne finanse.

Heathcliff Pineiro sam zaczyna wspierać PC. Placi m.in. za wynajęcie auli Politechniki Warszawskiej na zjazd, na którym powstaje Porozumienie Centrum. Kaczyński jest już oficjalnie prezesem, Glapiński jego zastępcą.

Rachunki za salę przychodzą do Rojka. Pamięta młodego biznesmena, ale twierdzi, że nie był to człowiek znaczący. Sam Pineiro utrzymuje, że od kampanii prezydenckiej Wałęsy w 1990 r. przez dwa lata wsparł PC 400 tys. dol., zaś jego współnik, były oficer wywiadu wojskowego PRL, dorzucił 200 tys.

Kaczyński mówi o tym różnie. Albo że to kłamstwo. Albo że ktoś z PC mógł wziąć od Pineiry pieniądze. On sam nic o tym nie wiedział, ale z pewnością nie było to 600 tys. dol.

Wg biznesmena wpłaty na partię zapisuje w specjalnym zeszycie Glapiński. Są wówczas w doskonałych relacjach, Pineiro funduje Glapińskiemu wakacje, wypożycza firmowe mieszkanie, kupuje markowy garnitur, jakieś dodatki.

Chce, by Glapiński dobrze się prezentował jako minister budownictwa. W swojej książce Pineiro wspomina taką sytuację: Glapiński właśnie się przebrał w nowy garnitur Bossa, ale ma fatalne buty, znoszo-

ne, niemodne. Prosi Pineirę, by dał mu na chwilę swoje: „Ja noszę 42, on 43. Mimo to jakimś cudem udało mu się wepchnąć stopy i był bardzo zadowolony z tego powodu. Wziął swoją teczkę, chciał wychodzić z gabinetu, gdy zorientował się, że zostałem bez butów”.

Pineiro ma też prawo wjazdu na parking pod Ministerstwem Budownictwa i swobodny dostęp do szefa resortu. Przyprawia do gabinetu Glapińskiego swego ojczyma Krzysztofa Kowalewskiego, znanego aktora. PC proponuje mu, by poprowadził kampanię wyborczą.

Glapiński przedstawia Pineirę działaczom partii, prowadzi do Kaczyńskiego i mówi: to „młody, bogaty biznesmen zainteresowany wspieraniem prawicy”. Korzysta też z kontaktów Pineiry w służbach – pomaga weryfikować życiorysy, tak by do PC nie weszli niewłaściwi ludzie. Nazwiska dostaje od Glapińskiego.

Ale potem Glapiński, podobnie jak Rojek czy Kaczyński, mocno się od kontaktów z Pineirą dystansują. Prezes PiS w 2001 r. mówi „Rzeczpospolitej”, że widział biznesmena raz i zapamiętał tylko dlatego, że miał nietypową urodę, a za ojczyma znanego aktora. I że mu podpadł, bo nie wyjaśnił, skąd u człowieka przed trzydziestką takie pieniądze.

Sam Glapiński określił Pineirę jako „kręcącego się przy PC”. Mówił: „Nikt tego nie kwestionuje, że był dobrym znajomym niektórych działaczy prawicy”.

Skąd ten dystans? 2 mln zł na kontach firmy Pineiry wyprowadzone z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Instytucji, która miała pomóc w oddłużaniu Polski po PRL, a stała się miejscem gigantycznej defraudacji. FOZZ był największą aferą początków transformacji.

Sąd skaże Heathcliffa Pineirę. Główny macher Grzegorz Żemek, dyrektor FOZZ i współpracownik wywiadu wojskowego, przesiedzi w więzieniu wiele lat. Ale zanim zostanie zatrzymany, ma widoki na państwową karierę – będzie wśród kandydatów na wiceprezesa NBP z puli Porozumienia Centrum. W śledztwie w sprawie FOZZ Grzegorz Wójtowicz, wtedy szef banku centralnego, opisuje takie zdanie: „Otrzymałem pytanie od ministra Włodarczyka [urzędnik Kancelarii Prezydenta] i min. A. Glapińskiego, czy interesuje mnie G. Żemek jako wiceprezes NBP”.

Po latach Glapiński będzie zapewniał, że nie znał nikogo z FOZZ.

Sponsoring Heathcliffa Pineiry kosztuje politycznie. Pojawiają się pytania, czy z pieniędzy FOZZ finansowane było jego PC. Bo ukazuje się książka z opowieściami Pineiry, a potem telewizyjny dokument pokazany przed wyborami w 2001 r. Wybuch skandal.

Kaczyński powie, że to prowokacja służb i stek bzdur, a finansowanie PC „przez tych panów [Pineirę i jego współnika ze służb] jest bajką, tak samo jak nasze związki z FOZZ”.

Partyjne życie i poszukiwanie sponsorów Glapiński łączy z pracą ministra budownictwa i gospodarki przestrzennej.

Koledzy z rządu Bieleckiego pamiętają, że nie można było za dużo mówić podczas posiedzeń Rady Ministrów, bo Glapiński wszystko wynosił do mediów. W pamięci zapadło im też takie wydarzenie: szef rządu chciał, aby Rada Ministrów była w kompie na jednym z posiedzeń, kazał więc sprawdzić, czy wszyscy będą obecni.

Okazało się, że Glapiński wyjechał na dwa tygodnie do Zimbabwe na konferencję o budownictwie mieszkaniowym. – Był gdzieś na wycieczce w dżungli czy na safari, coś w tym rodzaju, i trudno go było złapać. Wszyscy zachodzili w głowę, jakie to istotne rozwiązania dotyczące budownictwa Glapiński przywiezie z Zimbabwe – ironizuje jeden z naszych rozmówców. – W każdym razie udało się do niego dotrzeć i dostał polecenie natychmiastowe-

go powrotu. Narzekał, narzekał, bo to fajna wycieczka była, ale się podporządkował.

W końcówce marca 1991 r. Glapiński umawia się w resorcie z przedstawicielami włoskiej firmy Intelco i Maciejem Zalewskim. Partijny kolega właśnie został wiceszefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ale wciąż myśli o biznesie. Prowadzi powiazaną z PC spółkę akcyjną Telegraf, którą zakładał z Kaczyńskim.

Goście Glapińskiego przyszli rozmawiać o ogólnopolskiej sieci telewizyjnej, bo akurat taki interes ma wówczas na oku Zalewski. Pomysł jest kosztowny. Włosi są gotowi, ale potrzebują rządowych gwarancji na 100 mln dolarów kredytu bankowego. Zalewski deklaruje na piśmie, że Telegraf „podejmie wysiłki” w celu nakłonienia polskiego rządu, by wystąpił do rządu włoskiego o gwarancje. Zabiega, by do inwestycji dołączył skarb państwa. To, że „podjął pozytywne starania”, poświadcza wizyta w gabinecie ministra Glapińskiego i jego podpis na liście intencyjnym.

O spotkaniu partyjnych kolegów, z których jeden chce robić prywatny biznes, a drugi wystawia mu glejt wiarygodności, bo akurat jest ministrem, dowiaduje się „Kurier Polski”. Gazeta drukuje list z podpisami, ale Glapiński nie daje się zbić z tropu. Przekonuje, że to standard, podobnych listów intencyjnych w resorcie są setki.

Potem znika z mediów, nie odpowie więc na pytanie, czy takiego listu nie powinien podpisywać minister łączności. Komisja powołana po interwencji premiera Bieleckiego uzna, że Glapiński nie naruszył prawa, ale jego podpis można uznać za „niefortunny”.

Podczas obrad sejmowej komisji orlenowskiej pada pytanie o podpis sprzed lat i że miała „to być spółka medialna Porozumienia Centrum.”

– Włoska. Coś takiego. Podpisywałem także, proszę pana, o tym może jest mniej nagłośnione – a także mówiłem – tego rodzaju jak gdyby dokumenty związane z powstaniem Radia Maryja. Za co ojciec dyrektor Rydzyk był mi bardzo wdzięczny przez wiele, wiele lat – odpowiada Glapiński. – Dlatego podpisałem jako minister budownictwa, bo żaden inny minister, do którego się ojciec Rydzyk wtedy zwrócił, nie chciał tego zrobić ze strachu. Ja byłem tym ministrem, który się mniej bał niż inni, taki jest przywilej młodości. Bo wtedy byłem jeszcze dosyć młody. I w jednym, i w dru-

go zapleczem były nieruchomości po likwidowanej spółdzielni wydawniczej RSW: biurowce, drukarnie, magazyny, okazała działka. Wszystko na warszawskiej Woli, chwilę drogi od ścisłego centrum.

Ustawa Glapińskiego pozwoliła fundacji na bezprzetargowe przejęcie gruntów. Dziś nieruchomościami zarządza powiązana ze środowiskiem PiS spółka Srebrna. Cztery lata temu Kaczyński chciał stawiać na działce jeden z najwyższych budynków w Warszawie, co ujawniła „Wyborcza”. Wycofał się w ostatnim momencie, uznając, że może to być niewygodne politycznie.

Po wyborach w 1991 r. Glapiński odbiera od premiera Jana Olszewskiego wyczekaną tekę ministra współpracy gospodarczej z zagranicą.

Kolegom z rządu utkwiała taka historia. – Miał ksywkę „Klamka”, bo klamka do jego gabinetu nie działała od zewnątrz, zwiślała bezużytecznie, nikt nie mógł wejść do jego gabinetu bez uprzedzenia, dopiero jak Glapiński chciał, to kogoś wpuszczał – opowiadają.

Jedną z głośniejszych decyzji Glapińskiego są koncesje na obrót paliwami. Minister prowokuje potężną dyskusję, że w systemie wolnorynkowym wraca reglamentacja, ręczne sterowanie. Chodzi o gigantyczne pieniądze i interesy, przeciwnicy przestrzegają przed korupcją.

Glapiński ma swoje argumenty, które w 2005 r. powtarza przed komisją śledczą: – Wtedy nie było żadnej równości konkurencji, to był obszar wielkiego zamieszania, totalnego zamętu, bo liberalizacja była wprowadzona zbyt szybko, zbyt nagle i polska gospodarka nie była do tego przygotowana. Chodziło o to, żeby nadać temu pewien rytm, pewien bieg, pewien ład, a nie o to, żeby zahamować konkurencję.

Czy wie o łapówkach w ministerstwie? – Nie było sygnałów ani postępowania – zapewnia. Przypomina, że ministrem Olszewskiego był pięć miesięcy, koncesje nadzorował 58 dni. – Następnie administrowałem ministerstwem przez tych 33 nieszczęsnych dni niby-rządu pana premiera Pawłaka – mówi. Kontrole Glapiński przeszedł pomyślnie. Podkreśla, że sam koncesji nie przydzielał.

– Czy osobiście proponował pan komukolwiek wpłaty lub gotówkę za przyznanie koncesji? – dopytuje jeden z posłów. Glapiński zaprzecza.

Taki luzak z niego był, niby wykładowca nauk ekonomicznych, a z zachowania i sposobu bycia ciągle student. Szybko złapał porozumienie z Jarkiem Kaczyńskim

gim wypadku poniosłem tego konsekwencje, oczywiście w wymiarze medialnym, bo prawnego żadnego niewłaściwego elementu nie było.

Za kadencji Glapińskiego z ministerstwa wychodzi również projekt ustawy, który pozwala uwłaszczyć się na gruntach ich dotychczasowym użytkownikom. Chodzi o spółdzielnie mieszkaniowe, które wyszły z PRL z masą nieruchomości o niejasnym statusie i nie mogą przez to inwestować.

Ale to niejedyny beneficjent. Z ustawy korzysta Fundacja Prasowa Solidarności, przybudówka Porozumienia Centrum. W zamierzeniu koncern medialny, które-

– Jak pan skomentuje cytat z wywiadu z jednej z poznańskich gazet. Osoba jest wymieniona z imienia i nazwiska, chce przed komisją zeznawać jako świadek. „W tym czasie biznesowa gwiazda” – tego pana wymienionego z nazwiska – „zaczyna jednak błędna. Nie otrzymał przedłużenia koncesji na sprowadzanie paliw”. I dalej: „Ówczesny minister gospodarki postawił warunki nie do przyjęcia – gorzko uśmiecha się biznesmen i jeszcze na koniec rzucił: »E, poznaniak, pamiętaj, że masz przynieść w tytce w starych bejmach«”.

Posel objaśnia: tytka to po poznańsku torebka, a bejmy to pieniądze.

– Nie zamierzam tego komentować – odpowiada Glapiński i dodaje, że przedsięwzięcia, z tego, co mu wiadomo, odbywa właśnie wyrok karny.

Latem 1992 r., po upadku gabinetu Olszewskiego, koalicyjny gabinet tworzy Hanna Suchocka. Kaczyński znów promuje Glapińskiego, ale dostaje od premier czarną polewkę. Według kuluarowych pogłosek chodzi o niejasności w systemie koncesyjnym na paliwa.

Kaczyński jest oburzony, wybiera lawę opozycji. Po kilku miesiącach, w lutym 1993 r., prokuratura zatrzymuje Wojciecha Dobrzyńskiego, dyrektora biura parlamentarnego Porozumienia Centrum, zasłużonego działacza, współzałożyciela partii. Zarzuty – branie łapówek za paliwowe koncesje.

Do prokuratury doniosła firma, która na obietnicę się skusiła. Padają sumy, data – niecały miesiąc przed upadkiem rządu Olszewskiego. Gdy trwa śledztwo, do dziennikarzy wychodzi Glapiński. Twierdzi, że akcja jest polityczna, wrogowie chcą zastraszyć ludzi Kaczyńskiego, doprowadzić do jeszcze większych problemów z utrzymaniem jedności szeregów PC. Tak samo uważa lider Porozumienia, wskazuje nawet autora prowokacji – to skłócony z nim prezydent Wałęsa.

Kaczyńskiemu sypie się klub, zostają tylko najwierniejsi, wśród nich Glapiński. Gdy jednak PC przepadnie w wyborach, dokona politycznego harakiri: zrezygnuje z funkcji wiceprezesa i zażąda rozliczenia liderów prawicy, którzy są winni klęski, więc uderzy w Kaczyńskiego.

Potem opuszcza Kaczyńskiego. – Trzymali z nim kontakt cały czas – twierdzi dziś Rojek. – Prezes jest takim człowiekiem, który jak traci zaufanie, to już na zawsze. Nie wraca się do łask. Oczywiście powrót jest możliwy, ale nigdy już nie osiągnie się przy nim sukcesów. Glapiński to inny przypadek, co wiadać po jego karierze. Nikt wcześniej nie był prezesem NBP przez dwie kadencje. Kaczyński rozumie, że polityka nie jest dla romantyków. Owszem, kiedyś Glapiński wykonał manifest polityczny, ale potem z Kaczyńskim nie walczył. A to się u niego bardzo liczy.

Po zerwaniu z PC Glapiński wraca do akademickiej kariery. Publicznie się nie udziela, robi wyjątek na wspomnianą trzecią rocznicę wydania książki „Lewy czerwcowy” o kulisach odwołania gabinetu Olszewskiego.

Mówi wtedy: – Polska w okowach umowy Okrągłego Stołu nie prowadzi do dobrobytu obywateli i demokracji parlamentarnej, ale do modelu latynoskiego z lat 50. czy nawet 40., który z trudem mieści się w europejskich standardach cywilizacyjnych. Należy szybko, opierając się na woli narodu, przerwać ten scenariusz.

W 1997 r. zostaje nawet senatorem, ale, jak przyznaje podczas orlenowskiej komisji śledczej, nie był to pasjonujący czas: – No i niestety, chociaż byłem zdecydowany już do polityki czynnej nie wracać, uległem namowom pana premiera Jana Olszewskiego i kandydowałem do Ruchu Odnowy Polski na senatora. Dlaczego mówię niestety? Dlatego, że Senat dla jakby osób młodszych i energicznych nie jest najlepszym miejscem.

Wraca za „pierwszego PiS”, w latach 2005-07. Dostaje dwie rady nadzorcze, m.in. koncernu KGHM. Jest też prezesem Polkomtelu, z którego odchodzi w 2008 r., gdy rządzi ekipa PO-PSL. Wreszcie w 2009 r. prezydent Lech Kaczyński robi go swoim doradcą, a potem pośle – jako swego przedstawiciela – do Rady Polityki Pieniężnej.

Glapiński znów adoruje swego dawnego szefa. – Nie spotkałem w polityce człowieka bardziej inteligentnego, lepiej rozumiejącego państwo, społeczeństwo i gospodarkę niż Jarosław Kaczyński – mówi w wywiadzie w 2009 r.

I w 2016 r. Glapiński – decyzją lidera PiS – zostaje prezesem NBP. Kaczyński nie może się go nachwalić, wylicza tytuły naukowe, staż w Radzie Polityki Pieniężnej. Ale nie miną dwa lata, gdy znowu zaczną się kłopoty.

W 2018 r. wybucha afera Komisji Nadzoru Finansowego. „Wyborcza” pisze, że biznesmen Leszek Czarnecki, właściciel Getin Noble Banku i Idea Banku, właśnie nagrał rozmowę z szefem KNF Markiem Chrzanowskim. Banki Czarneckiego akurat mają poważne kłopoty, a ich los zależy od Komisji. Chrzanowski chce pomóc, oferuje przychyłność, np. usunięcie z KNF Zdzisława Sokala. To przedstawiciel prezydenta w Komisji oraz szef Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, który jest zwolennikiem szybkiego przejęcia banków Czarneckiego przez państwo.

Ale nic za darmo – bankier ma zatrudnić Grzegorza Kowalczyka, prawnika wskazanego przez Chrzanowskiego. Wynagrodzenie – „powiązane z wynikiem banku” – 1 proc. wartości Getin Noble Banku, czyli ok. 40 mln zł.

Tak relacjonuje to śledczym Czarnecki. Słów o 40 mln i 1 proc. na nagraniu nie ma, a 1 proc. pojawił się na kartce podsunętej przez Chrzanowskiego. Na taśmie jest tylko zarejestrowany bardzo pokrętny wywód, jak ma wyglądać wynagrodzenie Kowalczyka.

Chrzanowski podaje się do dymisji. Z Glapińskim znają się z SGH, po wybuchu afery szef banku centralnego staje po stronie byłego studenta: – Prezes Chrzanowski spełnia najwyższe standardy uczciwości. Śledztwo toczy się w sprawie, a nie przeciwko niemu. Ze spokojem czekam na jego zakończenie.

W nagranej przez Czarneckiego rozmowie z Chrzanowskim nazwisko prezesa NBP pojawia się wiele razy. – Umówiliśmy się, że się spotkamy w NBP zapoznaczo i żeby też podkreślić, jakie jest zdanie, zresztą wspólne z moim, prezesa Glapińskiego na całą sytuację – mówi ówczesny szef KNF.

Często powołuje się na prezesa banku centralnego jako swego pryncypała i wyjaśnia, że są dwa wrogie obozy: jeden to Ministerstwo Finansów Mateusza Morawieckiego, a drugi to „obóz skupiony wokół NBP”.

Ze słów Chrzanowskiego wynika, że Glapiński jest głównym rozgrywającym w państwowych finansach. Zaraz po rozmowie Czarnecki i Chrzanowski idą do gabinetu Glapińskiego. Zapisu tego spotkania nie znamy.

W TVN 24 mecenas Roman Giertych, który reprezentuje Czarneckiego, publicznie zapytał szefa NBP: – Czy prawdą jest, że na tym spotkaniu z Leszkiem Czarneckim powiedział pan, cytuję z pamięci: sprawę pana Sokala rozwiążemy we własnym zakresie, albowiem jest to nasz wewnątrzpartyjny problem?

NBP ani sam Glapiński nie zdementowali słów Giertycha ani nie odpowiedzieli na nasze pytania w tej sprawie. Za to Morawiecki pytany o to, kto rekomendował do rady nadzorczej Giełdy Papierów Wartościowych Grzegorza Kowalczyka, który miał iść na pensję do Czarneckiego, odpowiedział: – Tego pana rekomendował NBP.

O tym, co działo się za kulisami, wiadomo tylko nieoficjalnie. Glapiński był u Kaczyńskiego i zapewnił go, że nawet jeśli są nagrania jego rozmów z Czarneckim, to nie ma na nich nic obciążającego. Z gabinetu na Nowogrodzkiej wyszedł z przekonaniem, że prezes PiS mu wierzy.

Chrzanowski spędził w areszcie dwa miesiące, ostatecznie został oskarżony o przekroczenie uprawnień. W marcu tego roku miał się rozpocząć jego proces, ale sąd zebrał się tylko po to, by rozpoznać wniosek o cofnięcie mu kaucji i dozoru policyjnego.

Glapińskiego irytuje się, gdy o Chrzanowskim pisze się, że jest jego protegowanym. To m.in. za to sformułowanie złożył w sądzie pozew przeciwko jednej z dziennikarek „Wyborczej”. Domagał się 100 tys. zł od autorki tekstu i 100 tys. zł od spółki Agora, wydawcy „Wyborczej”.

Prezesa zniesmaczyła historia związana ze współpracownikami Glapińskiego, którym szef NBP zapewnił kosmiczne zarobki

Pozew wycofał, gdy Kaczyński w wiadzie dla tygodnika „Sieci” powiedział: – Chrzanowski objął stanowisko w wyniku wskazania przez prezesa Glapińskiego.

Glapińskiemu udało się utrzymać stanowisko w NBP, mimo iż wcześniej Kaczyński miał też inne zastrzeżenia. – Prezesa zniesmaczyła historia związana ze współpracownikami Glapińskiego, którym szef NBP zapewnił kosmiczne zarobki – opowiada „Wyborczej” polityk Zjednoczonej Prawicy.

Chodzi o Kamilę Sukiennik, szefową gabinetu prezesa NBP, i Martynę Wojciechowską, dyrektorkę departamentu komunikacji. „Wyborcza” pod koniec 2018 r. ujawniła ich zsumowane zarobki, te Wojciechowskiej dochodziły w niektórych okresach do 65 tys. zł miesięcznie. Obie urzędniczki zarabiały więcej niż dyrektorzy tzw. departamentów merytorycznych.

Dodatkowo Glapiński zapewnił Wojciechowskiej miejsce w Bankowym Funduszu Gwarancyjnym, a Sukiennik znalazła się w radzie Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych. Obie nie miały odpowiedniego wykształcenia i doświadczenia zawodowego.

Po naszych publikacjach Sejm w 2019 r. znowelizował tzw. ustawę antykorupcyjną. Rezultat był taki, że kierownictwo NBP zostało zmuszone do ujawnienia zarobków w banku centralnym. I potwierdziły się informacje „Wyborczej” w sprawie Wojciechowskiej i Sukiennik.

Dziś Wojciechowska rozstała się z bankiem centralnym w konflikcie z Glapińskim, Sukiennik nadal pracuje i dzięki prezesowi NBP ma ogromne zarobki. W KD-PW współpracowniczka Glapińskiego dostaje już ok. 12 tys. zł zamiast 4 tys. Spółka nie odpowiedziała na pytanie, z czego wynikała taka skokowa podwyżka.

Średnia dyrektorska pensja w NBP to 42 tys. zł, Sukiennik może więc zarabiać ok. 55 tys. zł.

Co na to Kaczyński? Pytany, czy po zamieszaniu wokół pensji w NBP ma nadal zaufanie do Glapińskiego, odparł, że „ta nasza współpraca bliska to jest początek lat 90.” – On miał wszelkie kwalifikacje, żeby zostać prezesem banku, to znaczy był wieloletnim członkiem Rady Polityki Pieniężnej, profesorem zwyczajnym ekonomii. Nie mieliśmy innego kandydata, bo wiem, że niektórzy mający wpływ na tę nominację takiego kandydata poszukiwali. No i on ma sześciolletnią kadencję, tak że pewne sprawy są poza naszym zasięgiem – wyjaśnił prezes PiS.

Przyznał, że będzie chciał się spotkać z Glapińskim. – Będę się starał, żeby te sprawy były do końca wyjaśnione, ale także wstecz, a jeżeli to było tak, że tam są jakieś rzeczy niedobre, to trzeba będzie z tego wyciągać wnioski, ale w ramach tych

możliwości, które są – tłumaczył Kaczyński. I zastrzegł: – Proszę pamiętać, że ja nie jestem przełożonym prezesa.

Nowelizacja ustawy sprawiła, że i zarobki szefa banku centralnego są jawne. Podczas posiedzenia sejmowej komisji finansów, która w tym roku rozpatrywała kan-

dydaturę Glapińskiego na drugą kadencję w NBP, posłowie opozycji wytykali mu pazerność. W 2021 r. jego pensja wzrosła bowiem o 17,8 proc. i wyniosła 1,115 mln zł, a reszty kadry kierowniczej – członków zarządu i dyrektorów departamentów – o odpowiednio 3,5 i 1,1 proc.

Glapiński tak bronił się na komisji: – Moje zarobki ustala się ustawą, którą państwo przyjęli w 2019 roku. Z uwzględnieniem płac w sektorze bankowym.

I zapewnił: – Nie jest prawdą, że sam sobie daję premię.

Tyle że decyzje o premiach podejmuje zarząd NBP, a więc sam Glapiński ze swoimi podwładnymi, m.in. partyjnymi nominatami. Jak pisał „Fakt”, prezes banku centralnego otrzymał finansowe bonusy w marcu, maju, sierpniu i listopadzie 2021 r. „Wyniosły (prawdopodobnie) odpowiednio 152 tys. zł, 101 tys. zł, 165,6 tys. zł oraz 189 tys. zł. Za co takie premie? Zapytaliśmy NBP, czekamy na komentarz banku”.

„Wyborcza” też zapytała NBP o te liczby, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Ale nie tylko sprawa dyrektorek w NBP denerwowała prezesa PiS. Jeden z naszych rozmówców: – Prezes był poirytowany faktem, że musiał Glapińskiego namawiać do udziału w akcji z „tarczami antykrzysowymi”. Szef banku centralnego na Nowogrodzkiej wmawiał prezesowi PiS, że to zły pomysł Mateusza Morawieckiego, że to się nie uda, w końcu ustąpił.

Dwa lata temu premier Morawiecki i prezes Glapiński wspólnie ogłosili propozycję wsparcia dla gospodarki w czasie pandemii. Ówczesna „tarcza finansowa” – 100 mld zł dla firm – miała uchronić nasz kraj przed potężnym tąpnięciem gospodarczym.

Polski Fundusz Rozwoju rozpoczął emisję obligacji na sfinansowanie programu i ta formuła miała sprawić, że ani deficyt budżetowy, ani dług publiczny nie wzrosną (konstytucja przewiduje limit długu publicznego). Zachętą do kupowania obligacji przez banki była publiczna deklaracja Glapińskiego, że bank centralny zapewni płynność tego rynku i w razie czego będzie je skupował.

Glapiński uciekł też spod politycznego topora, gdy kończyła mu się pierwsza kadencja prezesa NBP. Prezydent Andrzej Duda rozważał różne opcje, np. zgłoszenie kandydatury swej doradczyni społecznej Marty Gajęckiej, która jest w zarządzie banku centralnego.

Pozostania Glapińskiego na stanowisku chciał jednak Kaczyński, który ostatecznie zdyscyplinował malkontentów w szeregach obozu władzy i przepchnął sprawę przez Sejm. A prezydent nie zamierzał otwierać nowego frontu wojny z PiS.

Bo Glapiński ma tę zaletę, że jest dyspozycyjny wobec Nowogrodzkiej. A co z Pałacem Prezydenckim?

– Glapiński zawsze dbał o dobre relacje z prezydentem. Przyjeżdżał, meldował, co słychać. To bardzo ważne, bo w tym samym czasie inni politycy obozu PiS poniżali prezydenta, podstawiali mu nogę, lekceważyli. Andrzej Duda walczył z Macierewiczem, Kaczyński nie chciał z nim rozmawiać, mało kto traktował go poważnie. A Glapiński zawsze był przy prezydencie, zawsze okazywał mu szacunek – mówi jeden z moich rozmówców.

Wspomina o uroczystości i spektaklu muzycznym „Wolność we krwi”. Impreza została urządzona przez NBP dla Dudy jako zwierzchnika sił zbrojnych. Prezydent był oczywiście gwiazdą tej uroczystości.

W dodatku Glapiński jest niezwykle sprawny w budowaniu swojego lobby w obozie rządzącym i zawieraniu taktycznych sojuszy, zazwyczaj przeciw Morawieckiemu. A narzędziem do tego jest rozdawanie posad poszczególnym frakcjom.

Obok Gajęckiej w zarządzie NBP jest Adam Lipiński, jeden z najbliższych współpracowników Kaczyńskiego. A także Piotr Pogonowski, były szef ABW i człowiek Mariusza Kamińskiego. Glapiński postarał się też o bardzo intratną posadę w Banku Światowym dla syna Kamińskiego, dał również pracę na stanowisku dyrektora departamentu jego byłej żonie.

Z kolei Paweł Szalamacha, były wiceminister skarbu i były minister finansów w rządach PiS, został ulokowany w banku centralnym przez Beatę Szydło. Doradcą prezesa NBP z pensją 30-40 tys. zł jest też Paweł Mucha, były prawnik prezydencki, który jednocześnie doradza społecznie Andrzejowi Dudzie. A dyrektorem departamentu Centrum Pieniądza Piotr Wojciechowski, zaufany człowiek Antoniego Macierewicza.

Czasy skromnego mieszkania na Ochocie, w którym Rojek odwiedzał Glapińskich, dawno minęły. Dziś prezes NBP mieszka z żoną w okazałej podwarszawskiej posiadłości z basenem. Wg Radia ZET, które prześwietliło majątek Glapińskich, mają jeszcze trzy mieszkania w stolicy i pół hektara ziemi w jednej z mazowieckich wsi.

We wrześniu zeszłego roku „Wyborcza” ujawniła dziwną transakcję z 2009 r.: zamianę domów między Glapińskim a spółką Era powiązaną z Robertem Szustkowskim. To biznesmen, który dorobił się majątku na interesach w ZSRR i Rosji, współpracował z kremłowskimi oligarchami, był przedstawicielem rosyjskiego Montażspecbanku, w Polsce działa na rynku nieruchomości.

Szustkowski od końcówki lat 90. był właścicielem podwarszawskiej posiadłości, sprzedał ją spółce Era, której klientem został potem Glapiński. Doszło do zamiany: podmiejska posiadłość Ery za willę Glapińskich na warszawskim Wilanowie. Nikt nikomu nie dopłacał, bo wyceny obu adresów były identyczne – 2,2 mln zł. Jak mówili nam eksperci rynku nieruchomości, takie transakcje są niezwykle rzadkie.

Pozwoliło to zaoszczędzić na podatkach 44 tys. zł. Glapiński z czasem przejął – przez tzw. zasiedzenie – także sąsiednią leśną działkę, cały 1 ha.

Zapytaliśmy Centralne Biuro Antykorupcyjne, Krajową Administrację Skarbową i Prokuraturę Krajową, jakie podjęły działania po ujawnieniu sprawy zamiany domów przez „Wyborczą”. Prokuratura mimo dwukrotnych ponagleń nie odpowiedziała w ogóle, KAS zasłoniło się tajemnicą, a CBA odpisało, że nie informuje o tym, jakie działania podejmuje, ale ich rezultaty ogłasza na stronie internetowej. Sprawdziiliśmy – o sprawie zamiany domów, tak jak o kontroli oświadczenia majątkowego Glapińskiego, nie ma ani słowa. ●

Z DR. **BOHDANEM WYŻNIKIEWICZEM***,
EKONOMISTĄ I STATYSTYKIEM,
ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

W kwietniu br. urząd statystyczny UE podał, że w PKB liczonym na głowę Polska przegoniła Portugalię. Jednocześnie liczba mieszkańców naszego kraju (dzięki uchodźcom z Ukrainy) przekroczyła 40 mln. Rząd chce zabiegać o przyjęcie do grupy G20. Ile nasz kraj jest wart? W dolarach albo w złotych...

– O ile mi wiadomo, nikt tego nigdy nie obliczył.

Dlaczego?

– Bo to by wymagało uruchomienia wielkiego projektu badawczego, a nikt podobnego nie zamówił. I piętrzą się tu trudności metodologiczne: zaczniemy choćby od zasobów naturalnych. Mamy złoża surowców, lecz nie wiemy, jak wielkie. Choćby te niedawno pokłady bursztynu na Lubelszczyźnie.

Są szacowane na 1,5 tys. ton, czyli więcej niż nad Bałtykiem. Kilogram drobnego jantaru na wagę kosztuje ok. 300 złotych, więc mówimy o kwocie około 450 mln.

– Słyszysz się również o nowej ropie w Polsce. Ale zasoby naturalne to nie tylko węgiel i kopaliny. To choćby lasy...

Mamy ich ponad 9 mln hektarów. Hektar sosnowego kosztuje teraz ok. 20 tys. złotych, dębowego – pięć razy tyle. Pozostałe gatunki drzew mieszczą się w tym przedziale. Sosen mamy w Polsce 60 proc., a dębów – 7 proc., można więc przyjąć, że lasy – państwowe i prywatne – są warte około 300 mld.

– Dalej trzeba policzyć ziemię. Ta rolna ma różne klasy. A ceny budowlanej różnią się od siebie w zależności od wielkości miasta, sąsiedztwa, dostępnej infrastruktury. Byłem lata temu w radzie nadzorczej firmy, która sprzedawała aktywa – między innymi plac w okolicy obecnej Galerii Mokotów w Warszawie. Jego ówczesna wartość to było 20 mln złotych. Jednak wskutek administracyjnej decyzji o warunkach zabudowy ta wartość w ciągu jednej nocy skoczyła do 70 mln.

Otwieram sobie teraz tabelę z cenami ziemi rolnej. Od 3 złotych za metr w województwach lubuskim i podkarpackim do 7 złotych w Wielkopolsce. Najczęściej – 4 złote. Powierzchnia tzw. użytków rolnych w naszym kraju – 20 milionów hektarów. A zatem, nie licząc działek budowlanych, wychodzi 800 mld złotych za grunty.

– Do naszego pierwszego punktu – zasoby naturalne – winniśmy jeszcze doliczyć łąki i nieużytki, parki narodowe, wodę w jeziorach i rzekach, ryby w tej wodzie – także te w naszej części Bałtyku, dalej zwierzynę w lasach...

Jeleni i okoni już nie będziemy wyceniać. Jaki jest punkt drugi?

– Materialne efekty działalności ludzkiej: budynki, w tym zabytki, mosty, autostrady, torry kolejowe... Dalej infrastruktura organizmów miejskich. Sieć elektryczna i kanalizacja, instalacje grzewcze...



FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL

POLICZMY, ILE KOSZTUJE POLSKA

W naszym kraju wybitne jednostki są hamowane mniejszymi pensjami i zawiścią rodaków

Następnie przedsiębiorstwa i ich majątek trwały: maszyny, hale, oprzyrządowanie. W Polsce jest około 2 mln przedsiębiorstw średnich, małych i tych mikro. Mamy firmy przemysłowe, usługowe, rolne... Tych ostatnich się często nie docenia, bo mówiąc przedsiębiorstwo, myślimy: stocznia, Orlen, wielkie banki. Tymczasem bywając na różnych spotkaniach, widziałem najlepsze samochody – raz najnowszego bentleya, a innym razem maybacha – u dwóch potentatów rolnych. Ten od maybacha przyleciał zresztą na spotkanie własnym helikopterem, a maybachem go tylko kierowca podwiózł z lądowiska. Prywatne majątki miliarderów też są istotną składową wartości danego kraju. Tygodnik „The Economist” podał ostatnio, że relacja majątku miliarderów do PKB Rosji wynosiła w 2021 roku około 30 proc. W Polsce to 3 proc.

Na tegorocznej liście najbogatszych „Forbesa” pierwszym wśród Polaków jest Michał Solowow. Jego portfel wyceniono na ponad 27 mld złotych.

– Na papierze. Bo gdyby zaczął się wyprzedawać, wartość jego watorów natychmiast znacznie spadać, co wynika z podstawowych prawideł ekonomii. Sądzę, że gotówką mógłby wycisnąć ze swych zasobów połowę. On i każdy inny multimiliarder.

Co liczymy dalej?

– Własność państwa: szkoły, szpitale, budynki i samochody policji, majątek wojskowy – okręty, samoloty, czołgi czy choćby poligony, które się wynajmuje. Wartości tego wszystkiego nikt właściwie nie zna. Tak się składa, że w wojsku byłem szkolony na księgowego, i tam zobaczyłem, że wielkie osiągnięcie ludzkości – zapis dwustronny „winien i ma” – został zastąpiony jednostronnym. Wyłącznie „winien” (*śmiech*).

Czyli armia ma tylko wydatki.

– To jest organizacja, którą nie rządzą prawa ekonomii, ale polityki. Liczymy dalej: zasoby ludności. Domy, działki, mieszkania, ich wyposażenie – dzieła sztuki, biżuteria, samochody w garażach. Gotówka, papiery wartościowe...

Ubiegłoroczny raport Paris School of Economics mówi, że średni majątek Polki/Polaka to 128 tys. złotych. Kluczowe jest jednak słowo „średni”, ponieważ 1 proc. najbogatszych ma statystycznie po 4 mln na głowę, a połowa narodu żyje na minusie. Jest więcej pieniędzy winna, niż aktualnie ma.

– Gdy pomnożymy te 128 tys. przez 38 mln Polaków mieszkających w Polsce...

Policzyłem. Wychodzi 4 bln 864 mld złotych majątków prywatnych. Z tego – jak podał ostatnio serwis Parkiet.com – 2 bln trzymamy w bankach. Biorąc pod uwagę oprocentowanie, to zaskakujące.

– Podchodziłbym do tych liczb z ostrożnością. A „w bankach” to nie zawsze oznacza „w gotówce”. Są też rachunki maklerskie, jednostki uczestnictwa funduszy... Weźmy się za punkt trzeci, czyli kapitał ludzki. Prawa własności, licencje i w ogóle szerzej: uniwersytety, politechniki, think tanki, instytuty badawcze...

Ale nie ich siedziby, biurka i komputery... Ma pan na myśli ludzi?

– Przede wszystkim wybitne jednostki. Szczególnie w firmach high-tech jedna osoba może stanowić największą wartość z całego przedsiębiorstwa. To tak jak z Robertem Lewandowskim, który w pojedynkę znacząco wpływa na cenę klubu piłkarskiego, gdzie gra.

Aktualna cena Lewandowskiego to 70 mln euro, po obecnym kursie 326 mln złotych. A jak wycenić wartość naukowca, informatyka?

– Podobnie. Jeżeli jakaś instytucja oferuje komuś wybitnemu kontrakt trzyletni z pensją, dla równego rachunku, milion złotych rocznie, to on jest w tym momencie wart milion razy liczba lat, które może potencjalnie pracować. Ale generalnie ma pan rację – kapitał osobowy jest trudny do szacowania. Jedno wiemy: jako kraj jesteśmy niestety eksporterem tego kapitału. Zachód wciąż oferuje i większe zarobki, i lepsze perspektywy rozwoju. W Polsce hamulcami są z jednej strony mniejsze pensje, a z drugiej zawiść rodaków, nieumiejętność pracy w grupie, partykularyzmy i biurokracja, która ogranicza innowacyjność. To szczególnie dobrze widać w przypadku lekarzy. Nie chcą się użerać z korporacją, z dyrekcjami szpitali, z Funduszem Zdrowia...

Wyjeżdżają tam, gdzie państwa im zapewniają cieplarniane warunki i gdzie się mogą skupić na leczeniu, pracy naukowej...

– Zgadza się. W ten sposób konkretna wartość powoli wycieka nam z kraju... Na koniec powiem panu o najtrudniejszej części całego wycliczenia, czyli o kapitale społecznym. Władysław Bartoszewski powtarzał: „Oplaca się być przyzwoitym”. Kultura społeczna, kapitał kulturowy, wyniesione z domu i szkoły nawyki też są kapitałem. A mogą być jego odwrotnością.

Co pan ma na myśli?

– Choćby rozpowszechniony w polskich szkołach, a niestety przenikający także na uczelnie, koszmarny obyczaj tolerowania ściągania. Nie do pomyślenia w USA czy w Niemczech. Także dawanie łapówek. Kupowanie prac magisterskich na rynku. To się fatalnie odbija na innowacyjności, a w dalszej perspektywie na majątku narodu.

Jakiś przykład?

– Sport to jest miejsce, gdzie ten mechanizm widać jak w soczewce. Wspomnijmy aferę „Fryzjera”.

Ustawił co najmniej 30 ważnych meczów w polskiej lidze.

– Takich „Fryzjerów” i „Fryzjeków” działało i może działać u nas więcej. Zawodnicy się szybko orientują, że po co im trenować, pracować, cierpieć wyrzeczenia – skoro działacze i tak mecz sprzedadzą, albo przeciwnie: opłacą nieuczciwie zwycięstwo. W efekcie polskie kluby są pod względem wartości finansowej w ab-solutnym ogonie Europy.

Sportowy serwis Transfermarkt.pl podaje, że wartość Barcelony to pra-

mochody czy spółki giełdowe. W innych przypadkach – zastosować cenę odtworzenia.

To znaczy?

– Ile jest warta np. autostrada kolejowa? Tyle, ile trzeba dziś wydać, by zbudować nową o identycznych parametrach. To samo dotyczy autostrady, parku rozrywki, stadionu...

Byśmy liczyli do Bożego Narodzenia.

– Właśnie. Dlatego lepiej jako punkt odniesienia przyjąć PKB.

Przywołam definicję: produkt narodowy brutto jest to wyrażona w pieniądzu wartość wszystkich dóbr i usług wytworzonych w danym kraju.

– Polski PKB za rok 2021 wynosi trochę ponad 2,6 bln złotych. Pomnożyłbym to razy 40.

Dlaczego akurat tyle?

– Mój szacunek uwzględnia, po pierwsze, kumulujący się produkt narodowy, po drugie, zasoby odziedziczone z przeszłości, jak choćby zabytki i skarby kultury, po trzecie, te „filary”, które omówiliśmy: bogac-

Wiem z pierwszej ręki, że osoby z listy najbogatszych Polaków najchętniej by stamtąd znikły

wie 700 mln euro, a Legii Warszawa – coś ponad 100 mln złotych.

– Stan kapitału ludzkiego w Polsce wymaga pilnej naprawy. Konieczna jest zmiana mentalności. Musimy wykorzystać nieuczciwość. To cwaniaństwo, kombinatorstwo, nieposzanowanie prawa w drobnych kwestiach, lawirancтво nagród i często słyszę: dziękujemy za wyróżnienie, ale najlepiej tego nie ogłaszać, bo my chcemy nasze sukcesy pielęgnować w ciszy. Wiem z pierwszej ręki, że liczne osoby z listy najbogatszych Polaków najchętniej by stamtąd znikły. To jest coś odwrotnego niż w Ameryce, gdzie pęd do wielkości, bogactwa, sławy właściwie nie ma końca. I dlatego nie mamy na razie swojego Elona Muska. Jan Kulczyk był wizjonerem, Janusz Filipiak, założyciel Comarchu, to podobny człowiek. Ale on jeden wiosny nie czyni, podobnie jak Lewandowski to wyjątek na tle naszej piłki. Nie mamy mechanizmu „hordowli” takich ludzi sukcesu. Państwo woli dać 13. emeryturę albo 500 plus, niż inwestować w innowacyjność, rozszerzać horyzonty nauki. W rezultacie mamy jakieś wyspy na poziomie światowym i dosyć kiepską resztę.

A co z wymierną wartością Polski. Da się obliczyć jej cenę?

– Obiecałem panu, że spróbuję przeprowadzić ostrożny szacunek. Z jednej strony możemy wycenić to, co ma określoną wartość rynkową: sa-

twa naturalne, efekty działalności gospodarczej i kapitał ludzki. Tylko niech pan zaznaczy, że to jest szacunek mało precyzyjny.

40 razy 2,6 bln daje 104 bln złotych albo 23 bln dolarów. Sto razy więcej niż majątek Elona Muska szacowany w lutym tego roku na 230 mld dolarów. Nieźle.

– I cały czas się bogacimy. Jestem pod wrażeniem tego, jak się Polska zmieniła, jak kwitną małe miejscowości. Od 1989 roku wartość Polski wzrosła – moim zdaniem – dwuipółkrotnie. ●



FOT. ADAM KOZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

* Bohdan Wyżnikiewicz

• ur. w 1947 r., pracował w komisji gospodarczej ONZ oraz Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN. Od 1991 do 1992 r. był prezesem GUS. W 2012 objął funkcję doradcy prezesa tego urzędu. Jest współzałożycielem Instytutu Prognoz i Analiz Gospodarczych, wykładał m.in. na Uniwersytecie Gdańskim, w warszawskiej Akademii Finansów i Wyższej Szkole Ekonomicznej im. Edwarda Wiszniewskiego. Był też arbitrem Komisji Nadzoru Finansowego i ekspertem Banku Światowego

CZUŁE SŁÓWKA

Chrust

Pan minister Siarka dokonuje symbolicznej restytucji feudalnego porządku świata.

Michał Rusinek*



Wiceminister klimatu i środowiska Edward Siarka przypomniał ostatnio piękne, staropolskie, literackie, zapomniane nieco słowo „chrust”. Chociaż wcale go nie użył. Mieliśmy bowiem do czynienia z klasycznym „efektem Mandeli”: w świadomości społecznej zapisało się bowiem coś, czego nie było.

Efekt ten zachodzi bardzo często w przypadku cytatów filmowych. Frazy: „Jestem twoim ojcem, Luke”, „Zagraj to jeszcze raz, Sam”, „Życie jest jak pudełko czekoladek: nigdy nie wiesz, co ci się trafi” czy „Nie ze mną te numery, Brunner”, nigdy nie padły w „Gwiezdnym wojnach”, „Casablance”, „Forreście Gumpie” czy „Stawce większej niż życie”. A jednak zostały na wieki zapamiętane. Podobnie już na wieki nazwisko ministra Siarki wiązać się będzie – nomen omen – z chrustem, choć powiedział on dokładnie tak: „Cały czas obowiązuję, za zgodą leśniczego, możliwość zbierania gałęzi na opał. W tym roku po rozpoczęciu wojny w Ukrainie i zawirowaniu na rynku energii wzrosły zapytania do nadleśnictw o wskazanie terenu i zgodę na pozyskiwanie drewna opałowego w lokalnych lasach. Priorytetowo należało zadbać, by pierwszeństwo samopożytkiwania drewna miały społeczności lokalne”.

Wypowiedź to, przynajmniej, dość zawiła, ale istotnie chodzi w niej o możliwość zbierania – zwanego mądrze samopożytkiwaniem – chrustu za zgodą leśniczego. Jeszcze cztery lata temu śmialiśmy się, kiedy rosyjska Duma uchwaliła podobną ustawę wobec swoich obywateli, a tu, proszę, mamy analogiczną decyzję naszego rządu. I nie ma się co śmiać, bo dla wielu ludzi, których nie stać na ogrzewanie gazem, prądem czy węglem, może to być jedyny sposób na przeżycie tegorocznych mrozów. Choć w Europie w XXI wieku zbieranie chrustu na opał może się wydawać jakąś rekonstrukcją historyczną lub po prostu cywilizacyjnym regresem.

Co to jest chrust? W słownikach czytamy, że to stara onomatopeja, czyli wyraz dźwiękonaśladowczy, pochodzący od niezachowanego czasownika *chvorstiti, czyli „szumieć, szeleścić”. Oznaczał kiedyś gąszcz, zarośla, chaszczę oraz – podobnie jak dzisiaj – suche gałęzie. No i, rzecz jasna, faworki, czyli rodzaj kruchego ciasta. Od XIV wieku „chrost” lub „chróst” to albo wiklina, a więc gałązki do wyrobu mioteł lub koszyków, albo gałęzie, drobne, cienkie patyki nadające się na opał. Leśnicy rozumieją ten wyraz nieco precyzyjniej. Nadleśniczy Piotr Chrzęszczuk ze Świerklańca, przewodniczący górnośląskiego oddziału Związku Leśników Polskich RP, wyjaśnił portalowi naTemat, że „są to nie-

okrzesane gałęzie oraz cienkie drzewka o średnicy w dolnym końcu do 7 cm oraz pędy drzew i krzewów. Dopuszcza się w chruscie liście oraz igliwie. W zasadzie w uproszczeniu można powiedzieć, że chodzi tu o gałęzie” – a więc nie przesadzajmy z tą precyzją. Inny nadleśniczy dodaje, że może też chodzić o „pozostałości po cięciach”, czyli tzw. knagi albo leżaninę, a także „grubsze drewno, które nie ma wartości użytkowej, np. ze zgnilną boczną”. Czyli grubsze, acz zgnile gałęzie też będąc można zbierać. Docerimy ten piękny gest.

I zajrzyjmy do rodzimej literatury. Od chrustu w niej aż chrzęści, ale pierwsze skojarzenie – wzmocnione pleonastycznym sformułowaniem pana ministra („priorytetowe pierwszeństwo”) – kieruje nas oczywiście ku „Malinowemu chruśniakowi” Leśmiana. Jest to, przypomnijmy, bardzo zmysłowy erotyk, w którym „narzędziem pieśczęoty” okazują się jednak maliny, a nie chrust, dzięki czemu erotyzm utworu nie nosi znamion BD-SM. Leśmianowski chruśniak, jako miejsce tajnej schadzki kochanków, wydaje się jednak mylnym tropem literackim przy interpretowaniu wypowiedzi pana ministra, bo nie o miłość ministrowi chodzi, ale o przetrwanie.

Warto jednak zwrócić uwagę na pierwszy, jeszcze średniowieczny tekst, w którym występuje „chrust”, wtedy jeszcze jako „chrost”: „Satyrę na leniwych chłopów” autorstwa anonimowego szlachcica lub kaznodziei z połowy XV wieku. Według autora chłop jest z zasady leniwy: „Gdy dzień panu robić mają,/ Często kroć odpoczywają”. Pracuje tylko wtedy, kiedy pan patrzy: „Gdy pan przydzie, dobrze orze –/ Gdy odydzie, jako gorze”, rozmyślnie zaprzęga do pług chore zwierzęta, by mieć wymówkę, że nie może pracować: „Wprągają chory dobytek,/ Chcąc zlechmanić ten dzień wszystek”, i także rozmyślnie gubi drewniane kliny od pług, by mieć powód do zęścia z pola: „Namysłem potraci kliny,/ Bieży do chrosta po jiny” – a więc idzie w krzaki, gdzie jest chrust. Tyle że w tym chruscie przeczekuje potem cały dzień: „Szędw do chrosta za krzem leży,/ Nierychło zasię wybieży” – bo nie w smak mu pańszczyzna.

Ten kontekst literacki sprawia, że pan minister Siarka dokonuje symbolicznej restytucji feudalnego porządku świata. I sytuuje nas po stronie leniwego chłopstwa, któremu nie chciało się pracować, więc jest pierwszą ofiarą inflacji i rosnących cen energii. Nie stać ludu na opał, więc niech sobie chrust zbiera. A przy okazji posprząta lasy po wspomnianych „cięciach”, czyli masowych wycinkach, jakich dokonywano w ostatnich latach w polskich lasach. Tak oto znaleźliśmy się w satyrze, w dodatku satyrze stanowej. Ale pan minister – chcąc nie chcąc – także się w tej satyrze znalazł, oczywiście po stronie szlachty. Wnikliwa, socjologiczno-literacka lektura średniowiecznego tekstu pokazuje jednak, że jest to utwór piętnujący w równym stopniu zachowania chłopów przy odrabianiu pańszczyzny, jak ignorancję szlachty, niepojmującej przyczyn takich zachowań. Dlatego historycy literatury proponowali, by rozumieć ten średniowieczny utwór także jako satyrę na naiwnych panów. I właśnie takie rozumienie – zarówno tego utworu, jak i wypowiedzi pana ministra – Państwu rekomenduję. ●

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

PO PRAWDZIE

Aaaanowy
„Paprykarz”
poszukiwany

Kto da najlepszą odpowiedź na pytanie „jak żyć”, ten wygra wybory.

Agnieszka Kublik



Jak dalej żyć, panie premierze?”. To pytanie z historii. A może i z przyszłością?

Najpierw, jak było.

Stanisław Kowalczyk, hodowca papryki ze wsi Sady-Kolonia, rzucił takie pytanie do Donalda Tuska, ówczesnego premiera. Latem 2011 r. szef rządu odwiedzał „zagłębnie paprykowe” na Mazowszu. Kowalczyk podszedł do Tuska i wypalił: „Mam zniszczone gospodarstwo i nie dostałem pieniędzy!”. Kowalczyk miał lzy w oczach, Tusk nie miał dla niego dobrej odpowiedzi.

„Paprykarz” mało pamięta z tamtej rozmowy z Tuskiem, takie to były emocje.

– Powiedziałem mu, że jest niezły w piarze, a on, że ja jestem w tym lepszy – relacjonował.

Spotkanie z premierem wspomina w sumie miło. „Mógł po pięciu minutach przeprosić i odejść. Nie złapałbym go przecież za nogi. Ale został i ze mną rozmawiał”.

Gdy się żegnali, Kowalczyk klepnął Tuska w ramię i rzucił: „Jest pan niewygodny, ale równy gość”. „Coś takiego mu powiedziałem. Niewygodny, bo premier jest dość mikrej postury”.

Jesienią 2011 r. to PO wygrała wybory parlamentarne – dostała 5,6 mln głosów, PiS – 4,2 mln.

Kowalczyk szybko został okrzyknięty „Paprykarzem”, bardzo przypadł do serca prezesowi Kaczyńskiemu. Musiał zrobić na nim piorunujące wrażenie, bo już godzinę po wymianie zdań z Kowalczykiem Kaczyński pytał Tuska na konferencji prasowej: „Jak żyć, panie premierze?”.

Potem prezes Kowalczyka odwiedził i nawet zjadł u niego zupę – a jakże – paprykową. „Paprykarz” był też gościem specjalnym konwencji PiS, ale potem się skarżył, że choć stał 2 metry od prezesa, ten go nie zauważał. – Chciałem z nim porozmawiać o sytuacji w rolnictwie, zawałem do niego: „Panie prezesie, to ja! Paprykarz!”. Udawał, że mnie nie poznaje.

Potem przyznał, że w końcu zrozumiał, iż „on i jego koledzy zostali sprytnie i nieuczciwie wykorzystani przez opozycję”.

A w 2014 r. „Paprykarz” obwieścił: „Z PiS-u jestem już jednak wyleczony. Nie zostało dotrzymane słowo, jestem rozczarowany, mieliśmy razem zmięniać kraj, ale okazało się, że byłem potrzebny tylko chwilowo, żeby krytykować rządzących”.

W 2017 r., czyli po dwóch latach rządów Kaczyńskiego, „Paprykarz” mówił już językiem opozycji, czyli Tu-

ska: „Jest dupa, zimna. Nie ma takiej nadziei, że będzie lepiej. Klócenie się z całym światem dokoła, żeby było gorzej, a nie lepiej... No, nie mogę tego słuchać, bo jak słucham, to niedobrze mi się robi”.

W 2018 r. Kowalczyk był jeszcze bardziej sfrustrowany: „Nie popieram już żadnej partii, wszyscy mnie zawiedli, nie ma na kogo głosować. Nie kupię mnie za 500 plus i za obniżenie wieku emerytalnego! Kto za to wszystko płaci?! Podatnicy! Tak się chwala tym ściąganiem kasy z VAT, a wprowadzają jakąś opłatę paliwową?! Zapraszam do siebie, panie premierze! Porozmawiamy! Zobaczysz pan, jak się żyje na wsi, jakie są warunki i jaka su-sza jest”.

Ostro recenzował kampanijne wystąpienie Morawieckiego przed wyborami samorządowymi: „To wyglądało tak jak za komuny. Jak typowy wiec partyjny KC PZPR. Zwożenie swoich ludzi, odgradzanie się od rolników, którzy zadają niewygodne pytania... Premier nie wyszedł do tych, którzy chcieli opowiedzieć mu o swoich problemach, wołał wygłaszać propagandę z trybuny. Ludzie krzyczą: »Niech żyje Jarosław, niech żyje Mateusz«, jak kiedyś krzyczeli: »Niech żyje Wiesław!«. W rolnictwie sytuacja jest fatalna, jest horror i masakra. Jeszcze gorzej niż za Tuska. Chciałbym, żeby pan Morawiecki do mnie przyjechał”.

Nic nie wiadomo, by Morawiecki przyjął to zaproszenie. Panie premierze, najwyższy czas.

Po latach Tusk znalazł odpowiedź dla „Paprykarza”: „Żyć z dala od PiS”.

Ale sam tej rady nie zastosował. Od 2015 r. PO przegrywa wszystkie wybory, a pytanie „jak żyć”, jest nieustająco aktualne.

Bo jak żyć, gdy benzyna po 8 zł.

Gdy inflacja wynosi już 13,9 proc.

Gdy władza sama sobie wybiera bohaterów narodu.

Gdy kobieta w ciąży musi się zastanawiać, czy ma się bać swojego lekarza.

Gdy w Ukrainie wojna, a wicepremier do spraw bezpieczeństwa kombinuje, jak ograć Komisję Europejską.

Gdy raty kredytów szybują.

Gdy w komisariatach giną ludzie.

Gdy prokuratura służy władzy.

Gdy nie ma pewności, czy w sądzie nie zasiada neosędzia i sprawa może być nieważna.

Gdy rząd wykorzystuje państwowe media do wprowadzania nas w błąd.

Gdy premier tak często kłamie.

Gdy prezydent nie ma nic mądrego do powiedzenia.

Gdy władza indoktrynuje młodych, że w Polsce mamy „media polskojęzyczne”.

Gdy wspiera ruchy nacjonalistyczne.

Gdy rząd nie przejmuje się kryzysem klimatycznym.

Gdy Ministerstwo Kultury staje się cenzorem.

Gdy wicepremier Kaczyński rządzi premierem Morawieckim.

Gdy ludzie LGBT są traktowani jak ideologia.

Gdy Kościół chroni pedofilów.

I nie są to pytania tylko do Kaczyńskiego. Choć nowy „Paprykarz” by się przydał. Kaczyński rusza w Polskę, może ktoś krzyknie do niego jak do Tuska przed 11 laty?

Ale opozycja też musi znaleźć na nie odpowiedzi. I to szybko. Kto da najlepszą odpowiedź na pytanie „jak żyć”, ten może wygrać wybory. ●

Kończą mi się
metafory

Chciałem napisać coś o prawie pożarowym, żeby nie pisać ciągle o praworządności, ale się nie da.

Marcin Matczak*



Dzisiejszy felieton sponsoruje straż pożarna, a ja zaraz opowiem, jak do tego doszło. Otóż wypada, żeby prawnik od czasu do czasu napisał coś o prawie, nawet jeśli pisanie felietonów traktuje jako odskocznię od codziennej pracy. Takie jest po prostu społeczne oczekiwanie, żeby ze swej roli nie wychodzić, bo jak się wychodzi, to są dwie możliwości. Albo piszesz coś, co się czytelnikom podoba, i wtedy uchodzi ci to wyjście poza rolę bezkarnie, albo wprost przeciwnie – piszesz coś, co u czytelników powoduje dyskomfort. Wtedy każą ci się zamknąć i nie wychodzić poza zawodową rolę. Jest jeszcze trzecia możliwość. Piszesz, że Senat nie powinien uchylać decyzji Izby Dyscyplinarnej ustawą, bo uchylać takie rzeczy może sąd, a poza tym daje to pretekst PiS, żeby za chwilę zrobić to samo z legalnymi wyrokami. Czyli pozostajesz w swojej zawodowej roli, ale piszesz coś, co się czytelnikom z opozycji bardzo nie podoba. Wtedy każą ci się po prostu zamknąć.

Ale wracając do straży pożarnej: w poszukiwaniu prawniczego tematu trafiłem na istną perelkę. Otóż portal Prawo.pl opisuje temat strażackiego świadczenia kombatanckiego i strażaków, którzy chcą to świadczenie wyludzić, mimo że strażackimi kombatanami nie są. Artykuł ten posiada jedno z najlepszych wprowadzeń, jakie kiedykolwiek w prawniczych artykułach napisano, bo zaczyna się jak nowa powieść Twardocha: „W jednej z gmin Kazimierz podpisał Jerzemu, a Jerzy – Kazikowi oświadczenie kombatanckie, bo tak strażacy zaczęli nazywać świadczenie ratownicze dla członków ochotniczych straży pożarnych. Razem zanieśli dokumenty młodemu wójtowi, w urzędzie nikt problemów nie robił. Otrzymali świadczenie i nawet załapali się na zdjęcie w lokalnej gazecie z tej okazji. Tyle że do urzędu wkrótce przyszedł donos, że Kazik owszem gasił, ale... kaca, bo dymu z gaszenia pożaru nie wachał”.

Tak trzeba o prawie pisać! W artykule jest wiele innych fascynujących informacji, jak na przykład taka, że są prawnicy, a nawet całe kancelarie specjalizujące się w prawie pożarowym. Pokazuje to, jak dalece posuwa się współcześnie specjalizacja i jakie ryzyko to rodzi, gdy chodzi o całościowe postrzeganie człowieka i jego problemów. Ale wygłos artykułu jest smutny – mimo że strażacy od lat są liderami rankingów zaufania, na ich wizerunku pojawia się rysa. Nie tylko wyludniają świadczenia, ale także od czasu do czasu podpalają, żeby mieć co gasić. Wystarczy do Google’a wprowadzić frazę „podpalał, żeby gasić” i pojawia się cała lista wiadomości o ludziach, którzy kreują problem, do którego rozwiązywania zostali powołani.

I tu pojawia się kolejna trudność. Chciałem napisać coś o prawie pożarowym, że-

by nie pisać ciągle o praworządności. Ale się nie da, ze względu na siłę metafory pożaru. Pożar to problem – wiedział o tym już Taco Hemingway, gdy w krytykującym pracę w korporacji utworze pisał: „Wiem, że doktor, baby, siema, lece/ W pracy mały pożar i szef podpiał mnie na CC/ Wiem, twój pogrzeb, ale siema, lece/ W pracy mały pożar i szef podpiał mnie na CC”. Bohater tego utworu nie jest strażakiem, ale czuje się zobowiązany pożar ugasić, bo wzywa go do tego szef, umieszczając jego nazwisko w odpowiednim polu wiadomości e-mail. Miejmy nadzieję, że sam tego pożaru nie wywołał, i tu przechodzimy do praworządności właśnie.

Otóż nasz rząd jest strażakiem-podpalaczem, który próbuje wyludzić świadczenia (z Unii). Kończą mi się już te metafory na PiS, ale tak jest naprawdę. Oni sami wzniecają pożar, żeby potem go bohaterko gasić, naszą wodą i za nasze pieniądze, a czasami nawet naszą benzyną. Wprawdzie przeciwko problemom, które sami wywołał, wyciągają tarcze, a nie węże (strażackie), ale nie dajmy się zwieść – te ostatnie odradził im pewnie jakiś spin doktor, bo zbyt łatwo byłoby obywatelom powiedzieć, że ten rząd ma węza w kieszeni. Mamy więc liczne tarcze antykryzysowe – na przykład antyinflacyjną, którą rząd chroni nas przed efektami swojej własnej rozrzutności. W ogóle, gdy człowiek popatrzy, co się dzieje z Polską chronioną przez strażacką drużynę premiera Morawieckiego, nie dziwi się, że plan Partii to przejście kontroli nad mediami, żeby nikt się nie dowiedział, czyja to wina, i przejście kontroli nad sądami, że nikt nie mógł winnych osądzić. To też tarcze – przeciw prawdzie i sprawiedliwości. Albo węże, sam już nie wiem.

Strażakiem jest także Przemysław Czarnek, ale takim bardziej z powieści Bradbury’ego „Fahrenheit 451”. Tytuł ten, jak wiadomo, odwołuje się do temperatury, w której płonie papier, a sama powieść ukazuje straż pożarną, która zamiast gasić, pali książki, żeby uchronić ludzi przed wywrotowymi treściami. Nowy podręcznik do przedmiotu historia i teraźniejszość ma 500 stron – to z pewnością ugasi wszelki zapal młodych ludzi do czytania czegokolwiek innego. A z niego samego dowiedzą się, że gender i nazizm to właściwie to samo, a także, że największym złem w Polsce są polskojęzyczne media. Nadbrygadierowi Czarnkowi pomaga dzielnie młodsza ogniomistrz Barbara Nowak z oddziału małopolskiego, która skutecznie chroni łatwopalne młode umysły przed wiedzą, na przykład o życiu seksualnym. Pani Barbara, kiedy widzi gender, powtarza pewnie za bohaterem Bradbury’ego: „spal go na popiół, a potem spal popiół”, a Czarnek, wzniecając kolejny pożar, cytuje pewnie „Fahrenheita 451”, szepcząc pod nosem: „nienawidzę Rzymianina o nazwisku Status Quo”.

Jak jednak powiadają, wiatr, który jest przekleństwem strażaka, jest błogosławieństwem dla żeglarza. I tego się trzymajmy. Chodzi oczywiście o wiatr zmiany, który odnowi nie tylko etos strażaka, ale też spowoduje, że ci, którzy mają strzec nas przed problemami, nie będą ich podstawową przyczyną. Życzymy sobie, żeby rządzący Polską nie powtarzali za bohaterem filmu „Ognisty podmuch”: „Niektórymi ludźmi w tej pracy ogień zawładnął, zmusił do walki z nim na jego poziomie. Ale jedynym sposobem, aby go naprawdę zabić, jest trochę go pokochać”. Bo wygląda na to, że kochają go nie trochę, ale bardzo. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

POLEMIKA Z ANDRZEJEM BRZEZIECKIM

Wierzę w „Solidarność”

Rewolucja 1905, postępowe państwo AK, strajki 1944-47, Październik ’56 – zapomnieliśmy o własnych tradycjach. Ocalmy chociaż tę jedną.

Marek Beylin

S koro „Solidarność” jest dziś tylko ultrakonserwatywną i zdemoralizowaną przystawką PiS, to niech pamięć o tym, jaka była niegdyś, pójdzie do piachu. Im szybciej, tym lepiej, zwłaszcza że obecny związek wyrasta ideowo wprost z tego dawnego, zaś uniesienia kombatantek i kombatantów pierwszej „S” w sprawie etosu, ideałów, walki są jedynie przejawem jałowej nostalgii.

Tyle z grubsza napisał Andrzej Brzeziecki w tekście „Pożegnajmy Pannę »S«”, umieszczając bogatą przeszłość tego związku w izbie martwych świątków. Owszem, przyznał laskawie, że echa idei „Solidarności” blakają się dziś w Polsce a to w Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy, a to w Polskiej Akcji Humanitarnej, a to wśród tych osób, które pomagają uchodźcom na granicy polsko-białoruskiej. Co jednak nie wystarczy, by na dawną „S” reagować inaczej niż obojętnym wzruszeniem ramion.

Radykalnie nie zgadzam się z tym przesłaniem; więcej, uważam je za niebezpieczne dla naszych zbiorowych aspiracji, by odzyskać demokrację i przydać jej sprawiedliwszy kształt, niż miała III RP, zanim skonfiskował ją PiS.

A mój sprzeciw wywołuje przede wszystkim to, że Brzeziecki wpisuje się niestety w powszechne w środowiskach demokratycznych lekceważenie własnych tradycji obywatelskich zrywów i rewolucji.

Od początków III RP jesteśmy pod tym względem kuriozalnie niefrasobliwi. Jakbyśmy żyli w nieświadomości, że bez intensywnej pracy nad tradycjami demokratycznymi da się wprawdzie walczyć o demokrację, lecz nie sposób budować trwałych instytucji, ponieważ nie mają one społecznego gruntu. Czyli zbiorowego nawyku, który trzyma je przy życiu oraz ustawicznie poddaje rewizji, jeśli okazują się niesprawne.

PiS tak łatwo rozjechał III RP, bo ów nawyk był słaby i mniejszościowy. Inaczej niż

we Francji, gdzie wyborcy nie dali władzy nacjonalistce Le Pen mimo potężnych pretensji do Macrona. Do tej polskiej słabości przyczyniła się właśnie nasza abdykacja z pracy nad demokratycznymi tradycjami, a ich rezultat widzimy na co dzień: PiS zdobył wielką władzę nad przeszłością i organizuje polską wyobraźnię wokół tradycji przemocowych i dyskryminacyjnych, w tym wokół nacjonalizmu.

Lista tych naszych zaniechań jest ogromna. Pograżyliśmy w niepamięci – a wymieniam tylko te zrywy, które wiążą się z „Solidarnością” – rewolucję 1905 r., pierwszy masowy ruch robotniczo-inteligencki, upominający się tyleż o prawa obywatelskie i pracownicze, co o niepodległość.

Zapomnieliśmy o zrodzonych w państwie AK i w londyńskiej emigracji projektach radykalnej naprawy powojennej Polski. Naprawy obejmującej głębokie reformy społeczne i demokratyczne. W wielu kwestiach deklaracje komunistycznego manifestu PKWN nie odbiegały od tych zamierzeń.

Nie sprawiliśmy, by do szerszej świadomości przedostały się wiedza i pamięć o masowych strajkach robotniczych w latach 1944-47. Choć ich uczestnicy i uczestniczki żądali – pod wpływem PPS – zmiany państwowego systemu dystrybucji żywności oraz definiowania norm pracy. Innymi słowy, żądali innego systemu.

Udało nam się zapomnieć o Październiku ’56 i jego demokratycznych żądaniach.

Wszystkie te strumyki tradycji, przenieszone przez zbiorowe pamięci, wpływały na „Solidarność”. Dziś podtrzymują je tylko wąskie kręgi. Toteż w szerszej świadomości nie istnieją. Tak jak niemal zatarła się pamięć o współtworzącym „S” Komitecie Obrony Robotników, łączącym batalie o prawa obywatelskie z upominaniem się o prawa pracownicze i godność ludzi pracy. Zresztą kto z młodszych lub starszych uczył się o tym w szkołach III RP?

Teraz Brzeziecki chce zakopać w ziemi również „Solidarność”, a to znaczy: zostawić ją wrogom demokracji, jak PiS, by dowolnie nią manipulowali i przejęli na własność. Ja zaś mam niemiłe wrażenie, że główną działalnością polskich demokra-

tów w sprawie tradycji jest działalność grzebalna.

Jednak zwłaszcza „Solidarność” – jako najbliżej usytuowana w historii – nie zasługuje na to, by zajmowali się nią grabarze. Ponieważ wbrew temu, co pisze Brzeziecki, w latach 1980-81 nadała życie polskim tradycjom demokratycznym.

„Solidarność” mieściła bowiem w sobie wszystkie polskie nurty ideowe od demokratycznego socjalizmu po fundamentalny katolicyzm i endecki nacjonalizm. I wszystkie społeczne warstwy czy klasy. Tworzyła więc pluralistyczne społeczeństwo, które podważało nie tylko realny socjalizm PRL, lecz także nierzadko endeckie wzory i, tak, tak, prymat Kościoła.

**Karol Modzelewski:
W „Solidarności” mówiono,
że „te katabasy się szarogęszą,
jakby to był ich związek”**

Najważniejsze dokumenty związku, jak „Samorządna Rzeczpospolita”, uważana za związkową konstytucję, przywoływały oczywiście nauki Kościoła i Jana Pawła II, przeważały jednak nawiązania do tradycji świecko-demokratycznych i pluralizmu światopoglądowego. Te dokumenty pokazują coś, o czym wspomina się rzadko: proces autonomizacji wielkiej części członków „S” zarówno od realnego socjalizmu, jak i od prymatu Kościoła. Wałęsa z Matką Boską w kłapie zdominował obraz ruchu, ale nie jego praktyki. „Było wśród działaczy »S« dużo antyklerykalizmu – krępkiego ludowego. Mówiono, że »te katabasy się szarogęszą, jakby to był ich związek«” – wspominał Karol Modzelewski.

Rzeczywiście, biskupi i księża nie pojęli tego procesu autonomizacji. Uważali, że Kościół ma być dominującym reprezentantem interesów społecznych i narodowych. Gdy jednak „S” zaczęła przyjmować w tych sprawach rolę konkurentki, jej stosunki z Ko-

ściołem stały się ambiwalentne, czasem nawet burzliwe. Na przykład „S” mimo nacisków biskupów nigdy nie wsparła oficjalnie antyaborcyjnej kampanii Kościoła, choć włączyło się w nią sporo działaczy. Stało się tak dopiero po latach.

Biskupi nigdy nie zaakceptowali tej autonomii „S”. Widzieli w tym zgubny wpływ środowisk inteligencko-korowskich, nosicieli lewackich idei. Stąd wsparcie wielkiej części Kościoła dla endeckiego nurtu w związku.

Właśnie wtedy, jesienią 1981, Kościół dokonał fundamentalnego wyboru politycznego, który określił jego przyszłość w III RP i Polsce PiS. Stał się w przeważającej mierze rzecznikiem endekoidalnej idei Polaka katolika. Co wielce wzmocniło ten nurt w rozpolitykowanym związku. I z takim nastawieniem Kościół wszedł w stan wojenny, stając się na gruzach „Solidarności” potęgą, jaką nigdy nie był.

A przypominam tamte zdarzenia i procesy, by uświadomić, także Brzezieckiemu, że tamta „S” była wszystkim naraz: związkiem zawodowym, ruchem społecznym i politycznym, uniwersytem ludowym, a przede wszystkim – ustawiczną szkołą demokratycznej polityki i pluralizmu. Nie wykluczała nikogo ze względu na światopogląd. Rozdzielanie tych oblicz „S” – jak to czyni Brzeziecki, odróżniając związek od ruchu społecznego – nie ma sensu. Ponieważ w warunkach walki o całościową demokratyzację systemu nie da się oddzielić kwestii praw pracowniczych od praw obywatelskich.

Oczywiście, „Solidarność” była też jak społeczeństwo pluralizujące się i uczące pluralizmu: demagogiczna, kłótliva i podatna na doraźne emocje. Zgodnie z duchem czasu lekceważyła również prawa kobiet.

Ale i tak z tamtych lat płynie fundamentalna lekcja demokracji, dziś nazbyt często zapomniana wraz z tą tradycją: same prawa obywatelskie nie tworzą jeszcze obywatelstwa. Musi im towarzyszyć sprawczość oraz systemowe poszanowanie godności każdej i każdego. Co oznacza także przeciwdziałanie wykluczeniom ekonomicznym.

Dbajmy więc o wzory i tradycje polskiego demokratyzmu. Bez nich łatwiej pożrą nas dyskryminatorzy i prawowercy. ●

ADRIAN
McKINTY

Autor bestsellerowego thrillera
ŁAŃCUCH

WYSPA

Nie wiesz, na co cię stać,
dopóki na szali nie stanie
życie twojej rodziny...

WYSPA

REMIGIUSZ MRÓZ

ADRIAN McKINTY

WYSPA

NOWY THRILLER

AUTORA BESTSELLEROWEGO ŁAŃCUCHA

Rodzinne wakacje zamieniają się w morderczą walkę o życie na wyjątej spod prawa wyspie. Jedyna panująca na niej zasada to oko za oko, ząb za ząb.
Gdy okazuje się, że nie możesz zaufać nawet najbliższemu, o przeżyciu decyduje instynkt przetrwania.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA

K

KULTURALNY
SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl

Wydawnictwo
Agora

1RP OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176595

eprasa.pl 4542f84f56

N A S Z A E U R O P A

Brutalnie proste reguły wojny

UKRAINE TRZEBA
ZBROIĆ, JAK SIĘ DA

– Putin postrzega wszystko w kategoriach siły i słabości. Zaczynasz dostarczać Ukraińcom duże ilości precyzyjnej broni – jesteś silny. Mówisz, że chcesz rozmawiać – jesteś słaby
– przekonuje amerykański politolog Eliot A. Cohen.

Maciej Czarnecki

Spodziwia się pan, że latem Ukraińcy będą w stanie przeprowadzić znaczące kontrataki czy też Rosja będzie kontynuować swoje powolne postępy? **ELIOT A. COHEN***: Choć może wydawać się to dziwne, nie mamy tak jasnego obrazu ukraińskiej armii jak rosyjskiej. Spodziewałbym się, że latem Rosjanom wyczerpie się energia ofensywna. Myślę, że już teraz trochę to widać. Pytanie, czy do tego czasu Ukraińcy zaabsorbują wystarczająco dużo zachodniego sprzętu i technologii, które dostają, i czy zdążą wyszkolić nowo powołanych i zmobilizowanych żołnierzy, by być w stanie rozpocząć szerszą kontrofensywę. Skłaniam się do poglądu, że tak. Choć nie będzie to łatwe.

Nie oczekiwałem, że ta wojna będzie jak bitwa o Kursk, gdzie starły się ze sobą duże formacje pancerne. Zapewne bardziej będzie przypominała działania pod koniec I wojny światowej, gdy strona, która długo miała inicjatywę, zaczęła otrzymywać potężne ciosy. Problemem Rosjan pozostaje to, że próbują prowadzić działania na bardzo długiej linii frontu z niewystarczającą liczbą żołnierzy, dość kłopotliwym dowodzonym wojskiem, które straciło już wielu oficerów i ma słabe morale.

Niektórzy obawiają się, że i tak nie da się jej pokonać. Mówią: przekonali się o tym Napoleon i Hitler, Rosja ma za dużo ludzi i nie liczy się ze swoimi stratami, mimo wielu błędów w końcu zawsze odnosi sukces...

– Po pierwsze, współczesna Rosja nie przypomina tej z 1941 r. Po drugie, Rosjanie wiele razy dostali łupnia: w wojnie krymskiej, Afganistanie i tak dalej. Opuścimy więc teorię, jakoby koniec końców byli zawsze niezwyciężeni. Po trzecie, wyraźnie nie chcą ogłosić masowej mobilizacji. To mówi wiele o szacunkach samego Kremla, czy rosyjskie społeczeństwo poparłoby oficjalne ogłoszenie wojny. Po czwarte, ludzie wydają się zapominać, że Rosja ma znacznie mniejszą armię, niż miała kiedyś. Jej siły lądowe liczą ok. 300 tys. żołnierzy. Nawet jeśli prowadzi ukrytą mobilizację, nie oznacza to, że ma niewyczerpane zasoby. To fantazja.

Wreszcie, sankcje zaczynają Rosję boleć. Chociaż tak naprawdę mówi się, że na dobre zaczną na jesieni. Jestem skłonny w to uwierzyć. Stworzy to dodatkową, wewnętrzną presję.

Z tych powodów uważam, że Ukraińcy absolutnie mogą pokonać Rosję. Przecież nie zamierzają maszerować na Moskwę, tylko obronić swój kraj. Wiele zależy od tego, czy Zachód nadal będzie dostarczał taką broń i w takiej ilości, która im na to pozwoli, do tego w odpowiednim tempie. Nawet jeśli



• Chłopiec z miejscowości Stojanka, na przedmieściach Kijowa, 30 maj
FOT. NATACHA PISARENKO/AP

mam zastrzeżenie co do konkretnych typów uzbrojenia i zaangażowania niektórych krajów, generalnie wydaje się, że tak będzie.

Pytanie, co tak naprawdę oznacza zwycięstwo. Czy Ukraińcy wrócą do granic sprzed 24 lutego, czy może pójdą dalej – tego na obecnym etapie nikt nie wie.

Tymczasem niektóre źródła na Kremlu sugerują, że Putin może za jakiś czas znów spróbować ataku na Kijów. Czy ma do tego możliwości, to inna sprawa, ale same doniesienia o takich planach rodzą pytanie, dlaczego nie uczy się na błędach. Mógł nie doceniać Ukraińców i determinacji Zachodu przed inwazją, ale teraz?

– Można powiedzieć, że do pewnego stopnia wyciągnął wnioski. Zdecydował się skoncentrować wysiłki na Donbasie, ograniczając swoje cele. A dlaczego tylko do pewnego stopnia? Bo ma pewne niewzruszone przekonania o słabości Zachodu i zapewne też Ukrainy...

Nawet teraz?

– Wydaje mu się, że może wytrwać dłużej niż my. Liczy na globalny kryzys żywnościowy, problemy z przyjmowaniem uchodźców, naciski zachodniej opinii publicznej, by zakończyć wojnę, zmusić Ukraińców do tego, by zasiedli przy stole negocjacyjnym.

Poza tym bardzo wątpię, by dostawał zgodne z prawdą informacje. Musimy pamiętać, że to system oparty na kłamstwach i korupcji. Nawet przy dobrze funkcjonujących, demokratycznych rządach trudno o to, by prawda docierała na sam szczyt wła-

dzy. W takim systemie, z którym mamy do czynienia w Rosji, jest to niemożliwe. Dlatego Putin żyje w świecie własnych fantazji, co potęguje jeszcze to, że prawdopodobnie jest chory i ma mało bezpośrednich kontaktów z innymi ludźmi. W rezultacie nie żyje w tym samym świecie co my.

Jak wyobraża pan sobie koniec wojny? Z pewnością go tylko zdecydowane zwycięstwo jednej ze stron czy może jakieś wcześniejsze negocjacje?

– Na pewno nie będzie tak, że ukraińskie siły wkroczą do Moskwy i obalą tamtejszy reżim. Nie spodziewałbym się też wkroczenia rosyjskich sił do Kijowa, Lwowa i zainstalowania tam swoich marionetek. Uważam, że w pewnym momencie dojdzie do załamania na froncie. Nie będzie impasu jak w niektórych zamrożonych konfliktach, w których linia frontu prawie się nie zmienia. To jest wojna potężnych rozmiarów, więc w pewnym momencie jedna albo druga strona zacznie doświadczać pewnego pęknięcia. Myślę, że będą to Rosjanie, bo Ukraińcy mają znacznie większą motywację. I zachodnie wsparcie.

Ludzie snują porównania do II wojny światowej, ale powtarzam, bardziej adekwatne są analogie do I wojny światowej, w której pod koniec nastąpił proces upadku. Obie strony były wyczerpane, ale jedna z nich po prostu zaczęła się załamywać. To samo zobaczymy w tej wojnie. Nie wiem tylko, czy za dwa miesiące, trzy, czy sześć.

Czy jakiegokolwiek rozmowy z Putinem, zanim to się stanie, mają sens? Prezydent

Francji Emmanuel Macron i kanclerz Niemiec Olaf Scholz uznali, że tak.

– Nie mają. Kiedy Rosjanie naprawdę będą chcieli rozmawiać, dadzą nam znać. Kiedy wychodzi się z własną inicjatywą, tylko przekonuje się Putina o swojej słabości. On postrzega wszystko w kategoriach siły i słabości. Nie ma żadnych neutralnych gestów wobec niego. Każdy coś sygnalizuje. Zaczynasz dostarczać Ukraińcom duże ilości precyzyjnej broni – jesteś silny. Mówisz, że chcesz rozmawiać – jesteś słaby. To takie proste!

Samuel Charap, politolog z RAND Corporation, przekonuje w najnowszym „Foreign Affairs”, że obie strony powinny wrócić do propozycji ze Stambułu z końca marca, która zakładała neutralność Ukrainy z gwarancjami bezpieczeństwa ze strony mocarstw. Ale na tym etapie Rosja w ogóle nie myśli o poważnych negocjacjach.

– Charap mylił się w sprawach Rosji od dekad. Negocjacje? To jakby powiedzieć w 1940 r.: spróbujmy rozmawiać z Hitlerem. W negocjacjach obowiązuje prosta zasada: podejmuje się je, gdy nadchodzi odpowiedni moment. Teraz trzeba zacisnąć zęby i przekazywać amunicję.

Wyobraźmy sobie, że w końcu nadszedł ten moment i wypracowano jakieś porozumienie. Wszyscy wiemy, jak skończyły się porozumienia mińskie. Co Zachód może zrobić, aby zmusić Rosję do przestrzegania tego, co podpisze?

NASZA EUROPA

– Zabić tylu rosyjskich żołnierzy, ile można. Rosja musi rozumieć, że ceną za pogwałcenie porozumienia i próbę rewizji będzie jej porażka militarna.

Nie bawi się pan w niuanse.

– Wie pan, wojna składa się z brutalnie prostych prawd. To jedna z nich. Jeśli ta wojna będzie katastrofą dla Rosji, zarówno gospodarczą, jak i ludzką... Putin w pewnym momencie umrze, zostanie zastąpiony przez jakiegoś kolejnego lotra. No, chyba że przez Aleksieja Nawalnego, ale na to za bardzo bym się nie nastawiał. Ale tak czy inaczej będzie lepiej, bo ten następny lotr będzie miał świadomość, że jak ostatnim razem próbowali wojny, zrujnowali własny kraj.

Zaraz, naprawdę dopuszcza pan myśl, że Nawalny mógłby zastąpić Putina?

– Kto wie, Rosja przeżywała w przeszłości rewolucje, społeczeństwa się zmieniają. Nie wierzę w niezmienną specyfikę jakiegokolwiek kraju. Wszyscy powtarzają, że Rosja może wszystko przetrzymać, ale to przecież inne społeczeństwo niż w latach 30. czy 40.

Putin to nie Stalin, a Rosja to nie ZSRR z lat 1940-41. Fakt, że nie można przeprowadzić otwartej mobilizacji, otwarcie wysłać na tę wojnę poborowych – to ogromnie ważna informacja, do której trzeba powracać. W tych czasach wszyscy, włącznie ze mną, są uzależnieni od mediów społecznościowych. Żyjemy szybkimi wrzutkami, a nie zastanawiamy się nad tym, co naprawdę kluczowe. A to, że Kreml nie śmie powołać do wojska młodych mieszkańców z Moskwy, Petersburga czy innych miast, jest bardzo ważne. Bierze ich za to z Dalekiego Wschodu, z różnych mniejszości etnicznych.

Prezydent Joe Biden określił niedawno na łamach „New York Timesa” cele USA w tej wojnie: „Chcemy demokratycznej, niezależnej, suwerennej i dostatniej Ukrainy, która dysponuje środkami do tego, by odstraszać i bronić się przed dalszą agresją”. Niektórzy, w tym redakcja „NYT” w swoim edytoriale, przekonywali, że trzeba zdefiniować je ściślej i określić granice amerykańskiego wsparcia dla Ukrainy.

– Biden określił to w dobry sposób. Napisałem niedawno tekst w „The Atlantic” o celach wojny. One będą się zmieniać w zależności od natury działań wojennych. Ale podstawowy cel jest jasny. Tu się nie ma o co spierać: trzeba się upewnić, że Ukraińcy mogą pokonać Rosjan na polu bitwy.

Oczywiście chcemy suwerennej, dostatniej i wolnej Ukrainy. A ponadto? Pomyśl, że można to wszystko ustalić z góry i że wojna jest jak budowa mostu, to nonsens. Brytyjczy i Amerykanie w latach 40. tak naprawdę nie wiedzieli do końca, jakie są ich cele, aż do zakończenia II wojny światowej. Ludzie chcą brzmieć mądrze, a jak piszesz edytoriale, musisz wymyślić coś nowego do powiedzenia. A ja powtarzam do znudzenia tę samą rzecz.

Że trzeba dozbrajać Ukrainę, jak się da.
– Otóż to.

USA przekazują Ukraińcom systemy wyrzutni rakietowych HIMARS, ale tylko z pociskami średniego zasięgu. Skoro Kijów i tak musiał obiecać, że nie użyje ich przeciwko celom w Rosji, to dlaczego nie można dostarczyć pocisków dalekiego zasięgu?

– To absurdalne. Jeśli np. myślimy o przerwaniu rosyjskiej blokady Odessy, z pociskami dalekiego zasięgu żaden rosyjski okręt w Sewastopolu nie byłby bezpieczny. Nie widzę powodu, dla którego Rosja sama miałaby nie uciepnieć w wyniku ukraińskich ostrzałów. Dlaczego Rosjanie mogą dokonać inwazji, niszczyć, gwałcić, rabować, a Ukraina nie może zaatakować celów wojskowych w Rosji?

Niektórzy odpowiedzą: boimy się eskalacji i reakcji Moskwy.

– Nadal są za bardzo bojaźliwi. Jestem przekonany, że najlepszym sposobem, by zakończyć to cierpienie, jest dostarczenie większej ilości broni. Każdego rodzaju poza nuklearną.

Były ambasador USA w Moskwie Michael McFaul napisał niedawno na Twitterze, że najgorszą rzeczą byłoby zapewniać Ukraińcom wystarczająco dużo broni, by nie przegrali, ale za mało, by odnieśli zwycięstwo, bo taka strategia tylko przedłużałaby konflikt.

– Mogę się z tym zgodzić. Pomyśl, że możemy coś wyważyć, skalibrować, zapewnić doкладnie tyle broni, ile Ukraina potrzebuje, ani pocisku więcej, to nonsens. Wojna tak nie działa.

Tymczasem na Zachodzie pojawiają się takie głosy jak Henry’ego Kissingera czy Emmanuela Macrona mówiące, że Rosji „nie można upokorzyć”.

– Ależ nawet trzeba! Przede wszystkim trzeba doprowadzić do porażki Rosji na froncie. Są ludzie, którzy stawiają na politykę appeasementu [to nawiązanie do polityki ustępstw wobec państw osi prowadzonej przez brytyjski rząd Neville’a Chamberlaina, a potem również francuski rząd Édouarda Daladiera w latach 1935-39]. Są tacy, którzy nie chcą dokonywać poświęceń. Jeszcze inni mają przestarzałe pojęcie o polityce rodem z XIX wieku. A mamy do czynienia z prawdziwie faszystowskim reżimem. Im bardziej jest on zdyskredytowany i upokorzony, tym większe szanse, że Rosjanie sami zastąpią go w końcu czymś innym.

W Waszyngtonie jest wystarczająco dużo determinacji, by do tego doprowadzić?

– Przy całej mojej krytyce wobec administracji Bidena zasadniczo robi to, co trzeba. Zapewnia Ukrainie naprawdę dużo uzbrojenia. Ten pakiet o wartości 40 mld dol. to duża sprawa. Inne zachodnie kraje, w tym Polska, też zapewniają wsparcie. Nawet Francuzi coś dają. Za to Niemcy...

Powoli dołączają do reszty. Scholz zadeklarował niedawno przekazanie systemów przeciwlotniczych IRIS-T.

– Trzeba przyznać, że nie można oczekiwać od kraju rewolucji nie tylko w dyplomacji, ale w ogóle sposobie podchodzenia do świata w ciągu trzech miesięcy. Niemcy są jak ktoś, kto nie ćwiczył na siłowni od lat. Nie zaczyna się od razu od podnoszenia 50-kilogramowych sztang. Nie mają jeszcze na to mięśni, ale powoli mogą je wypracować.

Chwileczkę, proszę mi przypomnieć, jak nazwał mnie jeden z komentujących pod poprzednim wywiadem w „Wyborczej”? Podsyłał mi to pan mailowo.

Ktoś napisał, że cieszy go powrót „rusorealistów”.

– Właśnie, jestem rusorealistą!

W Polsce z racji doświadczeń historycznych mamy prawie samych rusorealistów.

– Myślę, że można powiedzieć to o wszystkich państwach graniczących z frontem. Niech was Bóg błogosławi za wszystko, co robicie dla Ukrainy. ●

*Eliot A. Cohen

● amerykański politolog z Johns Hopkins University, stały współpracownik magazynu „The Atlantic”, były doradca Departamentu Stanu za czasów Condoleezy Rice (w latach 2007-09), przedstawiciel nurtu neokonserwatystów w Partii Republikańskiej, autor książek, m.in.: „The Big Stick: The Limits of Soft Power and the Necessity of Military Force” i „Supreme Command: Soldiers, Statesmen, and Leadership in Wartime”

Moskwa strzela zachodnimi technologiami

85 proc. komponentów – z Zachodu

Eksperci badają przejętą przez Ukraińców rosyjską broń. Wniosek: moskiewski przemysł zbrojeniowy jest uzależniony od komponentów pochodzących m.in. z krajów NATO. Teraz ich import wygasa. Dlaczego dla Ukrainy nie jest to jednak powód, by odetchnąć z ulgą?

Pavel Lokshin

WELT

Władimir Putin przyznał to jednoznacznie już na posiedzeniu rządu w listopadzie 2014 r. „Moskiewski przemysł obronny powinien uniezależnić się od importu zagranicznych komponentów” – zażądał. Komponenty własnej produkcji nie powinny być w żaden sposób gorsze od produktów kupowanych wcześniej za granicą, a rosyjskie opracowania muszą być „wysokiej jakości”.

Dmitrij Rogozin, ówczesny wicepremier, obiecał wtedy całkowite zastąpienie importu rodzimą produkcją w ciągu trzech lat.

PROCESORY Z USA, CZUJNIKI Z FRANCJI

Prawie osiem lat później na polu bitwy w wojnie w Ukrainie wylania się jednak inny obraz. Wojsko rosyjskie jest nadal beznaście uzależnione od importu z Zachodu. Tysiące pojazdów i systemów rakietowych zostało już zniszczonych lub zdobytych w walce. Zbadali je specjaliści z Ukrainy i Zachodu.

Na przykład komputer pokładowy używane go przez Rosję pocisku manewrującego Ch-101 składa się z 35 mikroprocesorów wyprodukowanych w USA. W mobilnym systemie zagłuszania radiowego Borisoglebsk-2 eksperci znaleźli brytyjskie tranzystory wysokiej częstotliwości. A technologicznym sercem najnowocześniejszego drona rozpoznawczego Orlan-10 okazał się termowizyjny czujnik obrazu francuskiego producenta Lynred.

Im nowocześniejsza broń, tym większe prawdopodobieństwo, że nie poradzi sobie bez zachodnich

komponentów. Oznacza to, że im dłużej trwa wojna, tym starsza będzie używana przez Rosjan broń – ponieważ dostawy zachodnich komponentów stają się coraz bardziej skomplikowane.

Dla ekspertów nie jest to nowość. Przed dekadą udział zagranicznych komponentów w rosyjskich systemach uzbrojenia szacowano nawet na 85 proc. Wydaje się, że niewiele się w tej kwestii zmieniło. Pośrednio przynajmniej do tego także rosyjscy producenci broni. Na przykład Kałasznikow, który wytwarza nie tylko osławioną broń ręczną, ale także pociski do myśliwców i systemy obrony powietrznej, wprost obawia się o utrzymanie swojej działalności, bo niektóre produkty firmy składają się nawet w 80 proc. z komponentów zagranicznych. Kałasznikow znajduje się na liście sankcji UE od kwietnia.

CZEGO NIE DA SIĘ ZASTĄPIĆ

Problemy ma również producent czołgów Uralwagonzawod. Systemy termowizyjne francuskiego producenta Thales były instalowane w czołgach T-72 do 2019 r., ale umowa nie została przedłużona. Uralwagonzawod chciał wymienić podzespoły na porównywalne wyprodukowane na Białorusi. Nie wiadomo jednak, czy Mińsk jest w stanie dostarczyć wymaganą liczbę podzespołów.

Ponadto niektórych elementów nie da się zastąpić zamiennikami produkcji rosyjskiej lub państw przyjaźnionych. Według badań z brytyjskiego Królewskiego Instytutu Sił Zbrojnych (Royal United Forces Institute) są to m.in. kluczowe elementy pocisku wystrzeliwanego przez system Iskander-K. Ta broń wymaga zastosowania specjalnych materiałów odpornych na wysoką temperaturę i złączy elektronicznych, które są produkowane wyłącznie w USA.

Wiele z nich to tzw. komponenty podwójnego zastosowania, wykorzystywane zarówno w technologiach cywilnych, jak i wojskowych, których eksport można powstrzymać jedynie poprzez zastosowanie wszechogarniających sankcji. Inne mogą zostać za-

stąpione chińskimi komponentami gorszej jakości – twierdzi anonimowy ekspert z branży, wypowiadający się dla rosyjskiej niezależnej platformy śledczej iStories.

Rosja nadal jednak posiada w magazynach wiele kluczowych komponentów, których nie można sprowadzić z Chin, takich jak mikroprocesory amerykańskiego producenta Texas Instruments. Zdaniem wspomnianego eksperta bez zachodnich komponentów rosyjski przemysł obronny może przetrwać nawet kilka lat bez utraty jakości.

BRŃ PRECYZYJNA NA WYCZERPANIU

Prawdziwe problemy powinny zacząć się dla Rosjan dopiero wtedy. Ale niektórzy z nich są zauważalne już teraz. Od tygodni widać, że Rosja rozmieszcza na froncie coraz mniej pocisków manewrujących i rakiet balistycznych. Tak twierdzi ministerstwo obrony w Kijowie. Już w marcu Pentagon stwierdził, że zapasy rosyjskich pocisków kierowanych o wysokiej precyzji są na wyczerpaniu. Jeśli chodzi o „broń prestiżową”, taką jak Iskander-K, Rosja i tak może użyć w Ukrainie tylko niewielkiej części swojego arsenału, ponieważ potrzebuje rezerw na wypadek sytuacji kryzysowej – np. wojny z NATO.

Nowe sankcje nałożone przez UE i USA utrudniają pozyskiwanie potrzebnych komponentów. Nawet w przypadku firm przykrywek i szarego importu towarów podwójnego zastosowania nabywanie zachodnich komponentów prawdopodobnie będzie się opóźniać w nieskończoność, co jeszcze bardziej ograniczy możliwość wykorzystania przez Rosję nowoczesnej broni.

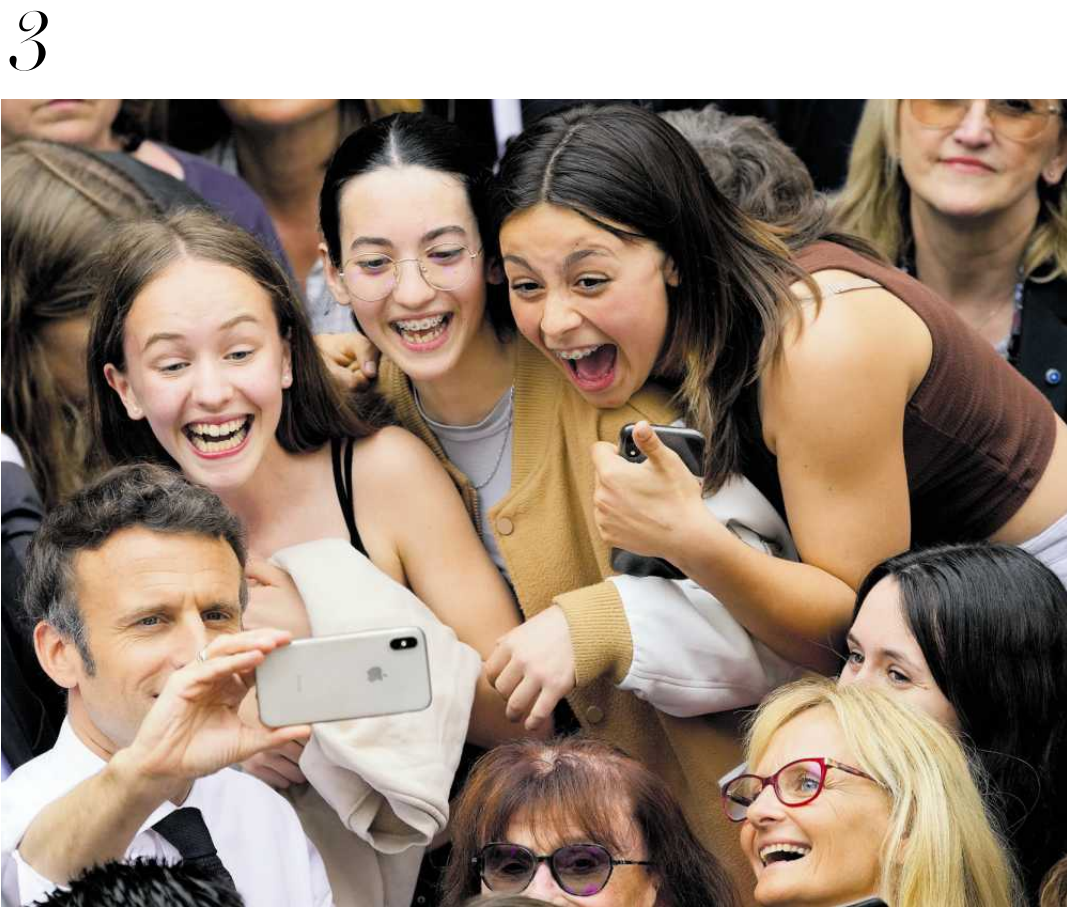
Dla Ukrainy nie musi to jednak oznaczać ulgi. Gdy brakuje nowoczesnej broni, Moskwa sięga po to, co sprawdzone: w razie kłopotów rosyjskie wojsko na wielką skalę i brutalnie wykorzystuje nieprecyzyjne wyrzutnie rakiетowe Grad oraz artylerię. Np. we frontowym Siewierodoniecku na wschodzie kraju ukraińscy wojskowi od wielu dni mówią o „zrównywaniu terenu” atakami huraganowymi na oślep. ●



DOKĄD SKRĘĆCASZ, FRANCJO?

Najmłodszego prezydenta V Republiki Francuskiej
wybrał najstarszy w jej historii elektorat

MATEUSZ MAZZINI



– Od 40 lat niszczą Francję, gospodar-ka jest w ruinie, nasze fabryki niczego już nie produkują. Jedyne, co robimy, to wydajemy pieniądze.

Adrien* ma 30 lat, jest Izraelczy-kiem francuskiego pochodzenia, pro-gramistą, studia skończył na wydzia-le finansów. W ostatnich wyborach na-leżał do Génération Z, formacji skupio-nej wokół Érica Zemmoura, skrajnie prawicowego publicysty. Choć jeszcze w połowie lutego dochodził do 15 proc. poparcia, zebrał tylko 7,1 proc. głosów i nie wszedł do drugiej tury.

– Zawsze głosowałem, ale w tym ro-ku na drugą turę zostałem w domu.

– Dlaczego?

– Macron nie jest mężem stanu, tyl-ko menedżerem. Nie ma wizji, tylko wizerunek. Nikt nie wie, jakie ma na-prawdę poglądy. Mówi, że reprezentuje wartości lewicowe, a zachowuje się jak konserwatysta.

– A Marine Le Pen?

– Rasistka.

– Takie zarzuty stawiano też Zem-mourowi.

– To śmieszne. Nasi przeciwnicy na-zwali nas rasistami i faszystami, a nie zauważyli, że chcieliśmy wybrać alger-skiego Żyda – mówi o Zemmourze.

W drugiej turze nikogo nie poparła też Sonia, 31-letnia lewicowa aktywist-ka, córka tunezyjskich migrantów.

– Jak między dżumą a cholera – mó-wi o drugiej turze.

Dwa tygodnie wcześniej popar-ła Jeana-Luca Mélenchona, 70-let-niego kandydata lewicy. Jego wynik był największą sensacją pierwszej tu-ry. 21,95 proc. głosów omal nie da-ło mu szansy na bezpośredni pojedy-nek z Emmanuelem Macronem. Ma-rine Le Pen pokonała go o zaledwie 1,2 pkt proc., czyli nieco ponad 400 tys. głosów.

Mélenchona wynieśli przede wszystkim młodzi. Udziela się od pół wieku, ale bez sukcesów. 7,7 mln gło-sów poparcia w pierwszej turze to naj-bardziej udana kampania od lat dla francuskiej lewicy, wewnętrznie po-dzielonej i szukającej sposobów dotar-cia do najmłodszego elektoratu. Mélen-chon mówił o rosnących nierówno-ściach społecznych i walce z katastrofą klimatyczną.

Drugi temat był też akcentowa-ny przez Yannicka Jadota, europosła i działacza ekologicznego, kandyda-ta Zielonych. Na niego w pierwszej tu-rze zagłosował Leo, 30-letni pracow-nik dużej korporacji w Paryżu. Studio-wał w Wielkiej Brytanii, zawsze mocno interesował się polityką. Choć Macro-nem był mocno rozczarowany, poparł go w drugiej turze, żeby powstrzymać Marine Le Pen.

Na obecnego prezydenta zagłoso-wała też Charlotte, 27-letnia analitycz-ka z sektora finansowego pochodząca z mieszanej, francusko-niemieckiej ro-dziny.

Wszystkich łączą dwie rzeczy – są młodymi, dobrze wykształconymi członkami wielkomiejskiej klasy śred-niej. Wszyscy dużo podróżują, mają epizody życia za granicą. Ich profil so-cjologiczny wskazywałby, że Macron to dla nich kandydat idealny, a przynaj-mniej – że poparcie akurat jego jest wy-borem najbardziej racjonalnym. Jed-nak – i to ich drugi wspólny mianow-nik – dla żadnego z nich Macron nie był kandydatem pierwszego wyboru.

NEOLIBERALNA TWARZ

Od początku głosowała na niego tyl-ko Charlotte, choć, jak sama mówi, nie jest z tego dumna.

– Dla mnie to było głosowanie tak-tyczne, przeciwko skrajnej prawicy. Przerzążało mnie, że tylu ludzi chce gło-

sować na Marine Le Pen albo na Zem-moura. Wielu z nich to bogaci, wy-kształceni Francuzi. Skąd się wziął tak wielki elektorat skrajnej prawicy? Nie wiem.

Charlotte określa siebie jako repu-blikankę. Macron nie był jej idealnym kandydatem, bo nie spełnia wszystkich kryteriów tego środowiska. Kiedy py-tam, kto, nawet włączając postaci hi-storyczne, byłby w tej roli według niej najlepszy, musi się chwilę zastanowić.

– Być może de Gaulle. Ale nie jestem pewna. Był za mało proeuropejski, nie popierał NATO. Dla mnie to wartości fundamentalne. Głosowałam na Ma-crona również dlatego, że głos na nie-go to głos na Europę. A ta zjednoczo-na wywodzi się z idei pokoju. Dzisiaj, kiedy trwa wojna w Ukrainie, trzeba o tym pamiętać.

Ostatecznie jako swojego wymarzo-nego prezydenta wskazuje Valéry’ego Giscarda d’Estaing, który Francją rzą-dził w latach 1974-81. Z obecnych po-lityków programowo bliski mógłby jej być były trzykrotny premier François Fillon, ale jego w oczach Charlotte dys-kwalifikuje brak kręgosłupa moralne-go. Fillona w ostatnich latach oskarżo-no m.in. o sprzeniewierzenie publicz-nych pieniędzy i nepotyzm. Po odejściu z rządu pracował dla firmy konsultin-gowej doradzającej rosyjskim przedsię-biorstwom, zasiadał też w radach nad-zorczych dwóch z nich.

– Macron ma tę przewagę, że w po-lityce jest relatywnie od niedawna. Nie miał więc czasu napaskudzić sobie w życiorysie skandalami – gorzko ko-mentuje Charlotte.

Jeszcze pięć lat temu Macrona osta-tecznie poparli wszyscy. Leo i Charlotte – od razu, Sonia i Adrien w drugiej tu-rze. Leo pracował nawet w jego sztabie. Pół dekady później wszyscy są wobec niego krytyczni. Dwójka z nich, obo-je pochodzący z rodzin imigranckich, nie zdecydowała się go poprzeć na-wet w walce z kandydatką, którą sami określają mianem „faszystowskiej” (So-nia) i „rasistowskiej” (Adrien).

Co się zmieniło przez te pięć lat?

Sonia: – Macron pokazał swo-ją prawdziwą, neoliberalną twarz. O mniej zamożnych klasach społecz-nych potrafił się wypowiadać w obrzy-dliwy sposób. Ograniczył wydatki so-cjalne, w gospodarce wprowadził tylko ulgi podatkowe i umizgiwał się do naj-bogatszych. Nie zrobił nic dla mojego środowiska. Poza tym nie mogłam po-przeć kogoś, kto prześladowa migran-tów w Calais, a w swoim rządzie trzy-ma polityka oskarżonego o gwałt [Gé-rard Darmanin, minister spraw we-wnętrznych, w którego sprawie toczy-ły się dwa postępowania sądowe]. Je-stem feministką, działaczką organiza-cji na rzecz kobiet, dla mnie to niedo-puszczalne. Powinniśmy zalegalizować chociażby wsparcie z publicznych pie-niędzy prokreacji dla lesbijek czy sa-motnych matek. Macron o takich rze-czach nigdy nie mówił.

Adrien: – Wstąpiłem do ruchu Zem-moura, bo pociągała mnie jego auten-tyczność. Obserwuję go od 2006 r., czy-tam jego teksty, jest spójny w swoich poglądach. To intelektualista, patriota, a nie zawodowy polityk. Nasza polityka się sprofesjonalizowała, Macron jest te-go produktem. Ale żaden z niego przy-wódca. Prawdziwy lider rozumie tra-dycję i dziedzictwo swojego kraju, po-trafi zaproponować dla niego wizję na tysiąc lat, nie na jedną kadencję. U Ma-crona denerwowała mnie jego krótko-wzroczność i nijakość. Jaki jest właści-wie jego cel? Jaką on reprezentuje ide-ologię? Nikt do końca nie wie. Jego po-lityka gospodarcza była nawet w po-rządku, ale wkurzało mnie jego dbanie o własny wizerunek, jakby nic innego się dla niego nie liczyło.

Mniej krytyczny wobec pierwszej kadencji Macrona jest Leo. – Nie je-stem nieusatsfakcjonowany, ale roz-czarowany. Za pierwszym razem Ma-cron obiecywał, że zredukuje nierów-ności, ale niewiele tego było. Sporo z moich znajomych odeszło od Macro-na, większość zagłosowała na Mélen-chona. Zamiast obietnic mieliśmy festi-wal ulg podatkowych, za dużo neokon-serwatywnego dogmatu. A w kwestii klimatu to już nie zrobił absolutnie nic. Dlatego młodzi przeszli do innych kan-dydatów.

W pierwszej turze Mélenchon po-konał Macrona w dwóch najmłod-szych grupach elektoratu. Dwucyfro-wo. Spośród wyborców pomiędzy 18. a 24. rokiem życia na kandydata lewi-cy zagłosowało 31 proc., na urzędujące-go prezydenta zaledwie co piąty. Nie-mal identycznie było w kolejnej grupie wiekowej, 25-34 lata: 23 proc. popar-cia dla Macrona, 34 dla Mélenchona. Najwięcej głosów wśród najmłodszych zdobył też Yannick Jadot (6 proc., przy całkowitym wyniku 4,6 proc.). Macron nie przekonał do siebie nawet Francu-zów w średnim wieku. W segmentach wiekowych 35-49 i 50-59 pokonała go z kolei Marine Le Pen. Wygrał dopiero u wyborców w wieku okołoemerytal-nym. W grupie wiekowej 60-69 popar-ło go 30 proc., u 70-latków i starszych poparcie skoczyło aż do 41 proc. W ten sposób najmłodszego prezydenta V Re-publiki Francuskiej wybrał najstarszy w jej historii elektorat.

NATO NAM NIEPOTRZEBNE

Tuż przed wyborami Macron zaczął nagle tracić przewagę nad Marine Le Pen. W mediach dominowała inter-pretacja, że za bardzo zaangażował się w negocjacje wokół wojny w Ukrainie. Za politykę zagraniczną prezydent był jednak dotychczas chwalony.

Charlotte: – Dla tych, którzy pamię-tają jeszcze II wojnę światową i pierw-sze lata po niej, jego polityka zagra-niczna była bardzo ważna.

Sonia: – Te jego rozmowy z Puti-nem były bez sensu, dał się ośmie-

Czy Le Pen, pomimo swojego poparcia dla Putina, będzie mogła dalej odgrywać ważną rolę w naszej polityce?

szyc. Zachowuje się podstępnie, chce się wszystkim przypodobać. A tak na-prawdę dla lewicy jest zbyt konserwa-tywny, dla konserwatystów – zbyt li-beralny. Macron jedzie na wizerunku, swojej pozytywnej aurze. Zupełnie jak Justin Trudeau.

Adrien: – Czy Francja powinna wyjść z Unii, jak chciała Le Pen? Nie. Musimy zostać, bo jesteśmy zbyt słab-i. Byliśmy potęgą, mieliśmy chronić kontynent, teraz nasza armia jest nie-wystarczająco silna. A przecież Unia to był od początku francuski pomysł.

NATO? Powinniśmy wyjść. Przez członkostwo w tym sojuszu musimy rozwiązywać cudze problemy. Woj-na w Ukrainie to był amerykański pro-blem, a teraz stał się francuski. Jesteśmy przecież mocarstwem nuklear-nym, nie powinniśmy musieć pytać in-nych o zdanie.

Leo: – Doceniam wysiłki Macrona w dyplomacji. Poradził sobie z kryzy-sem pandemii. Jasne, przydałoby mu się zaplecze instytucjonalne, zwłaszcza na wybory parlamentarne, ale z dru-giej strony tradycyjne partie i tak po-niosły teraz klęskę. Widać to wszędzie, również na przykładzie Mélencho-na czy Zemmoura. Nie ma za bardzo szans na to, żeby stare ugrupowania się odbudowały. Jedyne, na czym Ma-cron traci, to polaryzacja – bo jak jesteś politykiem środka, to siłą rzeczy nie za-dowolisz wszystkich.

To właśnie skrajni kandydaci mó-wili w kampanii o tematach, które naj-młodszą część elektoratu interesowały najbardziej. Dla grup wiekowych 18-24 i 25-34 lata kluczowymi kwestia-mi były sytuacja ekonomiczna i siła nabywcza (45 i 64 proc.), klimat i śro-dowisko naturalne (49 i 31 proc.), nie-równości społeczne (31 i 26 proc.) oraz imigracja (po 25 proc.). Poza ostat-nią we wszystkich tych kategoriach ich znaczenie było wyższe dla mło-dych niż średnio w całym elektora-cie. Wojna w Ukrainie, która w opi-nii komentatorów miała rozstrzygnąć wybory na rzecz Macrona, odgrywa-ła rolę marginalną. Za ważną uznalo ją tylko 15 proc. respondentów, w tym 9 i 13 proc. w najmłodszych grupach wiekowych. W rozbiciu na elektoraty podział był jeszcze wyraźniejszy – kon-flikt na wschodzie jako istotny wskazy-wali praktycznie tylko ci, którzy i tak chcieli głosować na Macrona. Swoimi dyplomatycznymi wysiłkami prezy-dent tak naprawdę przekonywał więc przekonanych.

BIDEN NAM WSZYSTKO DYKTUJE

Skąd ta radykalizacja młodych?

Adrien: – Poszedłem na prawicę, bo jest tam miejsce dla wszystkich – go-spodarczych liberalów, konserwatyw-nych katolików, nawet rojalistów, któ-rzy by chcieli przywrócić monarchię. Pochodzę z żydowskiej rodziny i świet-nie się tu odnalazłem. Mam paru zna-jomych, którzy głosowali na Mélen-chona, byłem kiedyś na ich imprezie.

Tam wszyscy są tacy sami. Zemmour ma pomysł na Francję. Nie tak jak inni, którzy chcą, żebyśmy byli USA-bis.

– To jaka ma być Francja według Zemmoura?

– Świadoma swojej tożsamości. Dzisiaj młodzi nie znają francuskiej kultury. Wszystko jest zamerykani-zowane. To wina komunistów, którzy w latach 70. przejęli edukację i tak na-prawdę ją zniszczyli. Kiedyś syn ro-botnika mógł dostać się na najlepszy uniwersytet, dzisiaj to niemożliwe. Poza tym mamy za wysokie podatki, źle wykorzystywane. Zarabiam 4 tys. euro miesięcznie, na rękę to jakieś 2800, ale moją firmę kosztuję 8 tys. euro. A potem nic z tego nie ma. Szko-ły, szpitale – wszystko jest niedofinan-sowane, źle zarządzane. No i jeszcze ten Biden, który ciągle mówi nam, co mamy robić.

1. Przebrani zwolennicy lewicowego kandydata na prezydenta – Jeana-Luca Mélenchona
FOT. CHRISTOPHE ENA/AP

2. Zwolennicy Marine Le Pen podczas spotkania wyborczego na przedmieściach Paryża
FOT. FRANÇOIS MORI/AP

3. Emmanuel Macron robi sobie selfie z młodym zwolennikiem
FOT. CHRISTOPHE ENA/AP

4. Kandydat na prezydenta Éric Zemmour podczas kampanii wyborczej odwiedza targi rolne
FOT. FRANÇOIS MORI/AP

– A migranci? Zemmour sporo miejsca poświęcił niewystarczającej asymilacji osób przybywających z dawnych kolonii – choć to i tak eufemistyczny opis jego programu.

– Nie mam nic przeciwko migrantom. Ale wielu z nich przyjeżdża tutaj, nie mówiąc nawet po francusku. Przez to są potem skazani na pracę w Uberze. Powinni nauczyć się języka, pracować w naszych fabrykach, produkować we Francji. Może wtedy udałoby się postawić na nogi naszą gospodarkę i odbudować to, co zniszczyła globalizacja.

Choć Sonia ideowo sytuuje się na przeciwnym krańcu politycznego spektrum, a Zemmour to dla niej faszysta, wskazuje podobne do Adriena powody odejścia od Macrona.

– Mélenchona kocham z tych samych powodów, dla których nienawidzę Macrona. On ma wielkie, ambitne idee, chce zmieniać kraj. To było kiedyś domeną socjalistów, potem lewica porzuciła swoją tożsamość. Mélenchon do niej wraca, a nawet ją poszerza. Mówi o tym, co ważne – o nierównościach, klimacie. Poza tym jest świetnym mówcą, ma doskonałe bon moty, bardzo mi się to podoba. Jego przeciwnicy zarzucają mu, że jest radykałem. Może. A nawet jeśli, to czy radykalizm zawsze musi być czymś złym? Chwałę go też ekonomiści. I nie zgadzam się, że Francja w tych wyborach podzieliła się generacyjnie. Rozumiem starszych ludzi, oni głosują za stabilnością, a Macron to właśnie stabilność, status quo. Ale prawdziwa linia podziału przebiega we Francji wzdłuż kwestii materialnych. To nie były wybory młodych i starych, tylko biednych i bogatych, tych z szansami i tych bez nich. Mélenchon bardzo dobrze to rozumiał.

Pytam, czy nie widzi sprzeczności w tym, że twarzą antyestablishmentowej zmiany został ktoś, kto na lewicy politycznie udziela się od pół wieku, i to bez większego powodzenia.

– Nie przeszkadza mi, że jest przedstawicielem politycznej elity. Musi nim być, wszyscy to wiedzą. Od tego jest lider, inaczej nie da się wygrać wyborów.

Leo, z całej czwórki najbliższy politycznemu centrum, radykalizację młodych rozumie, ale nie doszukuje się w niej winy Macrona.

– Mélenchon to charyzmatyczny polityk, a 50 lat doświadczenia mu raczej pomaga, niż ciąży. Był szeregowym działaczem, blisko ludzi, więc dla młodych jest wiarygodny. Trafia zwłaszcza do idealistów. Ale Macron też jest dobry. Jego sposób rządzenia to według mnie szczytowa forma technokracji okryta płaszczem wielkich idei. Decyzje opiera na ekspertyzie, jego ministrowie to bardzo wykwalifikowani ludzie.

To dlaczego Leo jednak na Macrona nie zagłósował?

– Bo pomiędzy jego świadomością złożoności dzisiejszego świata a świadomością przeciętnego wyborcy jest ogromna przepaść. On nie był w stanie jej zasypać ani nawet zredukować. Przy czym ja ci się przyznam, że sam nie wiem, czy to jest w ogóle możliwe. Nie mam pewności, czy da się ludziom prosto wyjaśniać rzeczywistość, nie okazując jednocześnie braku wrażliwości na niektóre grupy w społeczeństwie i kwestie dla nich ważne. Ale to nie jest tylko francuski problem, to się dzieje wszędzie w krajach rozwiniętych. Rośnie dystans pomiędzy klasami społecznymi, nie tylko materialny. Jeżeli politycy nie będą w stanie zredukować nierówności albo chociaż w jakiś sposób podnieść wynagrodzeń, nie będą w stanie w ogóle rządzić.

DLA KOGO PRZYSZŁOŚĆ?

12 i 19 czerwca Francuzi znowu pójść do urn, tym razem w wyborach parlamentarnych. Do wygrania jest 577 mandatów w Zgromadzeniu Narodowym. Sondaże w tej chwili jako faworyta wskazują prezydenckie ugrupowanie La République En Marche, ale jego przewaga nad Nouvelle Union Populaire Écologique et Sociale (NUPES), formacją Jeana-Luca Mélenchona, jest minimalna. Nie wiadomo, czy Macronowi uda się zdobyć większość.

Jak młodzi widzą przyszłość Francji, nie tylko w perspektywie nadchodzących wyborów?

Charlotte: – Jestem optymistką, może nawet za bardzo. Uważam, że powinniśmy ze sobą rozmawiać i że jesteśmy w stanie. Ale nie wiem, jak to osiągnąć. Myślę, że Macron wygra. Jestem natomiast rozczarowana Republikanami. Mój głos byłby dla nich banalnie łatwy do zdobycia, zresztą nie tylko mój. Spora część francuskiego społeczeństwa chciałaby zagłosować na dobrego repu-

blikańskiego kandydata. Problem w tym, że takiego teraz nie ma. Valérie Pécresse na początku wydawała się interesująca, ale potem zrobiła z siebie populistkę. Nie podobało mi się, że przeszła na prawo, żeby łowić wyborców Le Pen. Poza tym, z całym szacunkiem, ale kim ona jest? Co robiła przez ostatnie 10 lat, od rządu Sarkozy’ego do teraz? OK, kierowała departamentem Île-de-France, ale sorry, to jest po prostu jedna z tysiąca warstw francuskiej administracji. To, co ona tam robiła, ma znaczenie tylko dla ludzi w regionach.

Sonia: – Mélenchon dał nam zadanie: spiszcie się lepiej, wygrajcie wybory parlamentarne. Będzie ciężko, ale spróbujemy. Za pięć lat pewnie nie będzie startował, więc do tego czasu musimy znaleźć nowego lidera, a najlepiej kilkoro. Nawet jeśli nikt się nie znajdzie, będziemy walczyć. Nam chodzi o idee, a idee są większe od jednostki.

Adrien: – O przyszłości niewiele teraz wiadomo. Jeśli uda nam się wprowadzić naszych ludzi do parlamentu, ruch się na pewno rozwinie. W tej chwili nic nie jest pewne. Ale to nie tylko nasz problem. Jeśli Mélenchon odjedzie, lewicy też będzie ciężko cokolwiek ugrać.

Sonia: – Zobaczysz, Le Pen za pięć lat znowu się pojawi. I dalej będzie opowiadać to swoje gówno. To taka bardziej prawicowa forma ewolucji Macrona, jak pokemon. A że Francuzi się bali, że tym razem ona wygra? Nie żał mi ich, mają to, na co zasłużyli. Planeta nam się pali, a ona naprawdę chce pieprzyć o tym, kto we Francji ma prawo nościć hidżab.

Leo: – Mélenchon zapowiedział, że w kolejnych wyborach nie wystartuje. Le Pen też zachowuje się tak, jakby chciała dać do zrozumienia, że kolejny raz już bić się nie będzie. Dlatego te wybory

Macron denerwuje mnie nijakością. Jaki jest właściwie jego cel? Nikt do końca nie wie

parlamentarne będą znacznie ciekawsze od prezydenckich. Druga tura była tak przewidywalna, że zapomniałem o niej zaraz po wyjściu z lokalu wyborczego. Ale w parlamentarnych różnie może być. Moim zdaniem Macron nie ma szans na samodzielną większość, zwłaszcza jeśli lewica utrzyma trend wznoszący. Sukces Mélenchona tak naprawdę zrodził się w ostatnich tygodniach kampanii, wtedy przeszło do niego sporo młodych ludzi. Dla niego ważne jest zachowanie tej energii.

Co to wszystko znaczy? Francuski parlament zacznie przypominać niemiecki czy skandynawski, gdzie jest kilka znaczących partii, które muszą ze sobą współpracować, żeby móc zrobić cokolwiek. Mélenchon chce zdobyć przyczółek w Zgromadzeniu Narodowym, ale nie dla siebie – dla całej lewicy. Zemmour pewnie też by chciał, ale on jest dla większości Francuzów nie do przelknięcia, za bardzo ich dzieli i polaryzuje.

Charlotte: – Młodzi poszli do Mélenchona, Zemmoura czy Le Pen, bo byli idealistami. We Francji jest ogromne społeczne niezadowolenie, ono prędzej czy później musiało się jakoś materializować. No i tak się stało w pierwszej turze. Sporo osób ma teraz przekonanie, że idziemy ku katastrofie. Tylko czy naprawdę wcześniej było dużo lepiej? Ja tej filozofii upadku nie podzielam. Potrzebujemy zmian, ale ostre podziały w społeczeństwie im nie sprzyjają, ciężko wtedy rządzić. Macron? Poradzi sobie. Ale to nie to jest teraz najważniejsze. Kluczowe jest pytanie, co po nim. Czy naprawdę jest jakaś część Francuzów, którzy są rasistami? Czy Le Pen, pomimo swojego poparcia dla Putina, swoich okropnych wypowiedzi, będzie mogła dalej odgrywać ważną rolę w naszej polityce? Czy nikt jej nie pociągnie do odpowiedzialności? Nie znam odpowiedzi na te pytania. Wiem tylko, że skrajna prawica jest silna, to zjawisko nie zniknie. I to mnie przeraża. ●

*Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione na ich prośbę

WIERSE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Igor Pomierancew*

„Mam nad Górą Ochta kwaterunek,
W domu siostry dwie gospodarują,
Mój najpierwszy w życiu pocałunek
Razem z nimi w sercu zachowuję”.

Aleksandr Mieżyrow

*Z początku w chacie sióstr bliźniaczek
zakwaterowali się czolgiści.
Potem, prawie od razu,
zgwalcili siostry całą załogą.
Potem siostry uciekły,
noc spędziły w marcowym lesie,
potem przez dobę doszły do Kijowa,
prawie tydzień jechały pociągami do granicy,
potem polscy wopiści
przesłuchiwali je bitą godzinę,
ale nie wydusili z nich ani słowa,
potem dobry człowiek
dowiódł je do Pragi,
ale one nie wiedziały
że przyjechały do Pragi,
potem psycholog wyciągał je z szoku,
ale nie wyciągnął.
I tego wszystkiego nie powiedzą
w audycji „Korytarz humanitarny”,
dlatego że są głuchonieme.*

*Zapomniałam panu powiedzieć,
że dzwoniła siostra z Briańska,
po Krymie nie rozmawiałyśmy,
wtedy zgłupiała.
Więc zadzwoniła i powiedziała,
że Wasylek zaginął,
to ich syn,
żołnierz, k
ostatni raz kontaktował się
z nimi z Wołnowachy.
Więc ona teraz szłocha,
prosi, żeby go znaleźć,
ma nadzieję, że jest w niewoli.
Mówię jej:
– Nie ma już Wołnowachy.
A ona: znajdzie,
choćby spod ziemi.*

Oba wiersze przetoczył Zbigniew Dmitroca

***Igor Pomierancew** – rosyjski poeta, pisarz i dziennikarz. Urodził się w 1948 r. w Saratowie. Ukończył uniwersytet w Czerniowcach. Od 1978 r. na Zachodzie: w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Czechach. Już 40 lat pracuje w radiu: BBC, radiu Swoboda. Autor kilkunastu książek: prozy, esejów, liryki. Autor filmów dokumentalnych, m.in. o wojnie w Ukrainie.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Na przelocie czerwca i lipca nakładem lubelskich Warsztatów Kultury ukaże się po polsku, w przekładzie Zbigniewa Dmitrocy, jego tom **„KGB i inne wiersze”**.



CO MNIE URZEKŁO

Taka piękna katastrofa

Mijasiz Jerycho, mijasz Kumran i już wyobraźnia pędzi jak szalona.
Trzeba ściągnąć jej lejce, bo najlepsze dopiero przed nami

PAWEŁ SMOLEŃSKI

U

Pał wisiał w powietrzu, z rodzaju tych prawdziwych, powyżej 30 stopni, choć dochodziła 10 w nocy. Wokół była tylko pustynia, na doskonale czarne niebo wyległy miliardy gwiazd. Po szosie wzdłuż Morza Martwego wolniutko pelzył wąż samochodów. Wszyscy jechali pod wysoki na ponad 400 metrów, samotny płaskowyż lśniący żółto i złotobitym światłem mocnych reflektorów. Za chwilę na budowanej przez wiele dni ogromnej scenie padną pierwsze takty „Carmen” Bizeta wystawionej dla prawie 8 tysięcy widzów.

Nazajutrz izraelskie gazety oceniły operę na cztery z plusem. Lewicowy „Haarec” narzekał, że oto pod Masadą zrobiono imprezę dla elity finansowej i politycznej – bilety plus noc w hotelu kosztowały od 2 tysięcy szekli w górę – a przecież za pomysłem stała idea kulturalnego rozruszania regionu, gdzie nic, tylko kamienista pustynia, skały, kilka kibuców z palmami daktylowymi oraz tabuny turystów ubabranych błotem z Morza Martwego.

„Carmen” pod Masadą nie obdarowała mnie łaską miłości do opery. Obojętne są mi wdzięki pięknej Cyganki, za którą – jak chce libretto – wodzila oczami cała męska populacja Sewilli. Za to po raz kolejny poczułem siłę, energię i majestat Masady.

Już sama droga zapowiada przygodę. Jedzie się na wschód, ciągle w dół, by minąć punkt oznaczający poziom morza, więc przy odrobinie wyobraźni można mieć wrażenie, że nurkujemy w odmęty, choć wokół suchosć taka, jakiej nie osiągnie ziarenko pieprzu. W lewo będzie zjazd na Jerycho, podobno najstarsze miasto świata, lecz my jedziemy prosto, by skrócić w prawo, wzdłuż brzegu Morza Martwego. Niebawem miniemy kamienne resztki Kumran, gdzie dziesiątki lat temu odkryto słynne biblijne zwoje. Biblijna Księga Jozuego opowiada, że w tym miejscu było sławne Miasto Soli. Już wyobraźnia pędzi jak szalona, lecz trzeba ściągnąć jej lejce, bo przecież jedziemy dalej na południe, by skręcić w lewo, pod majestatyczny płaskowyż.



FOI: SHUTTERSTOCK

Na wschodzie lśni Morze Martwe, jak położona na słońcu cynkowa blacha, a kiedy znajdziemy się na szczycie, zobaczymy skały Pustyni Judzkiej, napierające na Masadę z zachodu. Ponad twierdzą szczybują drapieżne ptaki, czarne na tle jaśnusińskiego nieba i żółtawo-białych kamieni.

To zadziwiające, że budowla sprzed tysiącleci zachowała się w aż tak dobrym stanie. Na północy znajdziemy Pałac Heroda, króla, który nigdy nie mordował dzieci, choć z racji choroby nerek i zatruwających go toksyn był wyjątkowo okrutny. Dostał Masadę w spadku po kapłańskim rodzie Machabeuszy, którzy w zwycięskim powstaniu żydowskim wygnali z Judei okupantów podporządkowanych hellenistycznej dynastii Seleucydów. Obok pałacu zobaczymy łaźnię rzymską z zachowanymi mozaikami i freskami. Trafimy do mykwy, magazynów na żywność, zobaczymy wieże strażnicze i fragmenty masywnych fortyfikacji. Zjrzymy w kute w skałę cysterny zbierające deszczówkę. Podczas zimowych ulew, gdy Pustynia Judzka wygląda tak, jakby nawiedził ją biblijny potop, cysterny magazynowały dość wody, by starczyła na resztę roku. Płynęła po Masadzie labiryntem rynien i akweduktów.

Właśnie tam, gdzie oglądamy cysterny, dzisiejsi opiekunowie Masady postawili niewielką makietę starodawnej twierdzy. Na murku otaczającym makie-

tę stoi blaszany kubek. Obok kraniak, z którego ciurka woda. Można napelnić kubek i wylać wodę w miejscu, gdzie zaznaczono cysterny. A potem rozdziawić gębę w obliczu cudu mniemanego.

Widzimy zatem, jak woda – mamy w garści kubek, lecz wyobraźmy sobie ulewę – wypełniająca głębokie cysterny dociera wyżej i wyżej, wspina się, pozornie wbrew prawom fizyki. W całej twierdzy – unaocznia model – nie ma ani jednego zakątka, skąd do wody byłoby daleko. Leję więc jeden kubek, drugi i trzeci, aż ktoś stuknie mnie w ramię i powie, że też by chciał. Zachwyca mnie przemysłowość, inżynierską wiedzę i dbałością o komfort życia – kąpiel w basenie pod niebem pełnym gwiazd i księżycem odbijającym się w Morzu Martwym musiała być rozkoszą nad rozkoszami – mieszkańców Masady. Choć wiem, że tu była obronna twierdza, a nie park uciech.

Jest rok 73 naszej ery. Flawiusz Silwa, namiestnik Judei, najbardziej buntowniczej prowincji Imperium Rzymskiego, stoi pod płaskowyżem. Ma do dyspozycji 15 tysięcy ludzi, z czego 5 to doborowi legionieści. To ostatni punkt oporu, forteca tak zaopatrzona w jedzenie i wodę, by przetrwać wieloletnie oblężenie. Tysiącem Żydów dowodzi Eleazar ben Jair, przywódca sykariuszy, czyli najbardziej radykalnych z ra-

dykalnych, wódz charyzmatyczny, jego woli poddają się wszyscy.

Flawiusz Silwa buduje od zachodniej strony stromą ziemną rampę, po której legionieści mają dojść do samych murów. Nagle zmienia się wiatr, a przypadkowa iskra rozpala płomienie trawiące drewnianą część skalnych umocnień.

Eleazar wie, że przegrał. Namawia obrońców do zbiorowego samobójstwa, z którego ocalają – wedle zapisów współczesnego Masadzie Józefa Flawiusza, żydowskiego historyka i wodza powstańców w Galilei – dwie kobiety i pięcioro dzieci ukrytych w podziemiach. Tak oto Masada stała się symbolem walki do końca, heroicznego oporu. W Izraelu to jeden z najsilniejszych elementów narodowej pedagogiki.

Ale nieoczekiwana zmiana wiatru to nie mógł być przypadek. W „Wojnie żydowskiej” Józef Flawiusz objaśnia, że sykariusze sami na siebie sprowadzili tak straszną karę, grabiąc i mordując żydowskich współbraci, którzy uznali, że powstanie nie ma już sensu. Wszak historycy uważają ich za pierwszą organizację terrorystyczną – zniemacka mordowali przeciwników, podrażniając gardła lub dżgając ich w plecy krótkimi sztyletami – a słowo „sicario” oznaczające w wielu językach bezwzględniego zabójcę nie wzięło się znikąd.

Zadziwiająca jest szczerść Eleazara na kilka godzin przed

samobójstwem. Józef Flawiusz opowiada, jak zastanawiał się nad sensownością swego postępowania. „Wszak płomienie niesione z początku do nieprzyjaciół nie obróciły się same z siebie na mur, któryśmy zbudowali, lecz sprawił to gniew Boży za te wszystkie występki, jakich w swoim szaleństwie nie wahał się popełnić względem naszych współbraci”.

Na nic ta szczerść zdala się Eleazarowi. Wszak nie miał pojęcia, że potomni odczytają obronę Masady tylko w jej heroicznym wymiarze, a słowa Józefa Flawiusza tylko we fragmentach, zachwycając się jego poświęceniem, umiłowaniem wolności i stracenczą odwagą. A przecież to wielka przestroga, bezlitosna krytyka zadufania i pychy. ●

W cyklu „Co mnie urzekło?”

opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek...

Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

Ody miesiąc temu 93-letni Noam Chomsky za pośrednictwem internetu rozmawiał ze studentami w Sztokholmie, gospodarz spotkania napomknął: „Naszego gościa nie trzeba przedstawiać. Jeśli ktoś o nim nie słyszał, to znaczy, że przespisał ostatnie 50 lat”.

Temat: „Szwecja w NATO?”. Znak zapytania dlatego, że tym, którzy Chomsky’ego zaprosili – Wydziałowi Studiów nad Wschodnim Chrześcijaństwem – idea Szwecji i Finlandii w NATO zupełnie nie odpowiada. Czy nie byłoby poręczniej, gdyby zastrzeżenia zgłosił uznany powszechnie mędrzec? A że sędziwy mędrzec to najwybitniejszy lingwista świata, z miejsca sięga do arsenału erystyki, potocznie zwanej nad Wisłą sztuką nawijania makaronu na uszy.

Chomsky prosi, aby pomóc mu pogodzić ze sobą dwie tezy: pierwsza, że rosyjska armia to papierowy tygrys: skorumpowana, niedołężna i kiepsko dowodzona, a druga, że ta sama armia stanowi na tyle poważne zagrożenie dla nowocześnie uzbrojonych Szwecji i Finlandii, że muszą się one schronić pod parasolem NATO.

Oczywiście doskonale wie, że to pozorny paradoks, bo 40 minut później w innym kontekście przyznaje, że Rosja jest militarną potęgą. Wie również, że jest nieprzewidywalna. Lecz w czasie godzinnego monologu ani razu nie pada słowo o barbarzyństwie Rosji, natomiast wielokrotnie słyszymy, że Rosja została sprowokowana przez Zachód, prowokacje trwają od 2014 roku, a społeczeństwa zachodnie lykają amerykańsko-brytyjską propagandę, bo brakuje ludzi o odwadze cywilnej podobnej do tej, jaką w przededniu I wojny światowej wykazali w Niemczech Róża Luksemburg i Karl Liebknecht.

Gwoli wyjaśnienia: Chomsky uważa Putina za bandziora, w 13. roku życia wyleczył się z marksizmu i od chwili, gdy przeczytał „Homage to Catalonia” Orwella, stał się w duży anarchista. Po drodze odkrył wprawdzie grupkę, która nazwała się The Marlenites (od Marksa i Lenina), ale bardziej go to intrygowało, niż przekonywało. Do przekonania trafiła mu natomiast – tak twierdzi – „krytyka Związku Radzieckiego i zachodniego imperializmu”.

Film „Captain Fantastic” (rating 83 proc. na Rotten Tomatoes) opowiada o hippisowskiej amerykańskiej rodzinie żyjącej z dala od cywilizacji – bez telewizji, elektryczności i bieżącej wody – w której rodzice szóstkę dzieci uczą krytycznego myślenia, a jedyne święto, jakie obchodzą, to 7 grudnia – dzień urodzin Noama Chomsky’ego. „Happy Noam Chomsky Day!” – woła radośnie ojciec, rozdając dzieciom prezenty. A te śpiewają „Wujku Noamie, to jest dzień twych urodzin”. I biorą się za tort.

Przy okazji kolejnych urodzin Chomsky’ego w internecie pojawiają się laurki w tonie: Profesor Chomsky to najprawdopodobniej największa intelektualna siła, jaką ujrzał świat w XX i XXI wieku. Jego oddanie prawdy i aktywizmowi stało się inspiracją dla tysięcy ludzi. W historii ludzkości niewielu odegrało z podobną mu grą rolę publicznego intelektualisty. Cenzurowanie Chomsky’ego to jedno z najcięższych przestępstw współczesnych mediów.

Ojciec i matka Chomsky’ego pochodzili z rodzin ortodoksyjnych Żydów. Ojciec urodził się w 1896 r. w Ukrainie i emigrował do Baltimore, matka, urodzona w 1903 r. w okolicach Mińska, emigrowała do Brooklynu. Avram Noam Chomsky urodził się w 1928 r. w Filadelfii. Matka marzyła, że będzie nauczycielem hebrajskiego. Miał dziesięć lat, gdy opublikował pierwszy tekst – o upadku Barcelony w czasie wojny domowej w Hiszpanii. Studiował matematykę, logikę i filozofię, a tematem pracy magisterskiej była analiza współczesnego hebrajskiego. Przed trzdziestką dokonał rewolucji w językoznawstwie.

117-stronicowa praca „Syntactic Structures” uchodzi za jedno z najważniejszych

LUDZIE,



ILLUSTACJA PATRYK SPOCZYŃSKI

JESTEM WAMI ROZCZAROWANY

Jak ktoś tak przenikliwy i bezkompromisowo uczciwy jak Noam Chomsky może powtarzać kłamstwa Putina

Andrzej Lubowski

studiów XX wieku. Chomsky zanego-
wał w niej podstawową tezę behawiory-
zmu, w myśl której pojawiaamy się na świe-
cie z umysłem niczym nietknięta plasteli-
na – kształtuje nas środowisko i doświadcze-
nia, stymulacje, nagrody i kary. Wszystkiego
się uczymy, w tym języka. Chomsky uznał za
niemożliwe, aby dziecko tak szybko zdoła-
ło opanować narzędzie tak skomplikowane
jak język. To, że w tak wczesnym wieku mó-
wimy, wynika jego zdaniem z tego, że rodzi-
my się genetycznie zaprogramowani do po-
sługiwania się językiem. A zatem język, a ra-
czej zdolność jego przyswajania, jest czymś
wrodzonym, a nie wyuczonym. Fundamen-
talna zasada języka – uniwersalna gramatyka
– jest częścią naszych genów, zdetermi-
nowanym genetycznie produktem procesu
ewolucji, podobnie jak organiczna struktura
naszego ciała. A że radzimy sobie z nim co-
raz lepiej, że staje się coraz bogatszy, to dla-
tego, że „rośnie” niczym drzewo.

Gdy stuknęła mu czterdziestka, znalazł
się w pierwszej dziesiątce najczęściej cy-
towanych postaci w historii – w towarzy-
stwie Marksa, Szekspira, Arystotelesa, Plato-
na i Freuda, przed Heglem i Ciceronem. Dla
jednych geniusz, sumienie ludzkości: sym-
bol humanizmu i cywilnej odwagi, dla in-
nych najgroźniejszy przeciwnik. Jedyny chy-
ba żyjący człowiek, który znalazł się wysoko
na liście wrogów tak różnych szemranych
postaci jak Richard Nixon i Ted Kaczynski,
czyli Unabomber.

Twierdzenie, że trzeba było przespać
ostatnie półwiecze, aby nie wiedzieć, kto
zacz Chomsky, to oczywiście przesada
i ukłon w stronę sędziwego mędrca, któ-
ry napisał ponad 150 książek: o lingwisty-
ce, mediach, wojnie, korporacjach, polityce
zagranicznej. Prawdą jest natomiast, że nie
stroni od publiczności, nie znudził się świa-
tu i wciąż nie narzeka na brak słuchaczy.

Idee Chomsky’ego, nieustannie ewoluują-
ce, stały się hybrydą lingwistyki, filozofii
i biologii. Nie doczekały się wprawdzie
uniwersalnej akceptacji, ale stały się punk-
tem odniesienia. Nawet ci, którzy się z nim
nie zgadzają, nie są w stanie ich ignorować.
Wywarły wielki wpływ na badania nad
wiedzą, mózgiem i procesami poznawczy-
mi, znalazły zastosowanie w informatyce
i pracach nad sztuczną inteligencją. Wy-
korzystano jego hipotezę, że język podlega
zasadom, które można wyrazić w sposób
matematyczny. Rewolucja w lingwistyce,
jaką zapoczątkował pod koniec lat 50., po-
budziła wyobraźnię w podobny sposób jak
rewolucja Einsteina w fizyce. Na YouTube
można obejrzeć fragment wykładu Leonar-
da Bernsteina na Harvardzie w 1973 r., gdy
odwołuje się do teorii Chomsky’ego przy
analizie muzyki. Krytycy literaccy sięgali do
niej, aby analizować poezję, a psychologo-
wie, by lepiej zrozumieć, jak dziecko uczy się
obcych języków.

Ale powszechnie rozpoznawaną posta-
cią Chomsky stał się nie z powodu swych ba-
dań, ale działalności publicznej. W 1967 r.
esej „Odpowiedzialność intelektualistów”
uczynił go jednym z najważniejszych prze-
ciwników wojny w Wietnamie. Dwa lata
później książkę polityczną „American Po-
wer and the New Mandarins” uznano za naj-
bardziej przekonujące przesłanie przeciwko
owej wojnie. „Nowymi mandarynami” nazy-
wał liberalną intelektualistów, którzy je-
go zdaniem dostarczyli niezbędnego ideolo-
gicznego alibi dla okrucieństw, jakie Amery-
kanie zgotowali Wietnamczykom.

Błyskotliwy lingwista i filozof stał się
wszechobecnym i żarliwym komentatorem
współczesności. Nieprzejednany krytyk nie
pozostawia suchej nitki nie tylko na instytu-
cjach Ameryki, ale też na intelektualnym es-
tablishmencie. Dostaje się nie tylko wielkiej
finansjerze, kompleksowi militarno-przemys-
łowemu, przed którym przestrzegał Amerykę
prezydent Eisenhower, ośrodkom władzy,
grupom interesów, lobby wszelkiej maści, ale
też mediom, instytucjom nauki i kultury. Je-
go zdaniem w USA liczy się tylko jedno – po-
trzeby amerykańskiego kapitalizmu, a libe-
ralni obrońcy potrzeby te usprawiedliwiają.

To proste widzenie świata zjednało
i wciąż zjednuje mu masy entuzjastów my-
ślących podobnie. Stał się symbolem krytyki
współczesnego kapitalizmu z pozycji huma-
nizmu i demokracji, a nie marksizmu. Ma-
szerował w pochodach, uczestniczył w de-
monstracjach, doczekał się aresztowań. Naj-
częściej cytowana maksyma, jego życiowe
credo brzmi: „Jeżeli założysz, że nie ma na-
dziei, gwarantujesz sobie, że ta nadzieja ni-
gdy się nie pojawi. Jeżeli założysz, że istnieje
instynkt wolności i możliwość zmieniania
rzeczy, wtedy pojawia się prawdopodobień-
stwo, że przyczynisz się, aby zmienić świat
na lepsze”.

O ile zaangażowanie przeciw wojnie
w Wietnamie kosztowało go utratę
części przyjaciół, to znacznie większe
oburzenie wywołała ostra krytyka Izraela,
zwłaszcza po wojnie sześciodniowej 1967
roku. – Ludzie, którzy nie mieli nic wspólne-
go z syjonizmem przez całe życie, nagle stali
się fanatycznymi syjonistami – mówił. – Moi
krewni, kiedyś w partii komunistycznej,
zmienili się w wojujących reakcjonistów.

Okupacja terytoriów arabskich stała się
jego obsesją do tego stopnia, że w opinii nie-
których stał się antysemitą. A on po prostu
był konsekwentny – w młodości rozważał
życie w kibucu, lecz należał do grupy mło-
dych syjonistów przeciwnych stworzeniu

*Jeżeli założysz, że nie ma nadziei, gwarantujesz sobie,
że ta nadzieja nigdy się nie pojawi. Jeżeli założysz, że istnieje
instynkt wolności i możliwość zmieniania rzeczy,
wtedy pojawia się prawdopodobieństwo, że przyczynisz się,
aby zmienić świat na lepsze*

NOAM CHOMSKY

państwa żydowskiego w Palestynie, optują-
cych za socjalistycznym państwem żydow-
sko-palestyńskim. Dlatego polityka wysie-
dlania Arabów i budowy osiedli żydowskich
budziła i nadal budzi jego głośny sprzeciw.

Z czasem – może w miarę rosnących
rozczarowań – zmieniał się ton pi-
sarstwa Chomsky’ego. O ile w pierw-
szych książkach ostrej krytyce towarzyszą
nuty nadziei na lepszą przyszłość i powraca
myśl o szlachetnym obowiązku przeciwsta-
wiania się kłamstwu i poszukiwania praw-
dy, o tyle później górę zaczęły brać gorycz,
sarkazm i pesymizm. Jego książki stają
się katalogiem zbrodni Ameryki. Wydaje
się głęboko przekonany, że wszystko, co
w świecie zle, jest w końcowym rozrachun-
ku winą Ameryki, a ona sama jest dobrze
zorganizowaną konspiracją elit. Swe tezy
ilustruje bogato przykładami porażek USA;
często nie sposób doszukać się w nich
błędów faktograficznych, lecz nie zоста-
wiają miejsca ani na dobre intencje, ani na
częściowe sukcesy.

Poza Ameryką jest traktowany niczym
gwiazda estrady najwyższego lotu: Sting,
Bono czy Paul McCartney – jego wystąpienia
przyciągają tysiące, niekiedy dziesiątki tysię-
cy ludzi. W Stanach jego gwiazda odrobineą
przygasła z prostego powodu – popyt na an-
tyamerykanizm jest skromniejszy.

Gdy przyrównał tragedię 11 września
2001 r. do zbombardowania za czasów Clin-
tona fabryki chemicznej w Sudanie, wielu
uznało to nie tylko za absurd, ale też za coś
odrażającego. Jak można stawiać znak rów-
ności między atakiem terrorystycznym, któ-
rego celem było zabicie jak największej licz-
by ludzi, do działania, którego intencją by-
ła minimalizacja strat cywilnych? Lecz dla
Chomsky’ego nie liczył się motyw, ale osta-
teczny skutek, którego można było się spo-
dziewać. Jeśli bowiem istniała możliwość, że
zbombardowana fabryka produkowała me-
dykamenty, a nie broń, to potencjalnie efek-
tem mogła być śmierć wielu Sudańczyków
pozbawionych dostępu do tych leków.

Twierdzi, że umysł człowieka w momen-
cie narodzin zawiera strukturę myśli – tak-
że moralnych – przez które postrzegamy
świat. I ten sam filtr logiczny stosuje do poli-
tyki. Jego zdaniem rozważanie indywidual-
nych motywacji nie ma sensu, ponieważ po-
litykę dyktują ekonomiczne interesy elitar-
nych instytucji. Elity działają egoistycznie,
lecz ten egoizm wynika z instytucjonalnej
logiki, a nie z motywacji osobistej. Co z te-
go, powiedział kiedyś, że Robert McNamara,
szef Pentagonu, mógł być prywatnie fajnym
gościem, skoro reprezentował Departament
Obroony? Musiał więc działać tak, jak działał.

Na paradoks zakrawa to, że anarchi-
sta i libertarianin, jakim jest Chomsky, czy-
li ktoś przywiązany do idei, że człowiek jest
wolny i decyduje o swym losie, myśli o poli-
tyce w kategoriach instytucjonalnych. Po-
nieważ nie jest marksistą, więc odrzuca ja-
ko nieistotne dla istoty człowieka kulturę,
historię i doświadczenie. Jest logikiem bar-
dziej niż antropologiem czy pisarzem. Nie
ma miejsca na niezgodę czy różnice. Jest tyl-
ko prawda i błąd albo kłamstwo.

Gdy krytykują go, że skupia się na
przewinieniach Ameryki, dając taryfę
ulgową złu płynącemu skądinąd,
przypomina, że jest anarchista, więc niena-
widzi wszystkich rządów bez wyjątku. I że
mimo wszystkich jej ułomności żaden kraj

nie może się równać z Ameryką, gdy idzie
o wolność. A swą krytykę koncentruje na
Ameryce, ponieważ jako jej obywatel czuje
się współodpowiedzialny za jej haniebne
czyny i nie chce abdykować z możliwości
wpływania na jej zachowania.

Nie jest z natury pacyfistą, ale nie poparł
żadnej amerykańskiej interwencji. Zapyta-
ny o lepszy sposób na powstrzymanie masa-
kry w Bośni, Kosowie czy Rwandzie nie miał
niczego do zaoferowania. W latach 60. i 70.
był bohaterem dla tych, którzy protestowali
przeciwko wojnie w Wietnamie, jego krytyka
amerykańskiego zaangażowania w Ame-
ryce Łacińskiej w latach 80. nie różniła się
od tego, co mówiła większość amerykań-
skich liberałów, lecz w ostatnim ćwierćwie-
czu amerykańska lewica postrzega militar-
ne akcje swego kraju w mniej czarno-bia-
łych barwach. Chomsky stał się dla wielu
zbyt dogmatyczny.

Słynny publicysta Christopher Hitchens,
piewca ateizmu i surowy krytyk poczy-
nań Ameryki w Wietnamie, w Chile i Timo-
rze Wschodnim, który domagał się posta-
wienia Kissingera przed Trybunałem w Ha-
dze, przez lata żywił ogromny szacunek
do Chomsky’ego. Ale gdy Chomsky nazwał
„cichym ludobójstwem” ingerencję USA
w Afganistanie – spowodowaną, przypo-
mnijmy, tym, że talibowie ukrywali liderów
Al-Kaidy, skomentował: „To przebrzydki obłą-
du”. Dodał, że Chomsky ma swoje fakty i tyl-
ko one się liczą. Jeśli nie zgadzają się z fakta-
mi innych, tracą definicję faktów.

Chomsky twierdzi, że protestuje prze-
ciwko niesprawiedliwości z poczucia
obowiązku, a nie dlatego, że sprawia
mu to intelektualną przyjemność. Po wy-
borach 2016 roku powiedział, że Trump
i Republikanie, odpuszczając hamulec
zużycia kopalin, „galopują tak szybko, jak to
możliwe, do zniszczenia zorganizowanego
ludzkiego życia”. Przed ostatnimi wyborami
nazwał Trumpa „najgorszym przestępcą
w historii”. Na uwagę dziennikarza „New
Yorkera”, że przecież świat doświadczył Hi-

tlera, Stalina i Mao, odpowiedział, że żaden
z tych potworów nie kierował świadomie
swych wysiłków na zniszczenie życia na
Ziemi. Wspierał Bidena – dziś go krytykuje
za to, że Biden uważa Chiny za zagrożenie.
Jakie zagrożenie – pyta – skoro jedna amery-
kańska łódź podwodna jest w stanie znisz-
czyć 200 dużych miast, a Chiny mają cztery
stare głośne łodzie podwodne?

W majowym podcaście „Newsweeka”
Chomsky twierdził, że prośby Ukrainy
o więcej ciężkiego uzbrojenia to wymysł
amerykańskiej i brytyjskiej propagandy. Na
YouTube można obejrzeć kilkanaście roz-
mów z nim o wojnie w Ukrainie; konse-
kwentnie powtarza, że wojnie jest winien
Zachód, bo złamał obietnice dane Gorba-
czowowi, że w zamian za zgodę Moskwy na
zjednoczenie Niemiec NATO ani na centy-
metr nie zbliży się do Rosji.

Tyle tylko, że nikt nikomu takiej obietni-
cy nie złożył. Wiele lat po zjednoczeniu USA
i Rosja udostępniły zapis rozmów sekreta-
rza stanu Jamesa Bakera z Gorbaczowem
w 1990 roku. Baker przedstawił argument,
że lepiej mieć zjednoczone Niemcy w NATO
niż poza NATO. Gorbaczow przyjął to i ani
nie oczekiwał, ani nie dostał żadnych za-
pewnień dotyczących możliwego członko-
stwa państw Układu Warszawskiego w NA-
TO. Potwierdził to Eduard Szewardnadze,
ówczesny minister spraw zagranicznych
ZSRR, a później prezydent Gruzji. „Sprawa
rozszerzenia NATO nigdy nie pojawiła się
w rozmowach w 1989 i 1990 roku” – oznaj-
mił w październiku 2014 r., przeszło pół ro-
ku po aneksji Krymu, w rosyjskim dzien-
niku „Kommiersant”.

Zarzut oszustwa jest potrzebny Putinowi,
aby pokazać narodowi, jak zdradliwy jest
Zachód, i dać amunicję swoim sojusznikom
na zewnątrz. Ale dlaczego kłamstwa Puti-
na łyka i powtarza tak przenikliwy umysł jak
Noam Chomsky?

Jego wypowiedzi niejednokrotnie szo-
kują naskórkowością analiz i białą-czar-
nym widzeniem świata. Nielatwo to pojąć,
nie kwestionując uczciwości i moralnych
standardów Chomsky’ego – a ku temu nie
ma powodów. Jego przypadek nie jest jed-
nak zjawiskiem nieznanym. Historyk Paul
Robinson już ponad 40 lat temu odnoto-
wał, że wielcy myśliciele, tacy jak Arysto-
teles, Erazm z Rotterdamu, Wolter czy He-
gel, nie mieli większych oporów z wykracza-
niem poza swoje kompetencje, wypowiada-
jąc się ex cathedra na wiele tematów, o któ-
rych mieli pojęcie raczej mgliste. Chomsky
znalazł się w doborowym towarzystwie.

Genialny lingwista potrafi znakomicie
opowiadać o tym, co się dzieje. Gorzej się
sprawy mają, gdy zapuszcza się w zdradli-
we tereny analiz historycznych. Nie znajduje
w nich miejsca na rozróżnienie intencji od
skutków. Intencji, zwłaszcza działań odle-
głych w czasie, jasno nie widać; można je je-
dynie rekonstruować. A rekonstrukcja mo-
tywów nigdy nie zyskuje statusu prawdy. To
też nic nowego – powiada Robinson, przy-
wołując kolegę po fachu z czasów Cesarstwa
Rzymskiego, Tacyta, dla którego wszelkie
nieszcześcia Rzymu w pierwszym wieku na-
szej ery były wynikiem okropnych osobowo-
ści i zdradliwych postępów cesarzy.

Chomsky to humanistyczny wizjoner.
Jego teorie lingwistyki pokazują do-
skonalskość człowieka. Lecz gdy kieruje
wzrok w stronę ludzkich działań i dokonań,
wydaje się – i trudno mu się dziwić – głęboko
rozczarowany. Tak jakby chciał wykrzy-
ścić pełną piersią: dlaczego tak cudowny
stwór, jakim jest *Homo sapiens*, czyni tyle
zła i niesprawiedliwości, dlaczego jest takim
egoistą, dlaczego nie stać go na logiczną
analizę skutków własnych działań, dlaczego
jest tak głupi?

Gdy rozmawia ze studentami prawa na
Harvardzie, przypomina, że są pierwszym
pokoleniem, które stoi w obliczu katastro-
fy ekologicznej grożącej unicestwieniem ży-
cia na Ziemi. I natychmiast dodaje: „I ostat-
nim. Jeśli zabraknie wam siły i energii, aby
powstrzymać katastrofę, będziecie ostatnim
pokoleniem człowieka”. ●

LIBERAL, CZYLI RADYKAŁ REALNEGO



W demokracji nie można zabronić poglądów, nawet niemądrych. Alternatywą jest zamknięcie ludziom ust.

Z **ADAMEM GOPNIKIEM**, AMERYKAŃSKIM PISARZEM, AUTOREM KSIĄŻKI „MANIFEST NOSOROŻCA”, ROZMAWIA **KATARZYNA WĘŻYK**

Dlaczego liberalizm potrzebuje obrony? Przecież wygrał, zgodnie mówią i prawica, i lewica.

– Zawsze potrzebujemy przypomina-
nia o sprawach fundamentalnych, o rze-
czach, które w liberalnych demokracjach
w znacznej mierze uznajemy za dane, jak
wolność prasy, uniwersytety, na których
może toczyć się wolna debata, jak prawa
obywatelskie. Te instytucje i praktyki są
w historii ludzkości unikatowe. Napisałem
„Manifest nosorożca”, żeby ludziom o tym
przypomnieć, ale też dlatego, że liberalizm
jest dzisiaj atakowany z obu stron: przez
prawicowy autorytaryzm i lewicowy pu-
ryzm.

**A jaki konkretnie liberalizm? Bo ten ter-
min trochę co innego znaczy w USA, a co
innego w Europie, zwłaszcza wschod-
niej.**

– To rodzaj temperamentu, a także seria in-
stytucjonalnych i osobistych praktyk, któ-
re opierają się na takich zasadach jak naj-
większa możliwa tolerancja dla odmienno-
ści czy kompromis pociągnięty do granic
tego, co możemy zaakceptować. W książce
specjalnie umieściłem absurdalnie skom-
plikowaną definicję: „Liberalizm to wciąż
ewoluująca polityczna praktyka, która
przekonuje do konieczności i możliwości
nieidealnej egalitarnej reformy społecz-
nej i wciąż rosnącej, o ile nie absolutnej, to-
lerancji wobec różnic międzyludzkich, któ-
re osiąga się poprzez rozsądne i zasadni-
cze niezakłócone rozmowy, demonstracje
i debaty”.

Fakt, nie mieści się na transparencie.

– Bo to nie „Uczyńmy Amerykę – albo Pol-
skę – znowu wielką” czy „Cała władza dla
robotniczego kolektywu”. Nie da się zrobić
z niej sloganu – właśnie dlatego, że to zło-
żona praktyka.

Zacząłem książkę od Johna Stuarta Mil-
la i Harriet Taylor, wzruszającej pary istot
ludzkich starających się zrozumieć łączącą
ich miłość w sytuacji, gdy nie mogli tak po-
 prostu uciec razem, nie krzywdząc innych.
I doszli do kompromisu. [Taylor nie opu-
ściła pierwszego męża, czas dzieliła mię-
dzy niego a Johna Stuarta].

ILUSTRACJA PATRYK SROČYŃSKI

Mill
i Tay-
lor spo-
tykali
się w ta-
jemnicy,
w londyń-
skim zoo przy
klatce nosorożca.

I z ich rozmów wyłonił się
projekt wówczas ogromnie radykalny: wy-
zwolenie kobiet. Ich wspólne dzieło „Pod-
daństwo kobiet” to jeden z najbardziej re-
wolucyjnych tekstów w historii, bardziej
niż „Kapitał” Marksa, bo rewolucje go-
spodarcze mieliśmy w historii kilkakrot-
nie, a połowa ludzkości nigdy wcześniej
nie miała politycznych czy ekonomicznych
praw.

**Z polskiej perspektywy, gdzie liberalizm
kojarzy się z prywatyzacją, deregulacją
i niewidzialną ręką rynku, niewiele
pisze pan w „Manifestie nosorożca”
o cięciu kosztów, niskich podatkach,
inflacji i w ogóle gospodarce.**

– Piszę o Adamie Smicie, o tym, że jego
fundamentalne dla kapitalistycznej gospo-
darki dzieło „Badania nad naturą i przy-
czynami bogactw narodów” jest myl-
nie uważane za wolnorynkowy manifest.
Tymczasem należy je czytać w kontek-
ście wcześniejszych książek Smitha i je-
go współpracy z filozofem Davidem Hu-
me’em, czyli przez pryzmat idei społecznej
sympatii. Smith kładzie nacisk na to, że je-
śli nie ma warunków, w których możesz
zaufać ludziom niepochożącym z twoje-
go klanu czy nienależącym do twojej reli-

gii, jeśli
nie ma
instytu-
cji bu-
dujących
kapitał
społeczny,
nie ma też wol-
nego rynku.

Smith nie
wierzył, że rynek czyni mężczyzn
i kobiety wolnymi – uważał, że to wolni lu-
dzie będą grawitować w stronę rynku. To
zupełnie inna koncepcja kapitalizmu niż
ta propagowana przez neoliberalów. I co-
raz bardziej popularna – Amartya Sen na-
pisał całą książkę o tym, że rozwój ekono-
miczny zależy od posiadania silnych insty-
tucji: edukacji, wolności słowa, sieci spo-
łecznych. Jeśli ich brakuje, wzrost gospo-
darczy będzie nikły albo bardzo nierówno
rozłożony.

**Idei, od której Ayn Rand przewróciłaby
się w grobie.**

– Tak, ale Ayn Rand nie rozumiała ani go-
spodarki, ani Adama Smitha. I dlatego
Smith jest wielkim filozofem, a Rand, no
cóż, oszołomką.

**A jak to się stało, że ta zdroworoządko-
wa, wspierająca wspólnoty, eliminująca
okrucieństwo, uznająca własną omył-
ność i budująca oczyszczalnie ścieków
filozofia czy też praktyka stała się tak
nie lubiana?**

– Nie wydaje mi się, żeby liberalizm był
brzydkim słowem dla większości mies-
kańców liberalnych społeczeństw. A gdy
Rosja najechała Ukrainę, wielu ludzi jesz-

cze bardziej go doceniło. Wystarczy-
ło porównać – bardzo niedoskonałą
i pełną wad – ukraińską liberalną de-
mokrację z rosyjską autokracją.

Więc nie jestem pewien, czy libe-
ralizm jest dziś tak nie lubiany czy za-
grożony, ale jeśli byłby, to też wcale nie
po raz pierwszy. Był i będzie atakowa-
ny przez prawicowy autorytarny nacjo-
nalizm i lewicowy totalitarny puryzm.
Są to ideologie oferujące komfort prostoty
i moralnych absolutów, antidotum na
lęki generowane przez nieustannie zmie-
niające się liberalne społeczeństwa. Zwy-
cięstwo Donalda Trumpa było przecież re-
akcją na ten właśnie, wywołany konfron-
tacją ze zmianami, niepokój. Zupełnie nie
znam się na polskiej polityce, ale wydaje
mi się, że polscy katolicy też pewnie czu-
ją, że ich wiara jest zagrożona przez ko-
smopolityzm, co z kolei popycha ich w au-
torytarny kierunek. Tak będzie się dzia-
ło zawsze. W każdym pokoleniu musimy
od nowa przekonywać, że zyski z liberalne-
go społeczeństwa – dostatek, wewnętrzny
pokój i pluralizm – są na tyle duże, że mo-
żemy tolerować niepokój, który też jest je-
go udziałem.

**A czy sam liberalizm jakoś przyczynił
się do tego kryzysu wiary w niego? Pola-
cy na przykład dali władzę partii prawi-
cowo-autorytarnej bardziej dlatego, że
obiecała im szersze państwo socjalne
niż ze względu na kosmopolityzm na-
szych liberalów, wtedy, dodajmy, będą-
cych blisko z Kościołem i dość daleko od
praw kobiet czy osób LGBT.**

– Tak, ale neoliberalizm – wolnorynkowa
gospodarka Margaret Thatcher i Ronal-
da Reagana, która opanowała świat w la-
tach 80. i 90. – to nie jest liberalizm. Libe-
ralowie krytykują leseferizm w gospodarce.
Gospodarka na neoliberalnym silni-
ku ruszy z kopyta, ale zawsze się przegrze-
je i eksploduje – dlatego potrzebujemy rzą-
dowych regulacji i hamulców. To jedno
z pól, na których liberalizm i socjaldemo-
kracja krzyżują się i wzmacniają nawza-
jem. Utożsamianie liberalnej tradycji wy-
łącznie z rynkiem na sterydach to histo-
ryczny błąd.

Lewica krytykuje liberalizm za niedo-
stateczną walkę z nierównościami. Uważa
też, że liberalne społeczeństwa zmierzają
prosto ku katastrofie, która zakończy życie
na planecie. I nie jest to krytyka bezpod-
stawna. Tyle że, o czym staram się przeko-
nać, liberalne demokracje, z wszystkimi
swoimi wadami, rozwiązują egzystencjal-
ne problemy znacznie lepiej niż jakiekol-
wiek znane nam alternatywy. Weźmy irań-
ską teokrację, Związek Radziecki i Kana-
dę – w którym z tych państw chciałaby pa-
ni żyć? Większość ludzi zapewne wybrała-
by Kanadę.



Jasne, ale czy liberalny inkrementalizm, metoda małych kroków, wystarczy, gdy planeta już skwierczy?

– OK, ale jakie są alternatywy? Zielona partyzantka przejmie władzę w USA i Kanadzie i powie mieszkańcom Teksasu i Alaberty, którzy pracują w przemyśle wydobywczym, że koniec ze spalaniem paliw kopalnych i nie obchodzi nas, co wy o tym myślicie? A potem od razu przejdzie do tłamszenia oporu, bo taki zawsze był mechanizm lewicowych rewolucji?

W liberalnej demokracji nie można ludziom zabronić posiadania poglądów, jakkolwiek byłyby one niemądre. Alternatywą jest zamknięcie ludziom ust. Jestem dość stary, żeby pamiętać czasy, w których też stawaliśmy przed totalnie jakoby nierozwiązywalnymi kryzysami. Kiedy dorastałem, równie poważny miał być kryzys populacyjny: na Ziemi miało żyć zbyt wielu ludzi, by można było ich wyżywić. To zagrożenie udało nam się zażegnać za pomocą innowacji w rolnictwie i zmniejszania się liczby urodzeń w krajach Trzeciego Świata. Czy te rozwiązania były idealne? Nie, one też wygenerowały własne problemy. To właśnie logika liberalnych reform: za każdym razem, gdy rozwiązujesz problem, tworzysz nowy, a potem szukasz rozwiązań. To się nigdy nie zmieni.

Elizabeth Kolbert w „Pod białym niebem” nie jest taką optymistką: „racjonalna” interwencja w środowisko, pisze, zazwyczaj generuje problem jeszcze trudniejszy do rozwiązania, do tego piekielnie drogi.

– Możliwe, ale co innego mielibyśmy zrobić? Zielona rewolucja czy ekologiczny zamach stanu też nie rozwiążą naszych problemów bez generowania nowych, niewykluczone, że jeszcze gorszych. Jeśli zaakceptujesz pluralizm, w pakiecie jest inkrementalizm.

Są dwie kwestie, o których piszę obsesyjnie od 20 lat: broń palna i więziennictwo. Gdybym mógł nagiąć kraj do mojej woli, kontrolę posiadania broni palnej na wzór australijski i zamknięcie połowy więzień mielibyśmy jutro. Ale rozumiem, że moje przekonania nie są podzielane przez wszystkich ani nawet przez większość moich rodaków. Mogę ich z pasją bronić i przekonywać możliwie najwięcej ludzi, ale nie mam szans na zostanie dyktatorem. I jeśli zaakceptuję, że moja władza jest ograniczona, muszę też zaakceptować, że najbardziej prawdopodobne rozwiązania będą stopniowe.

Dużo łatwiej przekonywać do stopniowej zmiany, kiedy nie jest się obiektem dyskryminacji.

– Bayard Rustin, aktywista, wyłudował w więzieniu 25 razy – 24 za bycie czarnym i raz za bycie gejem. Za to ostatnie wyrzucili go nawet na pewien czas z ruchu praw obywatelskich, mimo że był jego intelektualnym architektem i niestrudzonym organizatorem. Rustin mawiał, że najważniejsze są demokratyczne procedury, niestosowanie przemocy i konstytucyjny porządek. I nie był w uprzywilejowanej pozycji. Rozumiał, że Afroamerykanie stanowią tylko dziesięć procent populacji kraju, więc by być politycznie skutecznym, muszą współpracować z innymi grupami, z związkowcami, z feministkami, z Żydami. Część jego liberalnych zasad miała korzenie etyczne, jak nacisk na brak przemocy, ale większość wynikała po prostu z pragmatyzmu: prawdziwą zmianę społeczną można osiągnąć wyłącznie w ramach szerokiej i pluralistycznej koalicji. Liberal jest radykałem realnego: ma radykalne przekonania odnośnie do potrzeby reformy społecznej, ale umieszcza je w realistycznej ocenie świata, w którym żyje.

Liberalizm bywa też oskarżany o protekcjonalność. O patrzeć z góry na młodych radykałów i mówienie im, że dziś może i wierzą w jednorożce, ale muszą dorosnąć.

– To jest różnica między 20-latkami a 65-latkami: doświadczenie życiowe. To klasyczny proces, w młodości jesteśmy bardziej radykalni, ale nie dlatego, że potem tracimy nasze zasady, tylko zyskujemy wiedzę o świecie. Moi francuscy przyjaciele, dziś liberalni humaniści, wszyscy zaczęli w 1968 roku jako maoiści. A potem zrozumieli, że to, co uważali za maoizm, było tak naprawdę utopijną wizją. A jak nas uczy historia, utopijne schematy, choć są kuszące, zawsze kończą się bardzo, bardzo źle, natomiast plany pragmatycznych pluralistów zazwyczaj wychodzą lepiej.

Ale czy ci pragmatycy i ich liberalne instytucje aby nie są popychani do zmian przez radykałów właśnie? Rewolucje jednak dzieją się na ulicach, nie w kawiarniach.

– To prawda. Prorok i polityk są w ciągłym dialogu. Jego przykładem jest relacja Fredericka Douglassa, byłego niewolnika i abolicjonisty, jednej z największych postaci amerykańskiej historii, z prezydentem Abrahamem Lincolnem. Ostrożność Lincolna, jego lawirowanie w sprawie zniesienia niewolnictwa początkowo irytowały Douglassa, ale ostatecznie zaczął go podziwiać. Zrozumiał, że o ile wyraża moralną wizję, o tyle Lincoln musi ją przekuć w działania – takie, w których wielu 19-letnich chłopców straci życie, wymagające utrzymania skomplikowanej koalicji ludzi o różnych wartościach i doświadczeniach. Prorocy i poeci rzadko cokolwiek osiągają bez pragmatycznych polityków.

Pisze pan, że podstawą liberalizmu jest racjonalne myślenie, że nie jest ważne, kto mówi, ale czy mówi rozsądnie. Lewi-

Liberalizm to rodzaj temperamentu i największa możliwa tolerancja dla odmienności

ca odpowiada: ale kto decyduje, co jest racjonalne, a co nie? I czy aby nie elity?

– Są elity dziedziczne – arystokracja – w których majątek i pozycja przekazywane są z pokolenia na pokolenie, a o wszystkim decyduje urodzenie. Ale też elity merytokratyczne, w których, do pewnego stopnia, ludzie są nagradzani za swój wysiłek i talent.

Ja wywodzę się z rodziny wschodnioeuropejskich Żydów. Dziadkowie byli emigrantami, którzy nie mówili po angielsku. Rodzice poszli na uniwersytety i zostali wykładowcami. Nie patrzę więc cynicznie na ideę merytokratycznej elity, jeśli rozumieć ją jako ludzi, którzy interesują się sprawami publicznymi i zdobyli wykształcenie pozwalające im angażować się w humanistyczne i reformatorskie projekty. Idea, że można zbywać czyjeś poglądy, odnosząc się do pochodzenia tej osoby, jest niezwykle uzależniająca, bo pozwala nam wygrać spór bez przedstawiania żadnych argumentów. Wystarczy powiedzieć, że jasne, że to mówisz, skoro jesteś białym mężczyzną lub żydowskim kosmopolitą. Chciałbym ostrzec moich progresywnych przyjaciół, sojuszników i własne dzieci, że takie rozumowanie ma swoje korzenie w najgorszym dwudziestowiecznym reakcjonizmie. To wariant „żydowskiej fizyki”.

Żydowskiej fizyki?

– Naziści, i bardzo dobrze, bo uniemożliwiło im to konstrukcję bomby atomowej, nie chcieli mieć nic wspólnego z odkryciami Einsteina, go uważali, że to „żydowska

fizyka”. Zamiast patrzeć na naukę, patrzyli na tożsamość ludzi, którzy ją tworzyli. To głęboko reakcyjna idea i bardzo mnie martwi, że stała się sojuszniczką progresywnych celów.

Coś za coś najwyraźniej. Im wyżej jesteś na drabinie przywileju, tym niżej na drabinie cnoty?

– Prawda, ale nie wydaje mi się, żeby przywilej był użytecznym terminem. Nie znam nikogo, kto uważa się za uprzywilejowanego. Ludzie raczej myślą, że są przedsiębiorczy, pracowici albo zdolni. Nikt nie patrzy w lustro i nie mówi: jestem po prostu uprzywilejowany.

Jeśli przywilej zaczyna być ekwiwalentem grzechu, to nic dziwnego.

– Dlatego skuteczniej pytać ludzi, czy uważają, że mieli szczęście. Większość zapewne odpowie twierdząco. Tak, miałem szczęście, jestem zdrowy, nie głoduję, stać mnie na przyjemności. Wtedy można przejść do postulatu, żeby się tym szczęściem podzielić, zamiast je chomikować. To rozsądny moralny postulat i skuteczniejszy niż mówienie ludziom, żeby czuli się winni z powodu swojego przywileju, zwłaszcza że nikt się specjalnie nie czuje uprzywilejowany. Nie możemy zmienić swojego pochodzenia, ale możemy zmienić postępowanie.

Jako biała hetero cis kobieta z klasy średniej, też całkiem wysoko na drabinie przywileju, nie będę polemizować, za to podam przykład racjonalności elit. W Kanadzie w XIX wieku dobrzy liberalowie wpadli na pomysł takiej zdroworozsądkowej poczytalności:

szkół z internatem dla rdzennych dzieci, które miały przygotować „dzikich” do życia w społeczeństwie przemysłowym. Nie sądzę, żeby rdzenna ludność uważała placówki, gdzie ich dzieciom odbierano język i kulturę, głodzono je, bito i gwałcono, za racjonalne, ale jej nikt nie zapytał.

– A weźmy ludobójstwo w Kongu za króla Leopolda. Moralna katastrofa. A jaka była na nią odpowiedź? Mieszkańcy Zachodu, liberalnych demokracji, zaczęli o niej informować, potem protestować, aż wreszcie te protesty wymusiły reakcję parlamentów. Zamordowanym to życia nie przywróciło, ale ostatecznie poprawiło sytuację w Kongu. Podobnie było z zdjęciami pokazującymi znęcanie się nad bezbronnymi więźniami Abu Ghraib, które opublikował „New Yorker” – pomogły zmienić zdanie amerykańskiej opinii publicznej o wojnie w Iraku. Jest, niestety, tragicznie uniwersalne, że w ludzkich społeczeństwach dzieją się straszliwe rzeczy: masakry, prześladowania, dyskryminacja. Ale tym, co wyróżnia liberalne demokracje, są instytucje, które służą jako nasze korektywne sumienie i przypominają nam o tym, na co nie chcemy patrzeć. Nie muszę zapewne mówić Polce, że różnica między społeczeństwem, które odmawia przyglądania się złu z przeszłości – bo to zbyt bolesne albo ponieważ rząd sobie tego nie życzy – a społeczeństwem, które takich rozliczeń się nie boi, to różnica między społeczeństwem niezdrowym a zdrowym.

To prawda. Ale chodziło mi o to, że do „racjonalizmu” też należy podejść z pewnym sceptycyzmem, bo może być po prostu instrumentem władzy.

– Tak, ale to są dwie różne rzeczy. Jedna to racjonalizm rozumiany jako konkurs idei w przestrzeni publicznej, druga to przekonanie, że możemy naukowo rozwiązać wszystkie problemy ludzkości. I do tej drugiej tradycji intelektualnej należy podchodzić z ostrożnością. Głęboko wierzę, że nie jesteśmy w stanie powstrzymać ani siebie, ani naszych społeczeństw przed popełnianiem okropnych błędów. W ciągu mojego życia, jako Amerykanin i Kanadyjczyk, widziałem ich bardzo wiele. Ale też widziałam, że są naprawiane: przez informowanie o niesprawiedliwości, protest i reformy. I tylko liberalne demokracje posiadają instytucje i praktyki działające jak korektywne sumienie. Nie ma ich ani w totalitarnych społeczeństwach lewicy, ani w prawicowych autorytaryzmach.

To porozmawiajmy jeszcze o tych zagrożeniach ze strony antyliberalnej prawicy, która, jak pan pisze, pragnie zwycięstw kulturowych, ale dostaje tylko polityczne, i antyliberalnej lewicy, która ma dokładnie odwrotnie.

– Z lewej strony liberalizmowi zagraża radykalny puryzm. Jak to działa, mogliśmy niestety zaobserwować na przykładzie Wielkiej Brytanii, gdzie zwolennicy Jeremy’ego Corbyna nalegali na ideologiczną czystość, odmówili kompromisu i oddali kraj zwolennikom brexitu. Lewica ma jednak ogromną moralną przewagę idealizmu, romantyzmu utopii, „myślenia jedno-rożcowego”, a jej krytyka jest uzasadniona: ekonomiczna nierówność to rzeczywisty problem. Nie jest on jednak niereformowalny, wymaga mądrej polityki.

A czy, jak przekonują niektórzy liberalowie, wolność słowa jest zagrożona przez nadgorliwych bojowników o sprawiedliwość społeczną?

– Jest w młodych niesamowite przekonanie o własnej moralnej nieomyślności, które w połączeniu z niewielkim doświadczeniem sprawia, że bardzo szybko potępiają. Jestem przeciwko kulturze unieważnienia [cancel culture], jeśli rozumiemy przez to odmowę tolerowania możliwie najszerzego spektrum opinii i poglądów czy niszczenie kogoś personalnie zamiast odpiernia jego argumentów w polemice. Widziałem ofiary tego proceduru i nie uważam, że z tą kulturą unieważnienia to przesada. Ale jeśli miałbym porównać zagrożenie dla demokracji ze strony ludzi nalegających na to, że należy mówić „osoby w ciąży” zamiast „kobiety w ciąży” – choć uważam, że to absurd – z tym ze strony przemocowego, szalonego gangstera, który odmawia uznania wyniku wyborów, to bardziej przeraża mnie ten drugi. 6 stycznia 2021 roku [szturm na Kapitol] byliśmy bardzo blisko zamachu stanu, a ludzie, którzy za nim stali, są bezkarni, triumfujący i mogą spróbować jeszcze raz.

W Ameryce egzystencjalnym zagrożeniem jest nacjonalistyczna prawica, ale należy zwalczać autorytarne tendencje z prawej strony z taką samą pasją jak totalitarne ciągoty lewicy. Najbardziej podziwiam ludzi, którym udawało się jedno i drugie. Albert Camus walczył we francuskim ruchu oporu, ale nie miał złudzeń co do komunizmu. Podobnie mój imiennik, Adam Michnik, który sprzeciwiał się rosyjskiej hegemonii, nie mając jednocześnie iluzji co do zachodnich utopii.

Sprzeciw wobec antyliberalnych tendencji to obowiązek intelektualistów. Nie jest łatwo, bo nikt cię nie lubi. Nie opowiadasz się po żadnej ze stron, nie masz własnego obozu, nie stosujesz plemiennych lojalności. A zew plemienności będzie zawsze silniejszy niż urok kosmopolityzmu. ●

U wielu sędziów wciąż dominuje przekonanie, że „matka czegoś chce”

Z MECENAS **KATARZYNA DUDZIŃSKĄ** ROZMAWIA **DOMINIKA WANTUCH**

„Sąd to ostatnie miejsce, w którym kobieta wnosząca o alimenty na dzieci może szukać sprawiedliwości” – powiedział mi kiedyś zaprzyjaźniony adwokat. – Muszę się zgodzić. Z jednej strony wciąż obserwujemy w sądach byłych mężów, ojców, którzy zatają dochody, byle płacić jak najniższe alimenty, albo po prostu nie płacą. Z drugiej strony w wielu sądach, u wielu sędziów wciąż dominuje przekonanie, że to „matka czegoś chce”.

Że żeruje na byłym, że próbuje się wzbogacić na dzieciach...?

– Zakładanie, że matki wyludzą pieniądze „na waciki”, jest upokarzające dla kobiet. Pracuję jako adwokat od ponad 20 lat i nie spotkałam się z matkami, które fundują sobie różne rzeczy kosztem dzieci, opływają w luksusy, gdy dzieci jedzą bułkę z masłem, a po szkole siedzą przed telewizorem. To krzywdzący stereotyp pielęgowany przez lata.

Trzeba powtarzać: to nie matka czegoś chce dla siebie. To dziecko czegoś potrzebuje. Za mało jest w polskich sądach refleksji, że to roszczenie wniesione przez matkę jest w istocie roszczeniem dziecka, tylko ono nie może przyjść do sądu i powiedzieć „Panie/pani sędzio, potrzebuję tego i tego”.

Rozmawiałam z matkami, które od sędziów słyszały, że zagraniczne wakacje czy zajęcia dodatkowe to zachcianki.

– Chciałabym zwrócić uwagę na kwestię, o której nie my-

Dlaczego?

– Mamy największą inflację od 20 lat, której system prawny w ogóle nie bierze pod uwagę. W Niemczech są tabele, a rodzic w zależności od dochodów i wieku dziecka płaci określoną kwotę uaktualnianą co pół roku w zależności od inflacji. W Polsce wielu rodziców znajduje się w trudnej sytuacji, bo tysiąc otrzymany na dziecko rok temu jest dziś wart kilkaset złotych mniej.

Jednocześnie czas oczekiwania na rozprawy w ostatnich latach wydłużył się co najmniej o kilka miesięcy, a wydłuży się bardziej, bo pozwów będzie więcej i to mimo projektu nowelizacji kodeksu rodzinnego i opiekuńczego po-

wracającego do idei tzw. alimentów natychmiastowych, które mają zależeć od minimalnego wyngrodzenia.

Obecnie na postanowienia zabezpieczające alimenty na czas procesu trzeba czekać kilka miesięcy, na rozprawy o podniesienie czy przyznanie alimentów nawet rok. W tym czasie trzeba utrzymać dziecko. Codziennie. A potem, w trakcie postępowania, zgodnie z zasadą rozkładu ciężaru dowodu, wykazać zasadność i wysokość roszczenia.

Czyli udowodnić, że dziecko je, ubiera się, bawi, uczy, rozwija, korzysta z pralki, samochodu?

– W skrócie tak. Trzeba wykazać też, że ma na przykład prawo do płatnej opieki medycznej czy wyjazdów zagranicznych w sytuacji, gdy taki był poziom życia rodziny.

Jak się to odbywa?

– W pierwszej kolejności sąd analizuje wydatki na dziecko, uwzględniając dochody rodzica, który ma płacić alimenty. Ale to teoria. Większość matek boryka się z niechęcią sędziów do

obiektywnej oceny dowodów dotyczących dochodów ojca. Podam przykład. Kobieta spędziła 10 lat w małżeństwie z ojcem swojego dziecka, który ma firmę, i ona doskonale zna jego rzeczywiste dochody. Biorą rozwód i on w sądzie przedstawia dokumenty, że zarabia kilkukrotnie mniej. Jeśli były mąż nie jest pracownikiem korporacji zatrudnionym na podstawie umowy o pracę, tylko ma własną działalność lub pracuje na 1/6 etatu u znajomego, łatwo może ukrywać swoje dochody.

Nie ma przepisu na to, by sprawdzić rzeczywiste dochody, czy sędziom się nie chce?

– Są przepisy, a samo dowodzenie rzeczywistych dochodów nie jest skomplikowane. Sąd może wystąpić o PIT-y z ubiegłych lat. W przypadku działalności gospodarczej powinien przeanalizować przychody i koszty. Bo jeśli były mąż ma firmę, która generuje kilka milionów przychodów rocznie i wykazuje koszty ich uzyskania na podobnym poziomie, to rodzi się pytanie, dlaczego przez lata prowadzi tak niedochodową działalność? Wtedy można zbadać

majątek firmy. Może się okazać, że wchodzi do niej nieruchomości czy luksusowe samochody.

Spotkałam się z przypadkiem, gdzie ojciec twierdził, że jego zaangażowanie jako prezesa i członka rady nadzorczej w kilkunastu spółkach prawa handlowego ma charakter wyłącznie prestiżowy. Albo ojciec był międzynarodowym kierowcą zatrudnionym w firmie, notabene prowadzonej przez kobietę, i twierdził, że zarabia

w sądzie najważniejsze powinno być dobro dziecka.

Ma to także znaczenie dla prestiżu sądu. Chodzi o poczucie, że to nie miejsce, gdzie można opowiadać banialuki, że zarabia się tysiąc złotych u kolegi.

Tym bardziej że poleganie wyłącznie na twierdzeniach rodzica, który ma płacić alimenty, może mieć bardzo negatywne skutki dla małoletniego dziecka.

To znaczy?

– Podam przykład: małżonkowie uzgodnili, że były mąż ma dziecko pod opieką raz w tygodniu i płaci na jego utrzymanie. Ustalono miesięczną kwotę, a oprócz niej ojciec miał płacić częściowo m.in. za zajęcia dodatkowe, ubrania, lekarza. Ale sąd zdecydował, że najpierw matka musi ponieść koszty tych wydatków, potem przedstawić bytemu mężowi rachunki i wtedy on zwraca jej połowę kosztów. Połowę! Dziecko mieszkało z nią, ona je wychowywała, gotowała, robiła zakupy, zawoziła do szkoły, sprzątała, prała, pomagała w lekcjach i wykonywała tysiące innych rzeczy, a ojciec miał kontakt raz w tygodniu. Pomijam już, że z pewnością nie była w stanie poświęcić się całkowicie pracy, a więc jej dochody były niższe niż ojca.

Były mąż weryfikował koszty, odrzucając np. zajęcia dodatkowe. Wszystkie potrzeby dziecka nie były zaspokojone, więc matka wystąpiła o zabezpieczenie alimentów, prosząc o jego PIT i wykazując, że zarabia kilkaset tysięcy rocznie, a jego wydatki na dziecko były na poziomie 2,5 tys. w ostatnich miesiącach. Co zrobił sąd? Wydał decyzję o zabezpieczeniu alimentów poniżej 2 tys. bez sprawdzenia PIT i argumentował, że nie zostały wykazane dochody ojca, w związku z czym trudno oce-

nić, czy jest on w stanie płacić te 2,5 tys. zł.

Czy to nie rodzaj przemocy ekonomicznej?

– To jak w soczewce pokazuje, jak opresyjny jest system wobec matek występujących o alimenty. Pokazałam jeden przykład, a znam takich setki.

Mamy przecież kodeks opiekuńczy, konwencje międzynarodowe, prawo rodzinne...

– I to jest dobre pytanie. Na bazie istniejących przepisów sąd w Polsce jest w stanie prawidłowo orzec o alimentach. Mamy trzy podstawowe reguły, które zapewniają ochronę dziecku. Pierwsza to możliwości zarobkowe i majątkowe rodzica. Nie dochody, tylko możliwości, co chroni dzieci przed zaniżaniem dochodów na potrzeby procesu. To daje sędziom pole do interpretacji zgodnej z aktualną sytuacją na rynku pracy, średnimi dochodami pracowników danej branży itp.

Rozsądny sędzia wycisnie z tego przepisu jego rzeczywiste znaczenie, czyli nie dochód na papierze, ale to, ile jako rodzic mogą podjąć pracy. Pamiętam sprawę, która toczyła się w Krakowie kilka

ślą powtarzają-
cy takie brednie. Otóż poziom życia dziecka z rozbitej rodziny zawsze ulega pogorszeniu w stosunku do poziomu życia dziecka z rodziny pełnej. I nie chodzi o sam aspekt emocjonalny czy psychiczny.

Banalny przykład: mamy pełną rodzinę, która nieźle sobie radzi, ma oszczędności. Najczęściej one służą potem, aby kupić dziecku mieszkanie, zapłacić za dobre studia czy wyposażyć na przyszłość.

Dzieci z rozbitych rodzin rzadko mają na to szansę z dwóch powodów. Kobiety w Polsce zarabiają gorzej i matki, która zostaje z dzieckiem lub dziećmi, najczęściej na to nie stać. Ona zmagą się z rzeczywistością tu i teraz. Nie odkłada. I gdy ojciec uważa, że „nie dam na dziecko, bo była to zużyje”, to jest katastrofa.

Mówi pani „ojciec”. Nie byłoby sprawiedliwiej powiedzieć „rodzic”?

– W Polsce w zdecydowanej większości przypadków rozwodów to kobieta sprawuje rzeczywistą opiekę nad dziećmi. A z punktu widzenia matek rzeczywistość w polskich sądach naprawdę nie wygląda dobrze i w ostatnich latach jeszcze się pogarsza.

lat przed pandemią. Zobowiązany do alimentacji był kucharz. Młody, zdrowy. Twierdził, że jest zatrudniony na 1/4 etatu. Sąd nie dał mu wiary, zasądził rozsądne alimenty, argumentując wprost: „Jeśli próbuje pan przekonać sąd, że w Krakowie, w którym są setki hoteli, tysiące restauracji; pan ma wykształcenie kierunkowe, doświadczenie, czas i możliwości, ale nie pracuje pan na cały etat, to sąd zwyczajnie... nie wierzy!”.

Jaka jest druga zasada?

– „Uzasadnione potrzeby zobowiązanego”. Mieści się tu nie tylko bieżące utrzymanie, ale też wydatki nieprzewidziane plus potrzeby adekwatne do dziecka. Dla jednego to korepetycje z matematyki, dla innego aparat na zęby. W myśl tej zasady rozsądny sędzia powinien uwzględnić, że orzeka dziś wysokość alimentów na podstawie rachunków „z wczoraj”, ale w każdej chwili może pojawić się dodatkowy nieprzewidziany wydatek i matka z tego powodu nie wystąpi za miesiąc do sądu, a tym bardziej z marszu nie uzyska podwyższenia alimentów.

Tu mamy inflację, ale też np. sezon grypowy. Dziecko choruje. Albo skręca kostkę, łamie rękę. Wtedy trzeba nie tylko kupić leki, zapłacić za rehabilitację, ale wziąć zwolnienie, co obniża pensję matki.

Albo praca zdalna w pandemii?

– Jeszcze przed pandemią miałam klientki, które jesienią, zimą były wy-

nie. Ubrania trzeba kupować co chwilę, bo dziecko rośnie. Rachunki powinny być dowodami pomocniczymi, głównie przy niestandardowych zakupach. I powinniśmy zacząć zmieniać podejście, że utrzymanie dziecka kosztuje mniej niż dorosłego.

Automatyczne orzekanie alimentów poniżej wnioskowanej kwoty jest jakby legitymizowaniem przez sąd poglądu, że matka postępuje nieuczciwie.

– I proszę spojrzeć na konsekwencje. Doświadczeni pełnomocnicy, znając ten sposób myślenia, że „matka zawsze wnosi o za dużo”, występują o wyższe alimenty, bo wiedzą, że i tak matka otrzyma mniej. Błędne koło.

Trudno mi sobie wyobrazić, że matka składa wniosek o alimenty, bo jest roszczeniowa. Nie znam ani jednej takiej sytuacji. Kobiety przychodzą do sądu, bo muszą.

Ale podam też przykład, który daje nadzieję, że sąd może umiejętnie wyuczuć, jak orzekać o potrzebach dziecka. Oboje rodzice świetnie zarabiający, wysoki poziom życia, córka, nastolatka, bardzo aktywna – języki obce, balet. Rozwód i nagle ojciec w toku postępowania stwierdził, że wszystkie zajęcia są drogie i nie będzie ponosił kosztów. Sędzia orzekła alimenty poniżej sumy wnioskowanej przez matkę, argumentując, że dziecko jest przeciążone obowiązkami.

Napisałam apelację, w której zapytałam, od kiedy to sąd, który nie wi-

Dzisiaj ta dziewczyna jest dorosła, zna kilka języków, studiuje na dwóch kierunkach. Doświadczeni sędziowie orzekli w jej interesie.

Czy orzeczenie sądu pierwszej instancji nie kłóciło się z zasadą, że poziom życia dziecka po rozwodzie nie powinien ulec pogorszeniu?

– To trzecia reguła – zasada równej stopy życiowej. Oznacza, że dziecko powinno mieć zapewniony taki standard życia, jaki miało przed rozjeściem się rodziców. Widać to szczególnie na przykładzie rodzin, w których po jednej stronie jest bardzo wysoki, a po drugiej przeciętny dochód. Często ojciec świetnie zarabia, widuje się z dzieckiem od czasu do czasu i wtedy są zagraniczne wakacje, drogie ciuchy. A po drugiej stronie matka nieźle zarabia, ale jednak kilkukrotnie mniej, otrzymuje stosunkowo wysokie alimenty, ale one starczą tylko na podstawowe wydatki, aby dziecko nie odczuło różnicy po rozwodzie. Czyli matka z alimentów opłaca prywatną szkołę, zajęcia dodatkowe, realizuje bieżące wydatki i na koniec starcza jej na wyjazd na działkę w wakacje. W efekcie dzieci z przeciętnych warunków u matki trafiają do luksusów u ojca.

Ale ktoś zaraz zapyta: dlaczego były małż. ma płacić za zagraniczny wyjazd i luksusowy hotel byłej żonie?

– Osoba, która płaci alimenty, zawsze staje przed wyborem: jeśli chce, żeby

Matka wystąpiła o zabezpieczenie alimentów, prosząc o PIT ojca i wykazując, że zarabia kilkaset tysięcy rocznie, a jego wydatki na dziecko były na poziomie 2,5 tys. w ostatnich miesiącach. Sąd wydał decyzję o zabezpieczeniu alimentów poniżej 2 tys. bez sprawdzenia PIT i argumentował, że nie zostały wykazane dochody ojca

czerpane, bo pracowały, jednocześnie zajmując się chorym dzieckiem, a na opiekunkę nie było ich stać.

FOT. GETTY IMAGES

Pandemia sytuację wielu kobiet jeszcze pogorszyła. Musiały godzić pracę zdalną z opieką nad dziećmi, brać urlopy, bo przy chorym albo małym dziecku nie były w stanie pracować. Znam wiele matek, które w pandemii straciły pracę. W połączeniu z wielomiesięcznym oczekiwaniem na termin rozprawy to dramat.

A zapis kodeksu rodzinnego i opiekuńczego pozwala przyjąć, że musi być pewna pula na wydatki nieprzewidziane. Błahy przykład: idziemy na lody, dziecko się potyka, trzeba kupić lody raz jeszcze.

Ale jak możemy mówić o dodatkowej puli, skoro zdarza się, że kobieta przedstawia rachunki podstawowe, a sąd je odrzuca, bo „nie ma dowodu, że są pani” albo bo to „fanaberie matki”.

– Nieporozumieniem jest konieczność udowodnienia rachunkami zakupów podstawowych – jedzenia, ubrań, kosmetyków, leków itp. Natomiast kwestionowanie paragonów jest sugerowaniem, że matki są nieuczciwe.

To tym bardziej niezrozumiałe, że sędziowie często sami mają dzieci i wiedzą, że koszty np. wyżywienia są większe, bo dziecko potrzebuje lepszej jakościowo i bogatszej diety. Dorosły może zjeść chleb z mortadellą, dziecko

dział dziecka, nie badał jego zdolności, energii, decyduje, na jakie zajęcia powinno uczęszczać lub nie.

Jaki był wyrok?

– Sąd apelacyjny nie miał wątpliwości, że to rodzice, a w tym wypadku matka, która pełni władzę rodzicielską, decydują o zajęciach córki, i orzekł całą kwotę wnioskowaną. Ale to jedyny taki przypadek w mojej karierze.

Akcja społeczna Kulczyk Foundation, „Wysokich Obcasów” i Fundacji „Gazety Wyborczej”. Z uwagą i czułością przyglądamy się naszym relacjom – tym rodzinnym i tym z nami samymi – aby je uporządkować i z nową energią tworzyć świat po pandemii. Rozmawiamy o lękach, które towarzyszą wielu z nas, o podziale obowiązków i pomysłach na to, jak przygotować siebie i swoich najbliższych na nowy świat.

Chcemy tworzyć nową rzeczywistość. Chcemy rozmawiać o wolności kobiet w sferze świadomości, cielesności i bytu.

KULCZYK FOUNDATION



dziecku żyło się dobrze, godnie i komfortowo, to zawsze lepiej będzie się żyć byłej żonie, bo ona będzie odciążona. Jeśli natomiast były małż. chce dokopać byłej żonie, to zawsze rykoszetem oberwie się dziecku. I to jest wybór ojca.

Z praktyki, jaki wybór jest częstszy?

– Coraz częściej obserwuję, że gdy pojawia się wniosek o alimenty albo ich podniesienie, to ojciec wnosi pozew o opiekę naprzemienną. Czyli pojawia się myśl, że obniżymy w ten sposób alimenty. No nie. Tak to nie działa. Zasada równej stopy mówi, że alimenty powinny być płacone niezależnie od opieki.

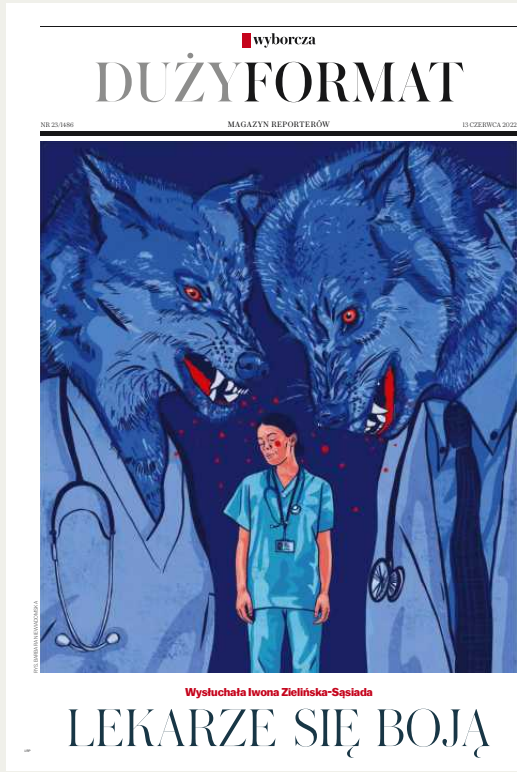
A jak jest za granicą? Jest jakiś system, na którym powinniśmy się wzorować?

– Przepisy są różne i trudno ocenić, czy któryś system jest najlepszy. W Wielkiej Brytanii są wysokie tzw. child benefits, czyli państwo bierze na siebie współodpowiedzialność za utrzymanie dzieci. W Niemczech są tabele uzależnione od dochodów i aktualizacja alimentów o inflację.

Natomiast jest inny, ogromnie ważny aspekt alimentów na Zachodzie. One są kwestią stosunków społecznych, ich niepłacenie jest powodem do wstydu. Nie ma na to zgody społecznej.

To jest zmiana, która jeszcze się u nas nie dokonała, ale chcę wierzyć, że umniejszanie kosztów utrzymania dziecka nie wytrzyma presji naszych czasów. Wymigiwanie się od alimentów krzywdzi. Pozbawia dzieci bieżących potrzeb, poczucia pewności, stabilizacji i oparcia na przyszłość. ●

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



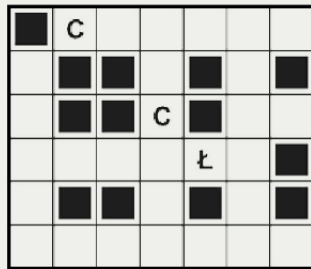
1 MOBBING W SZPITALACH.

Przyzwyczaiałam się do krzyków i poniżania, nawet przy pacjentach.

2 KONTROLERZY LOTÓW.

Dlaczego agencja pozwala na wewnętrzną bratobójczą wojnę?

3 JOLKA



Krzyżówka
co tydzień
w Dużym Formacie

ZNAM CORAZ WIĘCEJ UCZCIWYCH ROSJAN

**Za Buczę i Mariupol nie są odpowiedzialni
Dostojewski i Tolstoj**

Grzegorz Przebinda*

Wkrakowskim wydaniu „Wyborczej” ukazał się wywiad ze mną Michała Olszewskiego, „Znam wielu uczciwych Rosjan” (29 kwietnia). To fundamentalna dla mnie kwestia – istnienie grupy sprawiedliwych Rosjan, którzy działają aktywnie przeciw Putinowi bynajmniej nie od teraz, a i tak zbierają cięgi, że są Rosjanami i nie zamierzają się tego wypierać.

Olszewski: „Maxim Levada, który w Kijowie prowadzi dziennik wojenny, napisał w »Wyborczej«, że naród rosyjski »nie ma własnej kultury«, tylko zbiór zapożyczeń, dzięki któremu stała się ona zrozumiała dla zachodniej Europy. Co więcej, »zdaje się, że jej nie potrzebuje«. A jedyną częścią kultury, która wpłynęła na sąsiadów, jest »russkij mat«, czyli kultura kryminalnej przemocy”.

Moja refleksja wybrzmiała tak: „To, że rosyjska kultura rozwijała się od XVIII wieku w kontakcie z kulturą europejską – nie ulega wątpliwości. Ale teza Levady, że prosty naród rosyjski kultury nie potrzebuje, idzie zdecydowanie za daleko... Wynika to oczywiście ze zrozumiałej – w przypadku naocznego świadka niewyobrażalnych zbrodni Rosji w Ukrainie – postawy odwetu”.

Ja też doczekałem się ze strony Maksyma Łewady (tak jednak chyba powinno się pisać po polsku to imię i nazwisko) reakcji odwetowej. W dzienniku, opublikowanych 16 maja w „Wyborczej” pod mało wyszukany tytułem „Nazwiskami swoich artystów Rosja oznacza terytorium. Jak niedźwiedzie, które robią to zapachem”, tak bierze się za bary ze mną:

„Profesor Grzegorz Przebinda, znany polski rusycysta, udzielił wywiadu »Wyborczej« pod tytułem »Znam wielu uczciwych Rosjan«. Pan profesor mówi o obecnej roli kultury rosyjskiej i nawet cytuję mój tekst, nie całkiem się z nim zgadzając.

Nie można wymagać od społeczeństwa, aby podzielało czyjeś bardzo profesjonalne pasje. Ja np. zajmuję się badaniem późnego okresu rzymskiego i okresu wędrówek ludów, ale nie uważam, aby moja praca miała dla każdego pierwszorzędne znaczenie. Znajomość chińskiej kultury przez statystycznego Polaka czy Ukraińca jest o wiele mniejsza niż rosyjskiej. Nie chodzi tu o »historyczne związki«, ale o to, że przez kilka stuleci nasze kraje były obiektem agresji ze strony Rosji”.

Muszę się odnieść do takiej końcówki wypowiedzi Łewady: „Udzielając takiego wywiadu, trzeba pamiętać o własnym konflikcie interesów. Każdy wykładowca pragnie oczywiście, aby jego przedmiot badań wchodził w skład programów nauczania, w przeciwnym razie ryzykuje utratę pracy. Nie można jednak absolutyzować swego przedmiotu”.

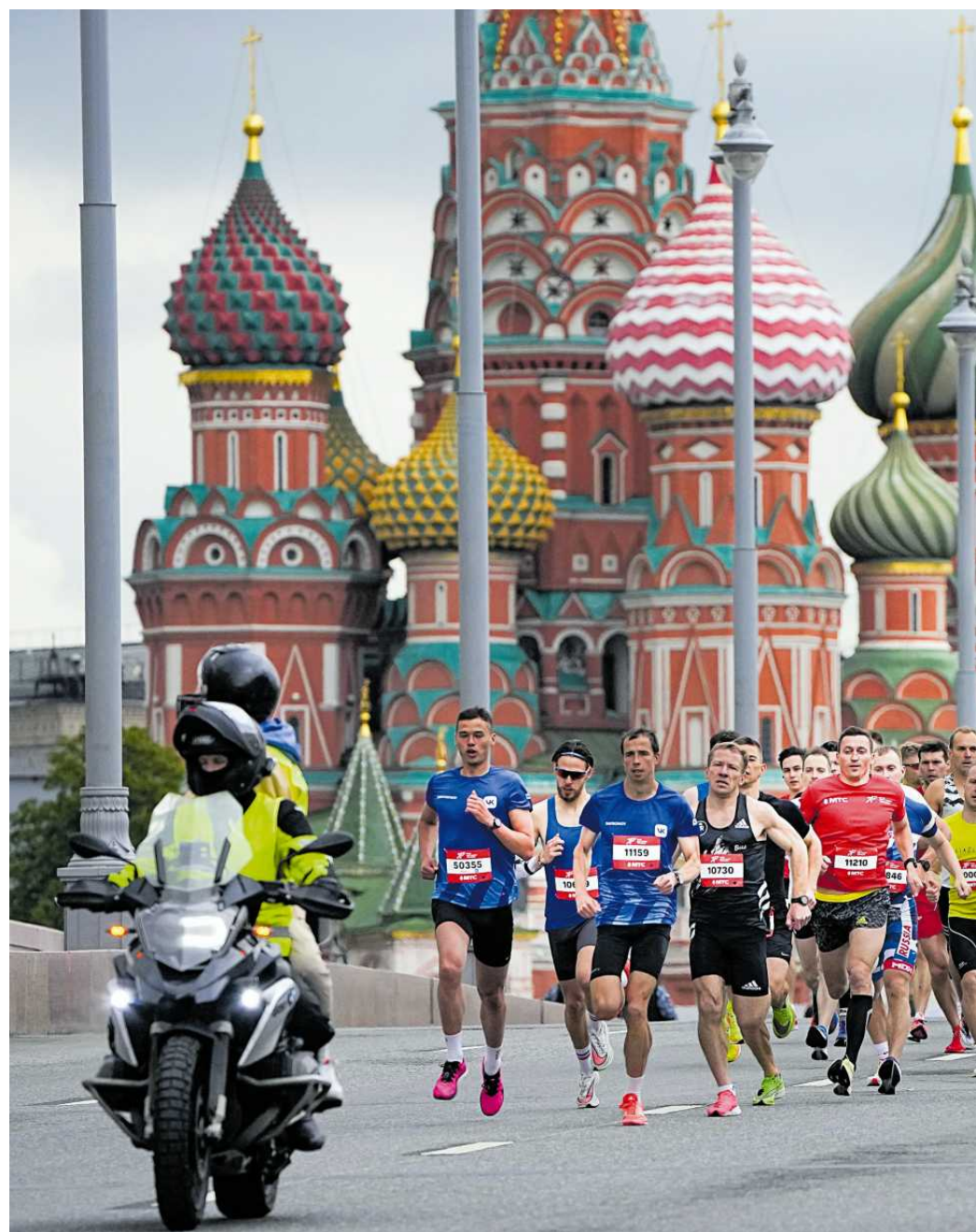
Niechże jednak Maksym Łewada aż tak bardzo o moje miejsce pracy się nie troszczy. Tym bardziej że sam nigdy nie absolutyzowałem przedmiotu moich badań i dydaktyki. Choć Bogiem a prawdą to moje codzienne mozolne pozyskiwanie, już od ponad 40 lat, wiedzy o Rosji, a od lat 25 – także o Ukrainie, istotnie traktuję jako jeden z głównych życiowych celów. I niech tak pozostanie aż do końca.

Łewada idzie znacznie dalej w uogólnieniach, dowodząc na swój sposób, że „buty są ważniejsze od Szekspira”... Frazę tę ukuli ongiś ironicznie Fiodor Dostojewski w polemice z estetyką rewolucyjnych demokratów. Łewada widzi to tak: „Naiwnością byłoby sądzić, że specjalista od chemii koloidalnej albo od morfologii karaluchów byłby zdania, że wszyscy dookoła, nawet osoby wykształcone, będą zainteresowani jego badaniami. Każdy lekarz jest o wiele ważniejszy dla społeczeństwa niż ja ze swoimi naukowymi tematami”.

Niechże tak będzie, szczególnie w sytuacji obecnej wojny. Gdy jednak Łewada pisze, choćby i w zawołany sposób, że ja – w obliczu rosyjskich zbrodni w Buczy – apeluję teraz przede wszystkim o szacunek dla wielkiej kultury rosyjskiej, to takiej absurdu albo od morfologii karaluchów byłby zdania, że wszyscy dookoła, nawet osoby wykształcone, będą zainteresowani jego badaniami. Każdy lekarz jest o wiele ważniejszy dla społeczeństwa niż ja ze swoimi naukowymi tematami”.

Gdy zaś chodzi o tę nieszczęsną „wielką kulturę rosyjską”, to tylko uważam – wbrew szalonej, narastającej także w Polsce opinii – że za Buczę, Irpiń i Mariupol nie są odpowiedzialni Dostojewski i Tolstoj. Co więcej, sądzę nawet, że właśnie poszukiwanie wroga w znanym pacyfście Lwie Tolstoj sprzyjać może, niestety, postępowi w Ukrainie wojsk rosyjskiego agresora, który wszak chętnie doszukuje się w zachodnim świecie „rusofobii”.

Lewada poucza mnie jeszcze z perspektywy bombardowanego Kijowa, że wojna Rosji z Ukrainą zaczęła się już w 2014 r. Ależ ja to dobrze pamiętam,



publikowałem wszak w latach 2014-19 w tej właśnie kwestii немало. Po polsku, rosyjsku, angielsku, a nawet po ukraińsku – w „Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, „Przeglądzie Rusycystycznym”, „Nowej Polsce”, „Tygodniku Powszechnym”, a w sieci np. w ukraińskim piśmie „Zbrucz”. Najwcześniej jednak wypowiadałem się o tej pierwszej rosyjskiej agresji na Ukrainę w dwóch wywiadach dla Instytutu Obywatelskiego. A tam już 4 marca 2014 r. mówiłem:

„Stoimy przed największym europejskim kryzysem od rozpadu ZSRR. Mimo to, odpowiednio skoordynowane działania państw, przede wszystkim Unii Europejskiej, mogą wywrzeć na Moskwę skuteczny nacisk, głównie ekonomiczny. Oczywiście ważne są też gesty symboliczne. Kanada uznała w ostatnich dniach rząd na Majdanie za legalną władzę na Ukrainie i jest to wart uwagi sygnał.

Jednakże trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – Ukraina nie jest w stanie samodzielnie stawić czoła wojskom rosyjskim. Od rozpadu ZSRR jej armia zmniejszyła swoją liczebność oraz pozbyła się arsenału atomowego. W zamian za to NATO dało Kijowowi różne gwarancje pomocy. 20 lat później okazały się one tylko dokumentem na papierze, bo i nie mogły być niczym innym, w sytuacji, gdy Ukraina dziś nie jest nawet z NATO stowarzyszona.

Dziś bezwarunkowo wspieramy niezależną Ukrainę w jej konflikcie z imperialną Rosją. Ja osobiście szczególnie potępiam głosy wysokich hierarchów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, którzy nawołują do aneksji Krymu”.

Moje ówczesne teksty wiszą sobie w internecie i czekają – także na Łewadę. A obecne materiały, przede wszystkim wywiady na falach Radia Kraków o obecnej wojnie oraz trzy rozmowy z tytułowymi „uczciwymi Rosjanami” – Dmitrijem Bykowem, Borysem Akuninem i Ludmiłą Ulicką – też łatwo odnaleźć w sieci. Swoją drogą chętnie bym poczytał teksty samego Łewa-

dy z tamtego czasu – proszę mi tylko wskazać do nich ścieżkę.

17 marca solistka Teatru Wielkiego w Moskwie Olga Smirnowa wyjechała z putinowskiej Rosji do Holandii, wyrażając wcześniej protest przeciw wojnie na swoim Telegramie: „Wstyd mi za Rosję”. To samo ogłosił 23 maja Borys Bondariew z rosyjskiej misji przy ONZ w Genewie: „Rozpętana przez Putina agresywna wojna z Ukrainą, a faktycznie z całym światem zachodnim to nie tylko zbrodnia przeciwko narodowi Ukrainy, ale i najcięższa zbrodnia przeciwko narodowi Rosji”.

Marina Owsiannikowa (ur. w 1978), jeszcze do niedawna dziennikarka totalnie propagandowego Pierwszego Kanalu rosyjskiej telewizji, została wyróżniona prestiżową nagrodą Václava Havla, wręczoną jej w Oslo 25 maja. Otrzymała ją za brawurową akcję, przeprowadzoną 14 marca na żywo w eterze, podczas wieczornych, szeroko oglądanych wiadomości Kanalu. Weszła bez przeszkód do studia i podczas czytania przez jej koleżankę kolejnej porcji propagandy pokazała milionom widzów plakat przeciw wojnie z Ukrainą, skandując przy tym: „Przerwijcie tę wojnę. Nie wiercie propagandzie. Okłamują was tutaj!”. Spodziewając się aresztowania, nagrała dwie godziny wcześniej i umieściła na FB wideo z takim przekazem:

„To, co się teraz dokonuje w Ukrainie, to zbrodnia. Agresorem jest Rosja, odpowiedzialność za tę agresję obciąża sumienie jednego tylko człowieka” – Putina. „Mój ojciec jest Ukraińcem, matka – Rosjanką. I nigdy nie byli wrogami. A ten [niebiesko-złoty] naszyjnik na mej szyi to symbol tego, że Rosja powinna natychmiast zatrzymać tę bratobójczą wojnę. I nasze braterskie narody zdolają jeszcze się pogodzić.

Niestety, w ostatnich latach pracowałam w Pierwszym Kanale, zajmując się kremłowską propagandą. I jest mi dziś bardzo za to wstyd. Wstyd mi, że pozwalałam oglupiać Rosjan... Milczeliśmy w 2014 r.,

• 28 maja, Moskwa, bieg charytatywny Runnigh Hearts zorganizowany przez Natalię Wodianową i celebrytkę fitnessową oraz mówczynię motywacyjną Polinę Kitsenko mija sobór Bazyla Błogosławionego. Supermodelka Wodianowa została ambasadorką dobrej woli ONZ dzień przed inwazją Rosji na Ukrainę; deklaruje pomoc ukraińskim kobietom i dzieciom, ofiarom „konfliktu”, nie używa słowa „wojna”. Kitsenko w mediach społecznościowych opowiada o „prześladowaniu Rosjan”

FOT. ALEXANDER ZEMLIANICHENKO/AP



gdy wszystko to dopiero się zaczynało. Nie wyszliśmy na mityngi, gdy Kreml truł Nawalnego. A teraz odwrócił się od nas cały świat”.

Niebawem została zatrzymana, na szczęście nie na długo, po czym ukarano ją grzywną administracyjną (30 tys. rubli, ok. 1,5 tys. zł) za wzywanie do „nielegalnych akcji protestu”. Ponieważ jednak mogła się spodziewać – po oskarżeniu o „publiczne rozpowszechnianie jawnie fałszywych in-

rosyjskiego społeczeństwa „popiera Putina, okupację i wojnę w Ukrainie. Mowa tam o »bratnich narodach« – rosyjskim i ukraińskim. A jest to przecież rdzeń rosyjskiej propagandy, który właśnie służy jako objaśnienie okupacji Ukrainy: »Jesteśmy braćmi i powinniśmy żyć w jednym kraju«”.

Z satysfakcją przytaczam więc opinię o akcji Owsiannikowej sformułowaną jeszcze przed polemiką ze mną przez Łewadę:

Znany muzyk rockowy Jurij Szewczuk ze sceny: „Ojczyzna, przyjaciele, to nie dupa prezydenta, której stale trzeba się podlizywać, całować... Ojczyzna to babuszka na dworcu, która sprzedaje kartoszkę”

formacji o działalności Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej” – do 15 lat więzienia, wkrótce porzuciła Rosję. Szczęśliwie otrzymała pracę jako dziennikarka w rosyjskiej redakcji Deutsche Welle.

A jednak znaleźli się niemądry ludzie – a takich, jak widać, nie brakuje także w partii prezydenta Zelenskiego Sługa Narodu – którzy od razu ogłosili, że akcja Owsiannikowej to kremłowska ustawka! Oto poseł Roman Hryszczuk z ramienia owej partii głosi na Twitterze: „Wideo Mariny brzmi jak typowe oświadczenie antywojenne, jednak mówi ona, że tylko Putin jest odpowiedzialny za wojnę”. Tymczasem większość

„25 sierpnia 1968 r. osiem osób wyszło w Moskwie na pl. Czerwony z protestem przeciw wejściu sowieckich wojsk do Czechosłowacji. Przymusowe leczenie w klinikach psychiatrycznych, wyroki więzienia i zesłania – oto, co otrzymali. Konstantin Babickij, Tatiana Bajewa, Larisa Bogoraz, Natalia Gorbaniewska, Wadim Delone, Władimir Dremługa, Paweł Litwinow i Wiktor Fajnberg – osiem nazwisk ludzi, o których później zostanie powiedziane, że uratowali godność narodu sowieckiego. 14 marca 2022 r. jedna jedyna kobieta wystąpiła w eterze głównego rosyjskiego kanału przeciw wojnie z Ukrainą. Marina Owsiannikowa, ta, która uratowała godność narodu rosyjskiego”.

Wiem, że Natalia Gorbaniewska (1936-2013) podpisała się pod tymi słowami obie- ma rękami. Przyjaźniłem się z Nataszą ponad 26 lat – od naszego pierwszego spotkania w Paryżu, w styczniu 1987 r., w redakcji emigracyjnego „Kontynentu”. Nagrałem z nią wtedy wywiad, opublikowany w krakowskiej podziemnej „Arce”.

Zadałem oczywiście Nataszy pytanie o demonstrację na pl. Czerwonym: „Dlaczego było Was tylko siedmioro [wtedy jeszcze uczestnicy ukrywali udział Bajewej] i czy zdawaliście sobie sprawę, że zaczyna się coś nowego w dziejach potyczek komunistycznej władzy z opozycją?”.

Jej odpowiedź: „To pytanie można sformułować nieco inaczej: skąd wzięło się nas aż tyle, aby wyjść na pl. Czerwony i tam demonstrować? Tym bardziej że nikt nie mógł przewidzieć, co się z nami stanie. Domysły były różne, począwszy od takich, że po demonstracji wrócimy spokojnie do domu, aż do takich, że nas tam zwyczajnie na miejscu zabiją”.

Znany i ceniony muzyk rockowy Jurij Szewczuk (ur. w 1957), szef bardzo popularnej grupy DDT, w połowie maja podczas koncertu w rodzimym Ufie wołał ze sceny przy ogromnym aplauzie młodej publiczności: „I teraz zabijają ludzi na Ukrainie, dlaczego? Nasi chłopcy tam giną, dlaczego? Znowu ginie młodość Rosji i Ukrainy, giną starcy, kobiety i dzieci, dla jakichś napoleońskich planów naszego kolejnego cezara. Ojczyzna, przyjaciele, to nie dupa prezydenta, której stale trzeba się podlizywać, całować... Ojczyzna to babuszka, żebraczka na dworcu, która sprzedaje kartoszkę. To jest Ojczyzna!”.

Spośród wolnych mediów obecnej Rosji – niezbyt, z konieczności, licznych, ale za to profesjonalnych – lubię odwiedzać stronę doxajournal.ru, w putinowskiej Rosji uznaną za „agenta zagranicznego”. Jest to elektroniczne pismo wolnych studentów z Petersburga i nie wolno go mylić z reżimowym doxa.ru. Na tejże reżimowej Doxie odnaleźć można m.in. list Putina do dzieci sprzed pół roku, z okazji pierwszego Dnia Ojca w Rosji.

To nowe święto, ustanowione specjalnym dekretem, ma być obchodzone corocznie w trzecią niedzielę października. Jego oficjalny cel to „umocnienie instytucji rodziny i podniesienie wartości ojcostwa w wychowaniu dzieci”. A oto początek przesłania Putina z 17 października 2021, czyli na

my występuje obecnie rzeczniczka prasowa MSZ Maria Zacharowa (1975). Realizuje ona teraz rodzicielskie pielgrzymki po dużych regionalnych uczelniach Rosji, aby przekonywać młodzież, że „tata z mamą ją kochają”.

Emigracyjny historyk rosyjski Michaił Heller (1922-97) napisał w książce „Maszyna i śrubki. Jak hartował się człowiek sowiecki” (1985), że ZSRR skończy się bezpowrotnie wraz z nadejściem ery komputerów, gdy ludzie zaczną się wreszcie swobodnie między sobą komunikować. Dziś oczywiście wiemy, że sieć – w Rosji jeszcze bynajmniej nie wszechobecna – może także spełniać funkcje przeciwne, ideologizujące czy wręcz oglupiające. Niemniej Heller miał rację i ciekawe, że pośredni na to dowód odnajdujemy na wpisie w Telegramie Igora Strielkowa vel Girkina, byłego pułkownika FSB. Oto on:

„Informacja od insidera: mężczyźni mieszkających w dużych miastach nie mobilizują dlatego, że istnieje duże prawdopodobieństwo śmierci i niezadowolenia ich krewnych, dysponujących tik tokami, youtube’em itd. Mobilizację przeprowadzają więc w regionach z »ludnością głuchą«. Rosja – to kraj wielonarodowy, ale, jak widać, nie w pełni równouprawniony”.

W Rosji carskiej aż do reformy wojskowej Aleksandra II (1874) służbę w charakterze „mięsa armatniego” pełnili głównie chłopci, którzy aż do 1861 r. pozostawali niewolnikami pańszczyźnianymi.

Widzę uderzające podobieństwo do realiów obecnych, gdy rolę chłopów pańszczyźnianych przejmują podczas tej bandyckiej wojny rekruci z bardzo odległych regionów Rosji, do których nie dociera internet, a bieda aż piszczy. Na szczęście na czymś takim nikt w obecnym świecie imperium zbudować nie zdoła. Ale mordować i rabować, a potem dostawać jeszcze od Putina gwardyjskie orderzy, jest tu, niestety, jak najbardziej na miejscu.

Putinowska Rosja – ukazująca oblicze masowego mordercy przede wszystkim w Ukrainie – od dawna nie jest bynajmniej „wegetariańska”, także wobec rosyjskich opozycjonistów. Świadczą o tym konsekwentne, dokonywane z zimną krwią zabójstwa: Anny Politkowskiej (2006), Aleksandra Litwinienki (2006), Borysa Niemcowa (2015); próby otrucia Aleksieja Nawalnego (2020; teraz w lagrze), Władimira Kara-Murzy (2015, 2017; teraz aresztowany), Dmitrija Bykowa (2019, obecnie w Ameryce). A i tak coraz więcej odważnych ludzi w Rosji wyraża głośno sprzeciw wobec tej haniebnej, zbrodniczej wojny.

A mój długoletni przyjaciel Dima Bykow obiecał dwa tygodnie temu w rozmowie ze znanym ukraińskim dziennikarzem i politykiem Dmitrijem Gordonem (obaj urodzeni w 1967), że już niedługo nadejdzie czas, gdy on sam – to jest Dmitrij Lwowicz Bykow – przyjedzie do Ukrainy, aby wspomóc ją osobiście w dziele odbudowy. I nie będzie w tym osamotniony. ●



*Grzegorz Przebinda

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. Autor m.in. książki „Większa Europa. Papież wobec Rosji i Ukrainy” (2001)

Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Adam Michnik poleca Wojna w Ukrainie

W Moskwie cieszą się wiosną

Nasza kultura, która wiecznie stawiała opór samowładztwu, jest po prostu piękną naroślą na ciele rosyjskiego państwa

Jerofiejew*

W 1523 r. Filoteusz, rosyjski prawosławny mnich z pskowskiego monasteru, przedstawił wizję Moskwy jako Trzeciego Rzymu. Po upadku cesarstwa rzymskiego, a potem Bizancjum, miejsce światowej stolicy miała zająć Moskwa, inaczej nastąpiłby koniec świata. Jego idea wciąż rajcuje rosyjskich nacjonalistów.

Jednak Moskwa nie stała się Trzecim Rzymem, tylko nową Złotą Ordą. Średniowieczne księstwa rosyjskie padły w okrutne tatarsko-mongolskie jarzmo, którego istotą było szydzenie z narodu rosyjskiego i z książąt i nie-ludzkie traktowanie pojmanych kobiet. Moskiewscy książęta, strachliwi lennicy Złotej Ordy, „kolaboranci”, zarazili się ideami swoich panów.

Zrzuciwszy jarzmo Ordy, moskiewskie carstwo, skażone brutalnością jej rządów, zaczęło wyznawać samowładztwo, czyniąc normą upiorne traktowanie wszystkich poddanych, od bojarów po chłopstwo. Miłość i oddanie carowi stały się jedyną drogą awansu, ale nawet one niekoniecznie chroniły przed torturami i śmiercią. Po-wszechnie okrucieństwo zrodziło lekceważący stosunek do życia cudzego

mieć historii i przypomina czarodziejską baśń.

W baśni tej, od Iwana Groźnego po Putina, są ustalone role – zmieniają się tylko aktorzy. Jest car despota, który żyje we własnym świecie. Na Rusi nie istnieje państwo – jest carstwo, w którym wolny jest tylko sam car.

Są oczywiście bohaterowie zbiorowi. Poznajmy Babę-Jagę. To osoba zła, pożera dzieciątka (bywa też bohaterką pozytywną). Jest Kościej Nieśmiertelny, w którego może zmienić się sam car. I jest główny bohater – Wania Durak, który gardzi racjonalnym stosunkiem do życia. To superpozytywny ruski bohater. Leży sobie na piecu, po czym wychodzi na ulicę i terroryzuje spokojnych ludzi.

Czy nam to czegoś nie przypomina? Nie? Chodzi mi o jadące po Ukrainie kolumny czołgów.

Wojna w Ukrainie to podwójna apokalipsa. Cywilizacja rosyjska uważa się za ludzi światła, którzy walczą z siłami ciemności. Telewizja rozprawia ciągle o tych zmaganiach. Rosjanie w większości należą do tej cywilizacji i nie przejmują się wojną. Na ulicach Moskwy ludzie śmieją się, cieszą się wiosną.

FOT. DMITRI LOVETSKY/AP



ści ruskiego miru. Przerazenie budzą egzekucje w Buczy i zniszczenie Mariupola, uroczego portowego miasta.

Ale propaganda nazywa te tragiczne dokumenty fałszerstwem. Ale przebiegły ten Zachód! Porozrzucać po ulicach trupy cywilów, zapelnąć zwłokami masowe groby – a wszystko w Photoshopie! Propagandziści Putina na zimno przeczą oczywistości.

Propaganda zaczyna się od tego, że Zelenski to bezwolny pajac, którego kupili ukraińscy neonaziści. My Żydów traktujemy dobrze – słychać w TV – ale Żyd, który zaprzedał się nazistom, to hańba. A kto wspiera tych niewidzialnych neonazistów? Cała Europa! I Ameryka! Japonia! A Izrael? On też! Ale czemu popierają kijowskich neonazistów? Bo są rusofobami! Chcą nasz kraj zniszczyć, podzielić się jego bogactwami.

Brzmi przekonująco? Nie? Głos rosyjskiej apokalipsy spieszy więc do nieś, że Ukraińcy kastrują rosyjskich jeńców i obcinają im uszy.

Jakie rysują się możliwości zakończenia wojny?

Pierwsza to zejście ze sceny głównodowodzącego. Wszyscy szanowie życzą mu rychłej śmierci. Szanse są małe,

Sankcje? Ograniczenie podróży za granicę? Zwykli ludzie sadzą ziemniaki i kapustę, pomidory i ogórki. Większość nie ma paszportu

jest dobrze chroniony, jego bunkier to istny cud świata.

Druga to przebiecie przez Rosjan przejścia lądowego wzdłuż wybrzeża Morza Azowskiego na Krym, zajęcie części wschodniej Ukrainy i okopanie się tam. Wojna przejdzie w stan zamrożonego konfliktu, a granica będzie gnić i krwawić latami.

Trzecia to wyparcie wojsk rosyjskich z Ukrainy. Efektem nie byłoby jednak zwycięstwo, tylko zdecydowany ruch Putina, który nie znosi porażek. Można to przerobić w zwycięstwo, nazywać nieudaną kampanię, która miała trwać parę dni – ba, godzin – triumfem, bo Ukraina zrezygnowała z członkostwa w NATO i zgodziła się na demilitaryzację, a nawet mityczną denazyfikację.

Ale jeśli nie polubi warunkowego zwycięstwa i obrazi się, na końcu tunelu pozostaje eksplozja nuklearna. Broń taktyczna. Ale gdzie ją zrzucić? A czemu nie na Kijów? Ale przecież Kijów zwą Rosjanie matką wszystkich rosyjskich miast. Co z tego? Była matką i stała się macochą!

Jak zareaguje Zachód na atak atomowy? Czy ze strachu padnie placikiem? Może rozpocznie tajne negocjacje, żeby uniknąć drugiej bomby? Bo na tę drugą czeka jeszcze Lwów, stolica banderowców.

Nie będą to oczywiście negocjacje z Ukraińcami, rozmawiać się będzie ponad ich głowami, z Amerykanami.

Zelenski zrobił wszystko, co możliwe, żeby Ukraina stała się państwem

europejskim. Putinowi należy się pomnik w Kijowie jako temu, który zmienił Ukraińców z postkomunistów w zjednoczony naród.

Ale nikt jeszcze nie zauważył bomby atomowej na końcu tunelu.

A jak po wojnie będą traktowani Rosjanie?

Pamiętam, jak traktowano w Warszawie na początku lat 70. Niemców. Właśnie ożeniłem się z Polką i widziałem na własne oczy, że Niemcy są bardzo nie lubiani, nawet 25 lat po wojnie. Potomkowie Złotej Ordy bombardowali Ukrainę równie ciężko jak alianckie samoloty niemieckie miasta pod koniec II wojny. Krótko mówiąc, Ukraina – bratni kraj i sąsiad Rosji – stała się złem absolutnym.

Po co te bomby? Żeby zdemoralizować ludność i zmusić wroga do haniebnego pokoju. Zginęło mnóstwo cywilów. Odbudowa Ukrainy potrwa dekady, nie oczekujemy dobrego stosunku do Rosjan.

Rosyjscy stratedzy popełnili kilka dramatycznych błędów. Generalowie szykowali się do wojny sprzed dziesiątków lat. Kolumny czołgów okazały się niezwykle wrażliwe na atak najnowszej broni przeciwpancernej. Woda oszukali jego ludzie. Mówili, że wyzwoleni Ukraińcy powitają rosyjskie czołgi kwiatami, chlebem i solą.

Ukraińcy przygotowali się do wojny i mają motywację.

Zachód odegrał niejednoznaczny rolę w tej historii. Latami uchylał się od zabrania głosu w sprawie Ukrainy i jej obecności w Europie. Wyglądało to paskudnie. Na Zachodzie metafizyczne wartości wyrodniały na długo przed tą wojną.

Pamiętamy zachodnich maoistów ze znaczkami z przewodniczącym Mao na piersi. Uważali, że Chiny to cywilizacja szczególnie, że tam można urządzić rewolucję kulturową, wycinać inteligencję, unicestwiać prostytutki.

Pamiętamy zachłystnięcie się Kubą. Iluż młodych ludzi nadal nosi kurtki z „Che” Guevarą, który w istocie był maniakalnym mordercą. A Ukraina to nie „Che” Guevara. Nie była dla Zachodu interesująca. Przeszkadzała mu w rozwijaniu relacji handlowych z Rosją.

Zachód zreflektował się dopiero, gdy zaczęło się zakrojone na szeroką skalę niszczenie Ukrainy. Przypomniał sobie o prawach człowieka, o humanitarnych wartościach i się obudził.

Mówi się, że rosyjska inwazja zjednoczyła Zachód. Ale ciekawe, dlaczego bombardując Ukrainę, Rosja oszczędza Zakarpacie, gdzie mieszka wielu Węgrów. Czyżby dzięki szczególnym relacjom Orbána z Moskwą?

Jedność Zachodu jest bardziej krusza niż obłożona sankcjami rosyjska gospodarka. Wszyscy będziemy musieli żyć w dziwnym, samolubnym, tchórzliwym europejskim świecie. A Rosjanie będą sadzić ziemniaki. ●

przet. Sergiusz Kowalski

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

i własnego, stając się przesłanką osobistej i zbiorowej egzystencji jako gry. Ty szydzisz, szydzą z ciebie, a wszystko miesza się w zabawnej grze.

Ta gra stała się normą rosyjskiego życia.

Operacja militarna w Ukrainie, której w Rosji nie wolno nazywać wojną, ujawniła korzenie Rosji wyrastające ze Złotej Ordy. Rosja objawiła się jako odizolowany od Europy twór o antyeuropejskich tradycjach. W swoim rozumieniu Rosji Zachód się pogubił. Część w ogóle jej nie rozumie, Niemcy bardziej niż inni.

Dla Zachodu Rosja to wielki kraj białych ludzi, którzy stworzyli wielką kulturę. Ale ta kultura, która wiecznie stawiała opór samowładztwu, jest po prostu piękną naroślą na ciele rosyjskiego państwa. Można widzieć w Rosji kraj Puszkina czy Strawińskiego, ale to samooszukiwanie się. Pochodzimy z innej cywilizacji, która zdaje się nie

To moi sąsiedzi, część znajomych – wszyscy w pełni oddani władzy, nawet nie próbują samodzielnie myśleć. W poczekalni u moskiewskiego dentysty mówię dwóm dziewczętom, że w Rydze pełno ukraińskich flag. A one chórem: – Co za koszmar!

Dzwoni do mnie agentka ubezpieczeniowa. I nagle pod koniec rozmowy słyszę: – Zatkniemy w Charkowie rosyjską flagę i skończy się ta wojna.

Moskwianie opędzają się od wieści o niej. Niektórzy oczywiście protestują. Dziewczyna stanęła przed największą moskiewską cerkwią z plakatem: „Nie zabijaj”. Policja ją zatrzymała.

Słyszę, że Zachód sankcjami zgłotał Rosjanom ciężki los – podwyżki, brak cukru, ograniczenie podróży za granicę. Ale zwykłych ludzi to mało obchodzi. Na wiosnę sadzą ziemniaki i kapustę, pomidory i ogórki. Większość nie ma zagranicznego paszportu.

Druga apokalipsa to walka sił światła Ukrainy i Zachodu z siłami ciemno-



***Wiktor Jerofiejew**
– ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego powieść „Różowa mysz” (Wyd. Agora)

Kobiety zatrząsą Watykanem

Franciszek dokona czegoś znacznie ważniejszego niż wymienienie z nazwiska jednego bandyty

Magdalena Czyż

Jakieś trzy lata temu zapytałam profesora Stanisława Obirka, czy jest szansa, żeby wybrany po Franciszku nowy papież kontynuował jego linię. Rozmawialiśmy wtedy, jak wielką nadzieją dla Kościoła jest Jorge Mario Bergoglio i jego determinacja w przeprowadzeniu reformy Kurii Rzymskiej, która ma być zmianą fundamentalną.

Przed wszystkim dlatego, że od wprowadzenia jej w życie (a weszła w życie tydzień temu) każdy urząd kurialny, łącznie z kierownictwem dykasterii na stanowisku prefekta, może być zajmowany przez któregośkolwiek z wiernych, a więc przez osoby świeckie, a zatem przynajmniej w teorii również przez kobiety. Kobieta będzie mogła po-

Niektórzy obserwatorzy kościelni spekulują, że papież mógłby zakończyć spotkanie z kardynałami 29-30 sierpnia, ogłaszając jednocześnie swoją rezygnację

dejmować decyzje zobowiązujące biskupów do działania. Będzie miała władzę unieważniania ich własnych postanowień. Reforma kładzie nacisk na decentralizację i przyznanie większej roli konferencjom episkopatów i na to, co najistotniejsze z punktu widzenia Franciszka, czyli ewangelizację, która staje się priorytetem papieża.

Obirek odpowiedział mi wtedy, że wszystko zależy od tego, czy Franciszek dąży przed odejściem wymienić kardynałów, którzy będą wybierać nowego papieża.

W ostatnich dniach maja prasa katolicka na całym świecie zaczęła intensywnie liczyć. Te kalkulacje rozpoczęły się od tego, że Franciszek, jak podaje portal Deon.pl za Catholic News Agency, „ogłosił nazwiska 21 nowych kardynałów, z których 16 jest w tym wieku, że może brać udział w konklawe i głosować nad wyborem papieża. Nominaci zjadą do Rzymu 27 sierpnia, aby odebrać

kardynalskie birety. Do końca sierpnia papież, biorąc pod uwagę cały pontyfikat, obsadzi stanowiska 83 kardynałów elektorów, czyli 62 proc. kardynałów w przyszłym konklawe. Gdyby konklawe odbywało się na koniec 2022 r., to – według stanu na dziś – spośród 126 wchodzących w jego skład elektorów 82 awanse zawdzięcza papieżowi Franciszkowi” – wylicza Andrea Gagliarducci, watykanista CNA.

„Wszystko to oznacza, że na konklawe kardynałowie mianowani przez Franciszka mieliby nieco ponad 65 proc. kworum, a podczas wyboru papieża wymagane jest dwie trzecie głosów, czyli poparcie minimum 84 kardynałów”. A to oznacza, że nominatów Franciszka jest „o dwóch mniej niż wymagane dwie trzecie niezbędnych do dokonania elekcji” – konkluduje Gagliarducci.

Tygodnik „Niedziela” kalkuluje z kolei, że „po 18 października będzie 128 kardynałów elektorów, w tym 86 z nominacji obecnego papieża, a więc nieco ponad 67 proc. wszystkich uczestników ewentualnego konklawe. Ponieważ do wyboru nowego biskupa Rzymu wymagane jest co najmniej dwie trzecie (czyli 66,6 proc.) głosów oddanych podczas konklawe, to kardynałowie mianowani przez Franciszka będą mieli większość wystarczającą do wyboru następnego papieża”.

Kiepska jestem w rachunkach, więc nie zamierzam tego rozstrzygać. Gagliarducci dodaje jeszcze, że w Rzymie panuje powszechne przekonanie, że będzie to ostatni konsystorz papieża Franciszka. „Niektórzy obserwatorzy kościelni spekulują nawet, że papież mógłby zakończyć spotkanie z kardynałami 29-30 sierpnia, ogłaszając jednocześnie swoją rezygnację” – dodaje watykanista.

Pontyfikat Franciszka w Polsce i w Ukrainie nie zapisze się różowo po jego dalece niejednoznacznych wypowiedziach na temat wojny rozpętanej przez Putina. Jednak warto mieć na uwadze, że reszta świata nie będzie Franciszka oceniać tylko przez pryzmat tej wojny. I być może, jeśli jego plan się powiedzie, uda mu się dokonać czegoś znacznie ważniejszego niż wymienienie z nazwiska jednego bandyty. ●

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2. Fragmentu książki „Samotnica. Dwa życia Marii Dulębianki” Karoliny Dzimira-Zarzyckiej



Autorka porządkuje i uzupełnia biografię Marii Dulębianki, ale przede wszystkim kreśli portret artystki i emancypantki, której problemy i wybory okazują się dziś zaskakująco aktualne. Obficie czerpiąc ze źródeł, stara się uchwycić naturę relacji Dulębianki i Konopnickiej, a także wpisać ją w szerszy obraz sytuacji kobiet na przełomie XIX i XX wieku. Długoletni związek Konopnickiej i Dulębianki – nieważne, czy nazwiemy go siostrzeństwem czy bostońskim małżeństwem – jest piękną historią wzajemnego oddania i poszanowania oraz dzielonej nietatwej codzienności.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Samotnica. Dwa życia Marii Dulębianki” Karoliny Dzimira-Zarzyckiej oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

SDMD22D

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176931

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



FOT. WOODY OCHNIO/EAST NEWS

KULA W MODLITEWNIK

Miałem propozycje,
żeby zostać za granicą,
ale zawsze byłbym tam obcy

Z **WIESŁAWEM OCHMANEM***,
ŚPIEWAKIEM OPEROWYM, ROZMAWIA
ANNA S. DĘBOWSKA

Piszą w mediach: „Kim jest dziadek Krystiana Ochmana?”, widział pan?
– Widziałem, to bardzo miłe. Kiedyś w Krakowie na Plantach, jak ktoś mnie rozpoznał, to mówił: „O, idzie pan Ochman”. A teraz mówią: „O, idzie dziadek Krystiana”. Mnie to nie przeszkadza, cieszę się, że lubią moje-go wnuka.

Dorastałam, gdy Wiesław Ochman to było wielkie nazwisko, i zastanawiałabym się, kim jest wnuk Wiesława Ochmana.
– Mnie to cieszy. Mama mnie tak wychowała, że nie wiem, co to zazdrość. Jeżeli ktoś prezentuje coś na wysokim poziomie, to ja się zawsze tym zachwycam. Zazdrość to musi być męka.

Krystian nie ma przewrócone w głowie. Mamy podobne podejście do życia – nigdy nie goniłem za sukcesem, a już na pewno nie na skróty. Raczej martwiło mnie, czy publiczność po moim koncercie lub przedstawieniu operowym nie będzie rozczarowana. A najlepiej, gdyby potem mówiła: „Przeżyliśmy coś z panem”.

Krystian przejął się tym, że nie powiodło mu się na Eurowizji?
– On jest bardzo silny psychicznie.

Coś pani powiem – po moich występach w Metropolitan Opera w Nowym Jorku wróciłem do Opery w Hamburgu, gdzie stale śpiewałem, i koledzy mi gratulowali: „Osiągnąłeś już wszystko”. A sami byli niesamowicie utalentowani. Tam był taki rewelacyjny bas, który był przekonany, że jego kariera jest nieudana, bo nie śpiewał w Metropolitan. A ja mu na to: „Czyś ty zwariował? Jesteś świetny!”. Potem faktycznie wystąpił w MET.

A Krystian?
– Na Eurowizji martwił się o jedno – że-by wejść do finału, bo jakby nie wszedł, to wstyd. Przewodniczę konkursom wokalnym i powtarzam młodym ludziom, którzy zajęli 10. czy 11. miejsce: „Przed wszystkim obejrzyl się do tyłu. Jeżeli nie ma nikogo za tobą, to musisz się wziąć do roboty. Jeśli nie jesteś ostatni, to jesteś bliżej czoła”. 12. miejsce w przypadku Krystiana nie jest zadowalające, ale ważne, że wystąpił, znalazł się w środku stawki, a przede wszystkim, że zaśpiewał znakomicie, w przeciwieństwie do dziwactw, które tam się pokazywały.

Konkursy to rzecz względna.
– A Eurowizja to żaden konkurs, tylko targowisko. Tam nie ma kryteriów. Bo co tam oceniają? To, czy ktoś dobrze zaśpiewa, czy się ładnie rozbierze lub dziwacznie ubierze lub zrobi najlepsze widowisko? Uważam, że nie powinno być jurorów, lecz ocena, jak w plebiscytach. To by było o wiele bardziej sprawiedliwe. Ludzie odbierają muzykę przez wrażliwość – artysta wychodzi na scenę, a człowiek na widowni już wie, czy występuje, bo podpisał kontrakt, czy chce dać coś od siebie.

A ukraińska „Stefania” zespołu Kalush Orchestra, która wygrała, panu się podobala?
– To jest ludowa piosenka, dość prosta, ale dobrze zrobiona. Dobrze się stało, że wygrali, bo podejrzewam, że część ludzi głosowała za nimi, a część przeciwko Rosji. Spodobała mi się ta europejska solidarność.

Czy kiedy Krystian przyjechał cztery lata temu do Polski, poznaliście się bliżej?
– Myśmny go tu z Krystyną, moją żoną, ściągnęli. Zaraz opowiem. Znaliśmy się wcześniej, jeżdżiliśmy dość często do Stanów Zjednoczonych odwiedzać naszego syna Maćka i Dorotę, synową. Krystian od małego był bardzo rezolutny. Pamiętam, że jak miał sześć lat, powiedział do mnie: „Chodź, nauczę cię grać w chiniczka, to nie jest skomplikowane. Uważaj: rzucasz kostką, liczysz punkty, później twój pionek skacze

o te punkty do przodu. Tylko jest jedna zasada”. „Jaka?” – pytam. „Nigdy twój pionek nie może być przed moim, rozumiesz?”.

Wdał się w pana, pan też jest żartowni-siem.
– Bo na Pradze się urodziłem i mieliśmy masę zabawek, czyli nic – rower bez pedałów i jedną łyżwę. Jakoś trzeba było sobie radzić. Ale wracając do Krystiana – odwiedzając go w Stanach, zorientowałem się, że amerykańska młodzież reprezentuje bardzo wysoki poziom muzyczny, i to bez chodzenia do odpowiednich szkół. Mają to wszystko w powszechnych albo uczą się prywatnie. Żeby pani wiedziała, jak oni potrafią grać w tych zespólach, wszystko – od klasyki po jazz i pop.
Krystian jest z natury szalenie muzyczny, gra na fortepianie i trąbce. Zawdzięcza to swoim rodzicom: Dorocie i mojemu synowi Maćkowi. Syn był klawiszowcem w zespole Róże Europy. Gdy przyjeżdżałem z żoną w odwiedziny, widziałem, że cała trójka wnuków z niechęcią siadała do fortepianu. Teraz okazuje się, że im się to przydało.

Co robią?
– Natalia uczy się w Uniwersytecie Medycznym w Maryland, a najmłodszy Aleksander gra w piłkę nożną, na pewno zostanie sportowcem. Za to Krystian rozkochał się w muzyce. Gdy rozmawiamy po koncercie, zawsze mnie wypytuje o to, jak ten koncert wypadł, jak śpiewał, jak się zachowywał, ile razy się pomylił w języku polskim.

Przejmuje się tym?
– Tak, prosiłem jego menedżera i kolegów z tej grupy beatowej, żeby poprawiali jego błędy w polszczyźnie, a oni na to: „Nigdy w życiu, proszę pana, ludzie czekają na jego wpadki”.

No ładnie.
– Raz Krystian występował w szkolnym musicalu, jeszcze w Stanach. Jak go moja żona Krystyna usłyszała, poprosiła o nagranie. Zabraliśmy je do Polski i posłaliśmy do Katowic wybitnemu pedagogowi wokalistyki, prof. Janowi Ballarinowi. On posłuchał i powiedział: „Materiał głosowy bardzo dobry, niech przyjeżdża”.

I właśnie wtedy przyjechał na stałe do Polski?
– Tak, pojechał do Katowic na egzamin wstępny do Akademii Muzycznej. Zaśpiewał tam dwie rzeczy i dzwoni do mnie: „Wiesz co, dziadek, chyba dobrze, bo jak już wychodziłem, to całe jury powiedziało: »Pozdrów dziadka«”.

No i go przyjęli.
– Z najwyższą notą. W Katowicach zaczął studiować, zrobił licencjat. Nastala pandemia, wtedy trochę nie wiedział, co robić. Ale zadzwoniła do niego mama jego przyjaciela ze Stanów i mówi: „Słuchaj, zaraz będzie »The Voice of Poland«, masz jeszcze tydzień, zgłoś się”. Przyjęli go, potem był pierwszy występ i dalej efekt wiadomo jaki.

Wygrał. Wtedy jeszcze nie wiedział, czy iść w stronę śpiewu operowego, czy rozrywki?
– Myślę, że do dzisiaj do końca nie wie. Ale ma już ten kontrakt z Universalem, będzie nagrywał płyty, pisze muzykę i słowa. Szkoda byłoby rzucać to wszystko, co osiągnął dla opery, mimo wszystko.
Długo się zastanawiał, co zrobić, żeby dotrzeć do szerokiej publiczności, nie rezygnując z klasycznego brzmienia. I to mu się udało bardzo dobrze. Ma świetnie postawiony głos, tenor, jak ja, i taką nostalgiczną barwę w głosie, co jest ujmujące.

Śpiewa na przeponie?
– Tak, to emisja klasyczna, długie frazy, wszystko jak trzeba. Ostatnio śpiewał ze mną na moim koncercie jubileuszowym w Bytomskim Centrum Kultury – najpierw solo „River”, a później pieśń po neapolitańsku na dwa tenory „Io te vurria vasà” („Pra-

gnę cię pocałować”). Owacją była aż miło. On kocha klasykę, Beethovena, śpiewa Glucka, Mozarta, arię Leńskiego z „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego. Przed występem na estradzie rozśpiewuje się w utworach klasycznych. Utrzymuje też cały czas kontakt z prof. Ballarinem. Jednak stale ma koncerty, wciąż brak mu czasu. Już mu powiedziałem, żeby sobie trochę odpuścił.

A pan odpuszczał, gdy był pan na początku kariery? Kiedy, jak nie teraz?
– Odpowiem tak: śpiewałem „Traviatę” na festiwalu w Monachium, w obsadzie był Dietrich Fischer-Dieskau, to było coś. I tam wypatrzył mnie niemiecki impresario Robert Schulz, który mnie zaangażował do Opery w Hamburgu. A tam, koniec świata – ja miałem śpiewać Cavaradossiego, wspomniała Edith Lang Toscę, a Barona Scarpię – Tito Gobbi. Na lotnisku zobaczyłem plakaty z moim nazwiskiem pośród tych wszystkich sław i tak się zastanawiałem, czy aby nie wracać. Ale ten Tito Gobbi okazał się cudownym człowiekiem. Powiedział ważną rzecz, że artysta, który ma powodzenie, musi przede wszystkim nauczyć się mówić „nie”. Bo jak nie umiesz odmówić, to może cię to doprowadzić do katastrofy. I faktycznie – miałem kolegę, tenora rumuńskiego, pięknie śpiewał. Jednego dnia w Hamburgu, następnego dnia w Wiedniu, a potem jeszcze w Monachium. Dwa lata upłynęły i było po głosie. Sforsował. I to ja właśnie tłumaczę teraz Krystianowi, że musi mieć przerwy i czas na regenerację.

Na Eurowizji było wiele dziwactw, to żaden konkurs, tylko targowisko

Dlatego odwołał koncert 21 maja, zaraz po powrocie z Turynu?
– Odmówił, bo cokolwiek by mówić, że ma dopiero 22 lata, za chwilę 23, to ta Eurowizja zmęczyła go nieprawdopodobnie. W Turynie udzielił wielu wywiadów. Ujęła mnie pani dziennikarka z Amsterdamu, która w pewnym momencie zapytała go, jak to się stało, że Polak mówi tak pięknie po angielsku. A on na to: „Polacy wszyscy tak mówią”.

Czyli jednak po panu poczucie humoru...
– Kiedyś taksówkarzowi w Nowym Jorku powiedziałem, że Polska leży koło Wypś Zielonego Przylądka. Jaki był dumny, że skojarzył, że to w Afryce. A potem do tej samej taksówki po mnie wsiadł Kazio Kord, wielki dyrygent, mój przyjaciel. Za chwilę z niej wypada oburzony i mówi: „Ten taksówkarz mi powiedział, że Polska jest w Afryce”.

Trzeba na pana uważać. À propos higieny głosu – jak to jest u wokalistów z piciem alkoholu? Znam śpiewaka, który w dniu występu nigdy nie pije, za to po przedstawieniu jak najbardziej.
– W ogóle nie piję. Czasem, jak jestem z żoną w Hiszpanii, lubię napić się piwa. Nie przepadam za winami. Whisky może raz spróbowałem. Jak miałem jakąś premierę, to miesiąc przedtem nie piłem nic.
Alkohol powoduje przekrwienie gardła, krtani, strun głosowych – zupełnie ina-

czej wtedy pracują. Poza tym obniża świadomość śpiewania i sprawność. Oczywiście miałem kolegów, którzy lepiej śpiewali, gdy byli na cyku, ale to były specyficzne przypadki. Trzeba precyzyjnie ocenić możliwości swojego organizmu.

Asceza.
– Palilem na studiach mewy, tak się nazywały te papierosy. Ale jak po Festiwalu Zespołów i Solistów Studenckich w Szczecinie napisali w prasie „Ochman – czyżby przyszedł Kiepura?”, pomyślałem, że dam sobie spokój z tym paleniem. W dodatku sekretarka partii powiedziała mi, że mój głos jest własnością narodu. „Jezus Maria, jak ja będę naród narażał na utratę takiego głosu”. Rzuciłem bez trudu. Mieszkalem na trzecim piętrze na ulicy Żąbkowskiej, nie chciało mi się zejść po papierosy, a mama, bibliotekarka, zapomniała kupić w drodze z pracy do domu. I wtedy mnie tknęło – skoro wytrzymałem dobę, to spróbuję dwie. Po powrocie do Krakowa na studia na AGH koledzy mnie częstują, a ja na to, że nie palę. Szok był, bo w tamtych czasach wszyscy kopcili.

Co jeszcze z higieny głosu?
– Dyscyplina oddechowa. Śpiewacy powinni wykonywać ćwiczenia, które im pomagają zamknąć oddech. Bo technika śpiewu jest bardzo prosta, polega na tym, żeby wziąć głęboki oddech przeponowo-żebrowy, napiąć przeponę, zuchwa na dół, język płasko, wysokie podniebienie do góry i przepuszczać wąski strumień powietrza przez wiązadła głosowe. Ale tak, aby nie naciskać na żyłę nieparzystą.

Proste, pod warunkiem że ma się do tego predyspozycje.
– Śpiew operowy to jest swego rodzaju paradoks. Bo głos powinien być tam, gdzie jest, natomiast dźwięk ma być skierowany „na maskę”.

Śpiewa „na masce” – nieraz to słyszałam.
– Ta maska to po prostu rezonatory dźwięku znajdujące się pod policzkami, dlatego mówimy, że pcha się dźwięk w zatoki. Ten obszar rezonansowy przypomina karnawałową maskę wenecką. Nos nie powinien brać udziału w projekcji dźwięku. Opanowanie tego wszystkiego jest bardzo skomplikowane. To polega na tym, że ten malutki dźwięk, który struny wytwarzają, trzeba skierować w takie miejsce, żeby zadźwięczał właśnie „na masce”. Gardło nie bierze udziału w produkcji dźwięku. Można mieć je czerwone, zainfekowane i śpiewać na scenie, bo technika wokalna na to pozwoli, o ile struny głosowe są w porządku.

Ale o zdrowie trzeba dbać.
– Ciepło się nosić, to podstawa. Tak zresztą odkryłem dla siebie kapelusze typu borsalino, które później namiętnie nosilem. Śpiewałem wtedy w Hamburgu, na ulicy spotkał mnie wspaniały dyrygent Nello Santi i zobaczył, że jestem z gołą głową, a już było dość chłodno. Natychmiast zabrał do sklepu z kapeluszami i tak się zaczęło.

Gdy katar spadnie na tchawicę, nie ma mowy o śpiewaniu. Raz mi się zdarzyło występować z ostrą infekcją, to była połowa lat 80., ratowałem wtedy przedstawienie „Chowańszczyzny” Modesta Musorgskiego w nowojorskiej Metropolitan Opera. Lekarz laryngolog zrobił mi wlewkę sterydową i dzięki temu mogłem zaśpiewać partię księcia Golicyna.

To była w ogóle dziwna historia. Trzeba wiedzieć, że każdy solista w MET ma tzw. covera, czekającego na ławce rezerwowych. Okazało się jednak, że mój cover też jest chory. Za gotowość płacili mu połowę, którą miał w kontrakcie, więc się nie przyznał, że chorował od tygodnia. Wtedy dyrygent James Levine mówi: „Jedź do laryngologa Grabscheida, niech cię ratuje”. Pojechałem, a on, widząc mnie, mówi: „No nareszcie. Przyjeżdża pan tu od dłuższego czasu, a jeszcze pan u mnie nie był”. I pokazuje na ścianę, gdzie wiszą zdjęcia wszystkich: Jan Kiepura, Mario Del Monaco, Mirella Freni.

Wszystkich ratował.

– Tak. I jeszcze mi mówi: „Poproszę pana o zdjęcie”. Okazało się, że miałem zapalenie tchawicy. O 17 zrobił mi wlewkę i wieczorem wyszedłem na scenę. Jakoś dobrnąłem do końca, a na sali siedziała Stefcia Toczyńska, nasz cudowny mezzosopran. Miała debiutować jako Marfa w następnym przedstawieniu. Przyszła do mojej garderoby i mówi: „Wiesiu, jak ty kulturalnie śpiewałeś”.

Kulturalnie, czyli ostrożnie?

– Ostrożnie i z dziwnym poczuciem, że nie osiąga się tego brzmienia, co zwykle, i walczy się o to przez cały czas. Tak to wygląda ze śpiewem. To jest bardzo trudny zawód, niezwykle odpowiedzialny.

Pan podobnie jak teraz pana wnuk Krystian nie planował tego, żeby być muzykiem?

– Interesowały mnie piłka, boks, a później już na całego malarstwo. Skończyłem Akademię Górniczo-Hutniczą jako magister inżynier ceramik. To były dobre czasy, poznałem moją przyszłą żonę Krysę, jesteśmy razem już 59 lat.

Okazało się, że ma pan wybitny głos.

– Już wcześniej mi to mówiono, bo śpiewałem w akademiku tak, że koledzy nie mogli już wytrzymać, i powiedzieli, żebym poszedł do szkoły muzycznej. Moja mama śpiewała, znała bardzo wiele piosenek i, o dziwo, śpiewała prawie cały „Straszny dwór” Moniuszki, nawet arię Skołuby na bas „Ten zegar stary...”.

Potem, jak już byłem w Bolkowie, w szkole o charakterze plastycznym, obowiązkiem było przygotowywanie wieczorków artystycznych. Śpiewało się razem te pieśni masowe, ja – bywało – w kwartecie. Na studiach śpiewałem w zespole studentów AGH Krakus, byłem solistą i prowadziłem konferansjerkę. Więc koledzy mnie zmusili, żebym poszedł do podstawowej szkoły muzycznej. Pani dyrektor posłuchała i powiedziała, że mam obiecujący materiał głosowy, ale nie dało się tego pogodzić z godzinami zajęć na studiach. Skierowała mnie więc do ogniska muzycznego i do prof. Gustawa Serafina, który udzielał lekcji śpiewu przy ul. Pędzichów w Krakowie.

Tam na miejscu była pani Ewa, jego żona, która grała na pianinie, akompaniowała. Na pierwszym spotkaniu chciałem zaśpiewać swój popisowy numer „Sza dziewczeczka do laseczka”, a pan profesor, człowiek elegancki i starej daty, mówi: „Jak, proszę? Sama? No proszę pana...”. No więc zaśpiewałem „Santa Lucia” i tak się zaczęło.

Imponujące, jak pan to wszystko zapamiętał.

– Zapisało się w głowie jak na płycie. To była uroczą rodzina, chodziłem do nich do domu na lekcje, a nawet na obiady. Ich syn, Józef Serafin, którego pamiętam bawiącego się pod stołem podczas lekcji, został wybitnym organistą. Pamiętam, że wisiał u nich duży obraz Antoniego Gramatyki, to był uczeń Matejki. Naturalnie natychmiast to zauważyłem, od początku zwracałem uwagę na obrazy i do dziś tak jest.

Wiemy, że pan sam maluje i ma poważną kolekcję dzieł sztuki. Czytałam, że pan jest w czepeku urodzony.

– Dosłownie. Miałem błonę płodową na głowie, gdy przyszedłem na świat. I bardzo szybko nauczyłem się mówić, chyba w wieku dwóch lat już wypowiadałem pierwsze słowa. I to nie jakieś tam sylaby, ale całe zdania. Byłem chory i przyszedł do domu doktor, żeby dać mi zastrzyk, a ja wtedy – dwulatek – powiedziałem: „Wyjdzie stąd szybko”. Lekarz był w szoku, mama też. Coś pani pokażę. Noszę ją w portfelu. To Święta Teresa. Nie żebym był religijny. Ale to była okładka mojego modlitewnika, który dostałem w dzieciństwie w prezencie na pierwszą komunię. Była wojna, powstanie. Na mojej Żąbkowskiej też strzelali. Miałem ten modlitewnik w kieszeni marynarki. Ile ja mogłem mieć lat? Siedem? Usłyszeliśmy strzały.



Krystian wyjaśnił mi grę w chińczyka – nigdy twój pionek nie może być przed moim

Ta kula przeszła bokiem, przeszła kieszeń i rozwalila modlitewnik. Została tylko okładka. Od tej pory noszę ją przy sobie.

Potem weszli Rosjanie. Pierwsze, co zrobili, to pytali po sąsiadach, gdzie jest Monopol Spirytusowy, który mieli zaznaczony na Żąbkowskiej. W Monopol trafiła bomba. Ale oni i tak przywieźli stamtąd jakiś brązowy płyn i chętnie go pili. Straszne to było.

Pana zaskoczyła wojna Rosjan przeciwko Ukraińcom?

– Zupełnie nie sądziłem, że jeszcze taka wojna może się wydarzyć. Byłem parę razy w Rosji, śpiewałem w Teatrze Bolszoi i powiem pani szczerze – nie chciałbym tam mieszkać. Pojedynczy ludzie bardzo mili, poznaliśmy z żoną wielu fantastycznych ludzi, ale wyczuwa się jakiś rodzaj zniewolenia. To było jeszcze w czasach Związku Radzieckiego – występy w Bolszoi, świetne honorarium, przyszedł skarbnik, położył przede mną stos rubli. A potem kazał podpisać, że nie wywożę tych pieniędzy za granicę. To był wieczór, tuż po ostatnim przedstawieniu, a z rana miałem samolot. Co ja miałem zrobić z tą harmonią pieniędzy? Krystyna poprosiła znajomą Rosjankę, żeby kupiła za to trochę książek, ale co z resztą? Mieliliśmy takiego znajomego muzykologa. Poprosiłem go o przechowanie, on się ucieszył, chyba zrozumiiał, że to dla niego. Miał bardzo popsute zęby i nigdy się nie uśmiechał, zawsze półgębkiem. Bardzo dziękował, bo za tę kwotę mógł sobie wprawić nowe zęby. Takie są moje doświadczenia z Rosją.

Czy wchodząc do świata opery, wiedział pan, że jest to świat okrutny?

– Nie miałem pojęcia, ale nie sądziłem, że pobędę w nim długo. Jak mnie zaangażowali do Opery Śląskiej w Bytomiu, zakładałem, że pośpiewam tam rok. Gdyby mi nie wyszło, mogłem wrócić na AGH. Mój prof. Tomasz Kuroś powiedział, że mogę tam pisać doktorat. I ja do tej pory próbuję w tej operze, tytuł doktora honoris causa otrzymałem od Akademii Górniczo-Hutniczej, a tak-

że Akademii Muzycznej w Poznaniu, ale nie myślałem, że to się tak potoczy.

Uroczę.

– Podchodziłem do tego spokojnie, nie nawiązywałem się na karierę. Może dlatego, że ja zawsze podziwiałem kolegów. Bogdan Paprocki, kolega tenor, cudowny głos. I tak samo znakomity tenor liryczny Kazimierz Pustelak. Byłem dumny z tego, że znam Andrzeja Hiolskiego, i z przyjaźni z Beniem [Bernardem] Ładyszem. Z nim byłem najbliżej. To były cudowne głosy i wspaniali ludzie. Moi partnerzy na scenie. A mój pierwszy teatr, Opera Śląska w Bytomiu, to był mój drugi dom – zakochałem się w tym teatrze. Nawet jak nie miałem próby, to tam przychodziłem, siadałem sobie na widowni, patrzyłem, jak koledzy pracują, ja reżyser i dyrygent próbują. Później razem siadaliśmy w stołówce, potem uczyłem się nowych partii. Tego już nie ma w operze, to zgasło. Nie ma artystów, którzy prowadzą teatry, zniszczono ten etos, który mówił, że opera to jest twój drugi dom, świątynia sztuki. Oni chodzą w tej chwili do pracy, a dyrektor to osoba od zarządzania i marketingu, to jest zupełnie inne podejście do sztuki.

Czyli i w pana czasach były rzeczy dziś nie do pomyślenia.

– Nie wolno było wyjechać na dłużej niż na dwa miesiące. I ja wyjeżdżałem na dwa miesiące najdłużej, były próby, premiera, potem wracałem, zawsze trzeba było oddać paszport po powrocie, wpłacić prowizję 20 proc. dla Pagartu i czekało się na następny wyjazd.

Ale jeden minister kultury Józef Tejchma zachował się naprawdę porządnie, zgodził się na zmniejszenie prowizji naszej, którą musieliśmy płacić Pagartowi, o 10 proc., dzięki temu mogliśmy zorganizować bankiet po premierze „Króla Rogera” Karola Szymanowskiego w Buenos Aires. Bardzo nam wtedy na tym zależało, to reżyserował Lech Komarnicki, scenografia Andrzej Kreütz-Majewski. Śpiewali Bożena Betteley, Andrzej Hiolski i ja, a dyrygował Stanisław Wisłocki. Napisałem prośbę w imieniu wszystkich. Tejchma to przyjął.

Ale pan wie, że oni was tak naprawdę okradali, ten cały Pagart... Bo w imię czego brali prowizję? Przecież to nie oni załatwiali te kontrakty.

– Miałem kilku zagranicznych agentów, np. ktoś z Metropolitan Opera dzwonił do mojego impresaria, bo potrzebowali mnie na sześć przedstawień „Nieszporów sycylijskich” w określonych terminach. Impresario kontaktował się z Pagartem, a Pagart ze mną. Zbierała się trzyosobowa komisja i decydowała. W tej komisji jeden był ze Służby Bezpieczeństwa, drugi z Ministerstwa Kultury, a trzeci z Pagartu i pewnie z SB. Ale nigdy nie dali mi szlabanu, poza jednym wypadkiem, kiedy nie puścili mnie do Izraela.

Naprawdę nie chciał się pan wyrwać na wolność, na Zachód?

– Owszem, miałem propozycje, żeby zostać za granicą, finansowo dalibyśmy sobie

• 27 marca, Bytom, Śląski Festiwal Operetki. Wiesław Ochman na gali z okazji 85. urodzin z wnukiem Krystianem

FOT. ZBIGNIEW MEISSNER/PAP

z Krysia radę. Jestem jednak zbyt związany emocjonalnie z Polską – z Warszawą i Krakowem, rodzinnym miastem mojej żony; nie chciałem.

Na ten temat, który pani teraz poruszyła, rozmawialiśmy kiedyś z Krzysiem Pendereckim. Był zdania, że za granicą zawsze będziemy obcy. Byłem świadkiem, gdy niemiecki dziennikarz przed światową prapremierą „Diabłów z Loudun” w Hamburgu zapytał Pendereckiego, a to była końcówka lat 60., dlaczego nie wyjedziemy z Polski, skoro jest tam tak źle. A Krzysztof na to, że niech wyjadą ci, którzy spowodowali złą sytuację, my zostaniemy.

Wie pan, że teraz też tak się mówi?

– Nie dziwię się. To, co się teraz w Polsce dzieje, jest poniżej wszelkiej krytyki. Zadziwia chamsko rządzących, ich aroganckie wypowiedzi, to, że nie słuchają ludzi i siebie nawzajem. W Hiszpanii przyglądam się dyskusji politycznej – tam politycy też mają rozbieżne opinie, ale starają się dialogować. Tu jest magiel, awantura i najgorsze – kłamstwo w żywe oczy. Jak można knajackim językiem mówić w Sejmie, świątyni demokracji?

W PRL-u też było kłamstwo.

– Ale wszyscy o tym wiedzieli, włączało się „Dziennik telewizyjny” i nikt nie brał tego na serio, co mówił pierwszy sekretarz. Teraz to jest bardziej zakamuflowane.

Czyli nie miał pan nic przeciwko temu, żeby być na smyczy?

– Znosiłem to, tym łatwiej, że dawano mi pewien luz. Niedawno zapytał mnie dziennikarz: „Jak pan walczył z komunizmem?”. Odpowiedziałem mu, że w Polsce śpiewałem fałszywie, a na Zachodzie starałem się trafiać w tonację.

Przypadek Bohdana Wodiczki pana nie zmroził?

– Wodiczko, wybitny dyrygent, w 1964 r. przyjmował mnie do Teatru Wielkiego w Warszawie. Ponieważ miałem wątpliwości, powiedział mi: „Jeżeli się pan artystycznie sprawdzi, to nic panu nie grozi”. W jego przypadku to się nie sprawdziło. Artystycznie sprawdził się na najwyższym poziomie, a jednak koterie i układy polityczne go zniszczyły. Zawsze gdy polityka wtrąca się do kultury, traci na tym kultura, i to w sposób koszmarny. Widzimy to także teraz. Wodiczko był po prostu zbyt ambitny – przed nominacją na dyrektora opery przedstawił wspólny program oparty na współpracy z wielkimi scenami zachodnimi, miał reżyserować Visconti, Zeffirelli, zaczęliśmy już próby do „Wozzecka” w reżyserii Konrada Swinarskiego. Nagle przyszła wiadomość, że Wodiczko nie będzie dyrektorem, wysiadali go bez słowa. Nikt się za nim nie wstawił, bo decyzja polityczna i nie było rady.

Polityka musi się trzymać z dala od kultury. ●

***Wiesław Ochman**

• ur. w 1937 r. na warszawskiej Pradze, jeden z najlepszych polskich tenorów. Debiutował w 1960 r. na scenie Opery Śląskiej w Bytomiu, solista Opery Krakowskiej, Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, Opery w Hamburgu. W 1972 r. debiutował w Operze Paryskiej, a trzy lata później w Metropolitan Opera House w Nowym Jorku. W 1982 r. usłyszała go mediolańska La Scala. Po 1999 r. zajął się reżyserią operową. Żywo interesuje się sztukami pięknymi – maluje i kolekcjonuje obrazy. Jest mężem Krystyny z domu Prus-Więckowskiej, ma dwoje dzieci i pięcioro wnucząt

FOT. ALAMY STOCK PHOTO



10 miast w 10 tygodni. Etap 10.

ON THE ROAD AGAIN. NOWY JORK

Choć z chodnikowych krat wciąż dmie ten ciepły podziemny wiatr, co pod sukienkę Marilyn Monroe, to miasto już nie jest stolicą świata

Maciej Jarkowiec

W „Nocnym kowboju” jest kilkuminutowa sekwencja imprezy w Fabryce Andy’ego Warhola. Warhol (Holender: „ambiwalentny typ o miękkim i mokrym uścisku dłoni”) użył do filmu byłych swoich codziennych party. Sam również miał zagrać siebie, ale wylądował na intensywnej terapii po nieudanym zamachu, jakiego dokonała radykalna feministka Valerie Solanas. Ściany w filmowej Fabryce ozdobiły jego prace. Duży sitodruk z Marilyn Monroe trafił po zdjęciach za symboliczną opłatą w ręce młodego operatora. Dziś zdobi pokój w mieszkaniu Adama Holendra na Upper East Side.

*W geometrii światel,
w malunkach, jakie tworzy
metropolia widziana
z okienka samolotu,
jest porządek i wytchnienie.
Plótno Pollocka w skali
planetarnej*

Artystycznej bohemy, takiej jak w epoce Warhola, już w Nowym Jorku nie ma. Wprawdzie w każdy czwartek w galeriach dzielnicy Chelsea odbywają się wernisaże, można pogadać z młodym malarzem (już milionerem) w długim welnianym płaszczu, z kubkiem ze słomką mate w dłoni, albo malarką (jeszcze nie) w różowej sukience, koszykarskich skarpetach i butach na szpilkach, która wygląda jak najlepsza bombka ze Złotoryi, wprawdzie można upić się darmowym winem, a nawet spotkać ludzi, którzy robią lepsze rzeczy od Warhola, ale żadnej Fabryki, żadnej bohemy i żadnej sławy nie ma, bo czasy, kiedy artyści odmięli oblicze świata, przeminęły. Dziś trendsetting odbywa się na Insta.

– Tam trwa najważniejsze party – wyjaśniła mi dziewczyna bombka.

Po wernisażach włączyliśmy się z Rubenem bez celu, aż dotarliśmy pod budynek Flatiron (Żelazko), gdzie czuć jeszcze ducha starego Nowego Jorku, tego z czasów „Garsoniery” (1960) albo „Śniadania u Tiffany’ego” (1961) – kiedy pieniądze liczyły się w tym mieście tak samo, jak liczą się dziś, nędza była jeszcze prawdziwszą nędzą, ale w najlepsze panoszył się oszukańczy romantyzm. Mitologię pokrywał brokat. Dziś już dawno się posypał. Choć nadal stoją wspaniałe wieże, zamki i pałace metropolii, perły pod pełnią księżyca, choć z kanalizacyjnych studzienek wydobywa się para i spowija park filmową

mgłą, choć z chodnikowych krat dmie ciepły podziemny wiatr, tak jak pod sukienkę Marilyn w „Słomianym wdowcu” (1955), to Nowy Jork nie jest już stolicą świata, bo nie ma już żadnych stolic, tak jak nie ma autorytetów i rewolucjonistów.

Wczesne dzieciństwo Adam Holender spędził na Syberii. Niemal codziennie oglądał śmierć z rąk oprawców.

– Dla mnie to była normalność, bo nie miałem skali porównawczej. Trafiłem tam w wieku dwóch lat.

Widział, jak radzieccy strażnicy rozstrzelali więźniów, którzy zbyt wolno szli z siekierami rąbać tajgę. Dziś znów dużo o nich myśli, o Rosjanach.

– Coś panu o nich opowiem. Pamiętam, byłem bardzo chory. Leżałem na podłodze na sianie. Majaczyłem. Pamiętam zapłakaną matkę. W nocy wpadł nagle do chaty jeden z żołnierzy, którego widziałem, jak zabija ludzi. Był pijany, w kożuchu, z pepeszą przez ramię. Brutalnie odepchnął rodziców. Zgarnął mnie z podłogi, zawiązał w koc i wyniósł. Było ciemno. Czekwały dwukonne sanie. Wrzucił mnie, stanął nade mną okrakiem i zaczął pędzić te konie. Wyjechaliśmy z obozu i zawiózł mnie do szpitala.

Po spotkaniu z Holendrem, ostatnim w tej podróży, odleciałem z Lotniska Kennedy’ego. Zerkalem przez okienko samolotu. Wszystkie metropolie w nocy z lotu ptaka wyglądają podobnie. W geometrii światel, w malunkach, jakie tworzą, jest porządek i wytchnienie, jak w najlepszej sztuce. Plótna Pollocka w skali planetarnej.

W najgenialniejszych dziełach sztuki można ponoć dostrzec rękę Boga. Trzeba się tylko oddalić na odpowiednią odległość. ●

„Rewolwer obok Biblii.
W co wierzy Ameryka”,
Maciej Jarkowiec, Agora, 2021



weekendówka

5



Autorem wielu haseł jest **Stanisław Skarżyński**

Co zrobić, by urodziny świętować dwa razy w roku?

Cysorz to ma klawe życie – to wiadomo od dawna, a Tadeusz Chyła w swej kapitalnej balladzie tylko nas w tym upewnił. Generalnie koronowane głowy po prostu dużo mogą. Jak choćby na przykład zdublować swoje urodziny. Bo a nuż będzie padał deszcz i wtedy z imprezy nici...

Król Jerzy II w 1748 roku umyślił sobie, że swoje oficjalne urodziny będzie obchodził w czerwcu. Bo będzie na pewno ładniej niż 30 października, kiedy się urodził (według kalendarza juliańskiego, a według gregoriańskiego, który ustanowił w Anglii w 1752, to 9 listopada – jeszcze gorzej). I będzie można zorganizować publiczną fetę, paradę żołnierzy, podczas której pułk gwardzistów zaprezentuje sztandar jednostki – stąd oficjalna nazwa święta, Trooping the Colour – niesienie flagi.

Jerzy II zafundował więc sobie drugie urodziny, a wieloletnia tradycja przetrwała, jak to z tradycjami w Wielkiej Brytanii bywa, do dziś. Monarcha bądź monarchini świętują dwa razy – w dzień metrykalnych urodzin prywatnie, a w czerwcu – oficjalnie.

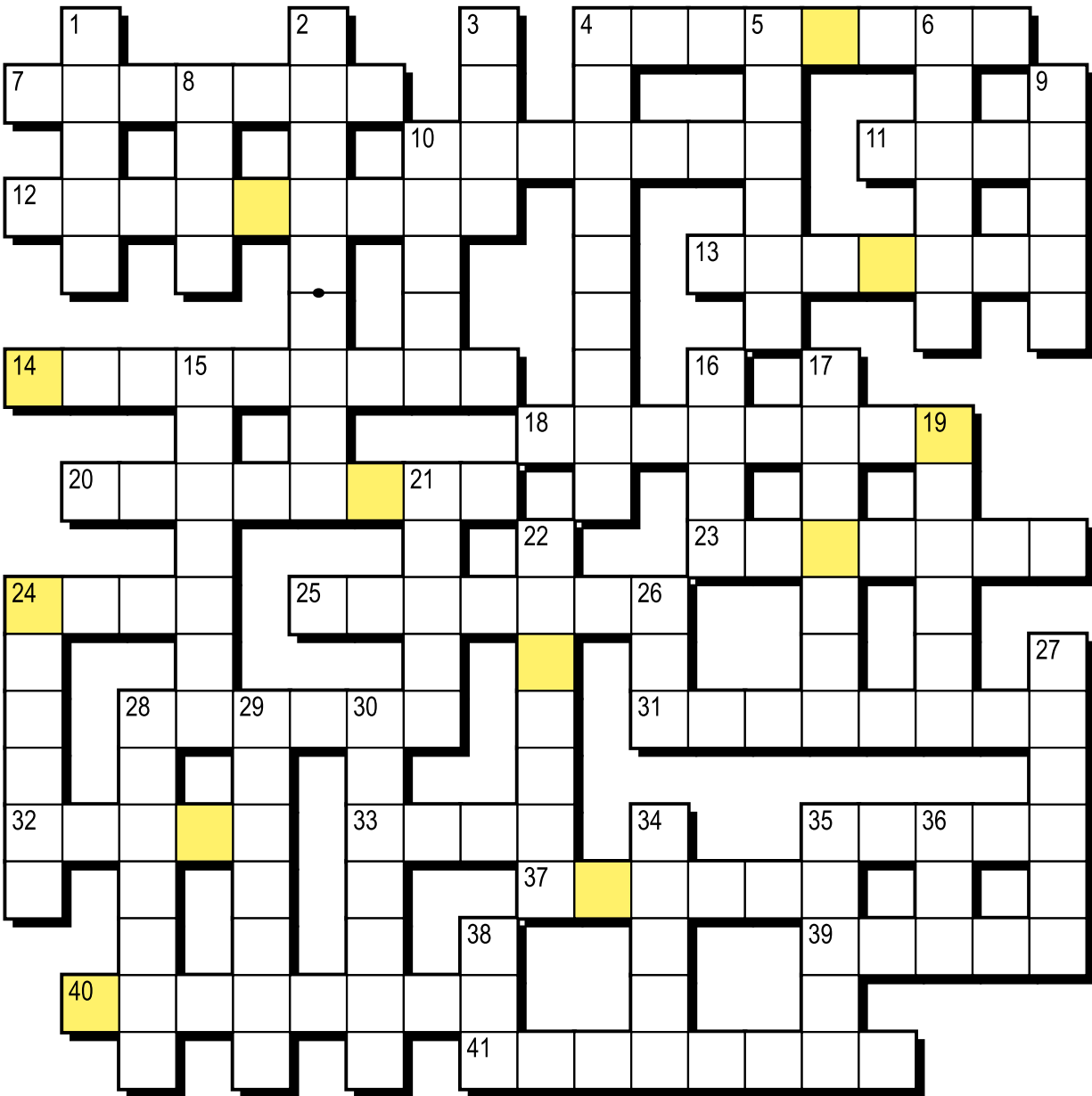
Trooping the Colour zwyczajowo odbywa się w drugą sobotę czerwca, ale królowa Elżbieta II też postanowiła pobawić się kalendarzem. Otóż zadecydowała, że w tym roku publiczne urodziny będzie obchodzić 2 czerwca, żeby przy okazji uczcić platynowy jubileusz – 70-lecie panowania w Zjednoczonym Królestwie.

Wygodnie, prawda? Co ciekawe, Elżbieta II koronowana została 2 czerwca, ale... 1953 roku, choć królową została faktycznie rok wcześniej, 6 lutego. Platynowy jubileusz, fetowany z wielką pompą na Wyspach kilka dni temu, powinien więc odbyć się zimą. Ale kto by tam fety w zimie robił...

Dzisiejsza „Weekendówka” przypada dokładnie w drugą sobotę czerwca, dlatego postanowiliśmy zaprosić Państwa na Wyspy właśnie, a zagadki zadaje dziś Stanisław Skarżyński, korespondent „Gazety Wyborczej” w Wielkiej Brytanii. Good luck! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 4 z 4.06:
KOMORNIK, REWERS, DOM ZŁY



ROYALSI

Hasła Stanisława Skarżyńskiego pogrubiono i oznaczono inicjałami (SS). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 4) „Prince Harry” Agaty Karczewskiej
- 7) książę ..., brat Harry’ego
- 10) następca tronu Zjednoczonego Królestwa (imię niespoliszczone) (SS)
- 11) ... Moss, sfotografowana w koronie na okładce „Vogue’a” (SS)
- 12) nazwisko panieńskie księżnej Cambridge (SS)
- 13) „The Crown” i „The Windsors” (wieloodcinkowe)

- 14) rządili Anglią w latach 1485-1603
- 18) władczyni Wielkiej Brytanii w czasach Sherlocka Holmesa
- 20) ... w rodzinie królewskiej, pożywka nie tylko dla brytyjskich tabloidów
- 23) córka księcia Harry’ego i księżnej Meghan Markle
- 24) ang. łobuz, tabloidy tytułowały tak księcia Harry’ego (SS)
- 25) miasto z zamkiem – siedzibą panującej dynastii brytyjskiej
- 28) w niej Rubin Czarnego Księcia (SS)
- 31) Lancasterowie, Yorkowie lub Stuartowie
- 32) imię muzyka odznaczonego Orderem Towarzyszy Honoru w 2020 r. (SS)

- 33) obja się, by królowej było wygodnie
 - 35) młodsza siostra żony drugiej osoby w kolejce do tronu (SS)
 - 37) ojczyzna Szekspira i Beatlesów
 - 39) paparazzi, czyli ... sensacji, kojarzeni z wypadkiem księżnej Diany
 - 40) ... królowej Elżbiety, obchodzone dwa razy w roku
 - 41) ... tronu (obejmie władzę po dotychczasowym panującym)
- Pionowo:**
- 1) mąż królowej Elżbiety, zmarł w kwietniu 2021 r.
 - 2) bohater filmu „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości”
 - 3) nazwisko wykonawcy piosenki „Candle in the Wind”

- 4) mieszkaniec miasta, które warte było mszy (SS)
- 5) Meghan, księżna ...
- 6) można go zawiązać na węzeł windsorski
- 8) ... Di
- 9) ... Mirren, odtwórczyni tytułowej roli w filmie „Królowa”
- 10) ulubiona rasa psów królowej Elżbiety
- 15) ... Westminsterskie, miejsce zaślubin Williama i Kate
- 16) ... królowej Elżbiety, analizowany przez speców od mody
- 17) Elżbieta II
- 19) Royal ... Hall, tam odbywają się BBC Proms (SS)
- 21) ... sukcesyjna do brytyjskiego tronu (kolejność dziedziczenia)

- 22) ... Małgorzata, młodsza siostra Elżbiety II
- 24) Camilla Parker ..., została żoną księcia Karola
- 26) familia
- 27) co roku uświetniają urodziny królowej (przemarsze)
- 28) ... św. Pawła w Londynie, miejsce zaślubin Karola i Diany
- 29) podobno gdy został piłkarzem Manchesteru United, pałac zamówił 80 koszulek MU z numerem 7
- 30) platforma, na której można obejrzeć „The Crown”
- 34) 007 (SS)
- 35) ... Buckingham
- 36) „... Królowej”, książka Doroty Masłowskiej (SS)
- 38) Archie dla księcia Harry’ego

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play